Biblioteka Uniwersytecka Gdańskiego
BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ W GDAŃSKU

W NUMERZE: M. BRANDYS: NAJMŁODSZA MARYNISTYKA; A. EXUPERY: ZIEMIA LUDZI; ST. HEBANOWSKI: OPOWIADANIE, ST. LICHAŃSKI: KRYTYCY I RECENZENCI; J. E. PŁOMIEŃSKI: KOSMOGONIA SŁÓW; K. W. ZAWODZIŃSKI: WIELKA PUBLICYSTYKA, WIELKI REPORTAŻ

CENA: ZŁ 30

ARKONA

miesięcznik poświęcony kulturze i sztuce

ROK III. NR 7/9 (33/35) POZNAŃ - BYDGOSZCZ - WYBRZEŻE WRZESIEŃ 1948

KONRAD GÓRSKI

WRAŻENIA KONGRESOWE

Polscy uczestnicy Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu dzielili się na dwie kategorie: na właściwych d e l e g a t ó w z ramienia Polski i na u c z e s t n i k ó w, którzy mogli być obecni na sali i korzystali ze wszystkich przywilejów i udogodnień przysługujących delegatom, ale bez prawa głosu czy to w dyskusji, czy przy wotowaniu za rezolucjami kongresowymi. Takim właśnie biernym uczestnikiem wrocławskiego zjazdu był piszący niniejsze słowa, co pozwala mu na zreferowanie swoich wrażeń jako swobodnemu obserwatorowi ludzi i wypadków z pewnego wygodnego dystansu.

Zacznę od stwierdzenia, że był to zjazd międzynarodowy pod jednym względem bez precedensu. Wszelkie międzynarodowe kongresy mają zawsze skład osobowy dobrany według określonego fachu. Na zebrania Organizacji Narodów Zjednoczonych, albo przed wojną Ligi Narodów, zjeżdżali się politycy, na zjazdy naukowe czy zawodowe zbierają się ludzie tylko danego działu twórczości umysłowej, artystycznej, czy wreszcie gospodarczej. Ale znaleźć się na zjeździe, na którym można było spotkać Irenę Joliot-Curie obok Picassa, a Juliana Huxley'a obok Szołochowa, innymi słowy, zetknąć się osobiście z taką gromadą najsławniejszych dzisiaj nazwisk z najrozmaitszych dziedzin twórczości ludzkiej — to rzecz naprawdę wyjątkowa!

Zagadnieniem pierwszorzędnej wagi na wszelkich międzynarodowych zjazdach jest sprawa wzajemnego zrozumienia, już nie w sensie merytorycznego dogadania się, ale pod względem technicznym, czyli językowym. Naukowe kongresy przed wojną dopuszczały do głosu cztery języki o największym znaczeniu światowym, a więc angielski, francuski, niemiecki i włoski. Na zjazdach słowiańskich używano poza tym wszelkich słowiańskich języków, wychodząc z założenia, że slawiści są obowiązani je znać. Odpada wówczas konieczność tłumaczenia przemówień, co jest połączone ze stratą czasu i uzależnia porozumienie od czynnika pośredniczącego, nie zawsze spełniającego swe zadanie w sposób bezbłędny. Niestety, zorganizowanie takiego kongresu, jak we Wrocławiu, bez tłumaczy było niemożliwe. Od intelektualistów czystej krwi, to zn. uczonych można wymagać znajomości kilku światowych języków, używanych w nauce międzynarodowej, ale kongres wrocławski był zjazdem nie tylko uczonych, ale w większej jeszcze mierze artystów: literatów, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, kompozytorów, muzyków-wykonawców (pianiści, śpiewacy), słowem — ludzi, których fach nie pociąga za sobą koniecznej znajomości wielu języków obcych. Wobec tego sprawę językową rozwiązano w sposób następujący. Cztery języki uznano za oficjalne: polski, rosyjski, angielski i francuski, przy czym każde przemówienie wygłaszane w jednym z tych języków było tłumaczone równocześnie z wygłoszeniem na trzy języki pozostałe przez tłumaczy przemawiających do mikrofonu w osobnych kabinach. Na sali zaś przy poszczególnych stołach były zainstalowane słuchawki, oraz napisy zawiadamiające, w jakim języku można wysłuchać danego przemówienia. Uczestnicy kongresu mogli więc wybrać zawsze stół najlepiej odpowiadający pod względem językowym danej delegacji.

Sprawa komplikowała się nieco, jeżeli mówca chciał przemawiać w języku macierzystym, a nie należącym do liczby języków urzędowych kongresu. Wtedy był obowiązek jednoczesnego przedstawienia tekstu mowy w jednym z języków urzędowych, przy czym po każdym ustępie mowy oryginalnej tłumacz stojący obok mówcy odczytywał odpowiedni ustęp przekładu, dajmy na to: angielskiego, a tłumacze w kabinach podawali słuchaczom treść mowy w pozostałych językach kongresowych. W ten sposób dana mowa, jeśli ktoś nie mógł jej zrozumieć bezpośrednio z ust mówcy, ulegała dwukrotnemu przekładowi, co oczywiście nie wpłynęło dodatnio na nawiązanie kontaktu między mówcą i audytorium. Toteż rygorystyczne przestrzeganie, aby taka mowa była tłumaczona naprzód na jeden z języków urzędowych, ustępowało w miarę trwania kongresu bardziej liberalnemu traktowaniu języków nieurzędowych, a jednak znanych w świecie, jak hiszpański, włoski i niemiecki. Bez przekładu na któryś z języków kongresu tłumacze w kabinach podawali ex promptu zawartość mowy i słuchacze byli dzięki temu nierównie lepiej obsłużeni. Dodajmy, że na ogół praca tłumaczy stała na dość wysokim poziomie. Oczywiście zdarzały się także niedoskonałości i potknięcia, ale czy jest taka dziedzina pracy, gdzie by ich nie było?

Aby skończyć ze sprawami organizacyjnymi, stwierdźmy, że kongres wrocławski był zjazdem urządzonym pod każdym względem doskonale. Wszystko było przemyślane do ostatniego szczegółu. Zakwaterowanie, wyżywienie, przewożenie uczestników z sali obrad do miejsca posiłków czy zamieszkania i z powrotem, funkcjonowanie całego aparatu administracyjnego, słowem całokształt organizacji przedstawiał się imponująco. Trudno nie wspomnieć też o szerokim geście, przejawiającym się nie tylko w zwykłych objawach gościnności, ale i w hojnym obdarowaniu uczestników bardzo wartościowymi wydawnictwami (wśród nich bezcenny album rysunków Kulisiewicza, przedstawiających z upiorną plastyką ruiny Warszawy), a nawet teczkę z materiałami piśmiennymi i... biletami wizytowymi, wydrukowanymi dla każdego uczestnika, aby ułatwić ludziom w tej wieży Babel wzajemne poznanie swoich nazwisk.

A teraz od ram zewnętrznych przejdźmy do treści tego niezwykłego zgromadzenia. Szukając formuły, która by ową treść najlepiej oddawała, przypomniałem sobie tytuł jednej z komedii Nowaczyńskiego, parafrazującej L y z i s t r a t ę Arystofanesa. Tytuł ten brzmi: W o j n a w o j n i e. Kongres wrocławski zwołany był w obronie pokoju, ale to nie znaczy, że jego symbolem miały by być dwa gołąbki całujące się nad zgromadzonymi delegatami u podniebia sali. Wprost przeciwnie! Słuchając wielu przemówień, można było sobie przypomnieć rzymską zasadę: S i v i s p a c e m, p a r a b e l l u m!

Ten nastrój walki, podyktowanej przekonaniem, że postawienie pod pręgierzem opinii światowej amerykańskiego i angielskiego imperializmu może być skutecznym

STANISŁAW BRZĘCZKOWSKI WROCŁAW (DRZEWORYT)

WANDA KARCZEWSKA

SPRAWA POKOJU

Otwórz mi dzień zabity zamknięciem drzwi na głucho,
uchyl dalekiej nocy o niedosięgłość ramion.
Opada świt za świtem, więdną wieczory uschłe,
codzień to samo.
Rzucanym ciągle w burze czy nie dosłyszeć śpiewu,
gdy drżą granaty, rosnąc posiewem przyszłej śmierci?
Więc sprobój, zakaż żywemu szumieć drzewu
zabroń oddechu piersi.

Dopóki stal gąsienic nie wgniecie rąk mi w ziemię
nie dam swych ust i palców związać milczenia klamrą.
Odrzucam chmurom losy, których z nas nikt nie zmieni,
nie wcześniej zcichną słowa, nim usta moje zamrą.

Cokolwiekby się jutro pośród gwiazd wydarzyło
ja będę jodłom, ludziom, tobie wieścić
nie sprawę wojny, sprawę śmierci,
ale pokoju sprawę — miłość.

M A N I F E S T

My, działacze kultury, nauki i sztuki z czterdziestupięciu krajów, zgromadzeni w polskim mieście Wrocławiu, zwracamy się do intelektualistów świata.

Przypominamy o śmiertelnym niebezpieczeństwie, które niedawno jeszcze groziło kulturze ludzkości. Byliśmy świadkami barbarzyństwa faszystowskiego — niszczenia zabytków historycznych i kulturalnych, prześladowania i zagłady ludzi pracy naukowej, sponiewierania wszystkich wartości duchowych, świadkami faktów, zagrażających elementarnym pojęciom sumienia, rozsądku i postępu.

Kultura ludzkości ocalona została za cenę niespotykanych dotąd ofiar dzięki ogromnemu natężeniu wszystkich sił demokratycznych — Związku Radzieckiego, narodów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dzięki bohaterskiej walce oporu narodowego w krajach zagarniętych przez faszyzm.

Jednakże wbrew woli i pragnieniom narodów świata garstka żądnych zysku ludzi w Ameryce i Europie, którzy przejęli w dziedzictwie po faszyźmie ideę wyższości rasowej i negację postępu, którzy zapożyczyli od faszyzmu tendencję do rozstrzygania wszystkich spraw siłą oręża, znowu gotuje zamach na dorobek duchowy narodów świata.

Kulturze krajów europejskich, które wniosły ogromny wkład do światowego dorobku ludzkości, grozi niebezpieczeństwo utraty oblicza narodowego.

W wielu krajach — w Grecji, Hiszpanii, krajach Ameryki Łacińskiej — wrogowie postępowi siły ochraniają dawne i rozniecają nowe ogniska faszyzmu.

Wbrew rozsądkowi i sumieniu trwa nadal i nawet wzmaga się ucisk jednostek i całych narodów, które ciemięzcy nazywają kolorowymi.

Ludzie, którzy przejęli metody faszyzmu, uprawiają w swoich krajach dyskryminację rasową, prześladują wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki.

Odkrycia naukowe, które by mogły służyć dobru ludzkości, obraca się na tajną produkcję środków zniszczenia, plamiąc i podważając wysokie powołanie nauki.

Słowo i sztuka pod władzą tych ludzi zamiast oświecać i zbliżać narody, roznieca niskie namiętności i nienawiść do człowieka, toruje drogę wojnie.

Głęboko wierząc w konieczność swobodnego rozwoju i rozpowszechniania zdobyczy postępowej kultury we wszystkich krajach, w imię pokoju, postępu i przyszłości świata — protestujemy przciwko wszelkim ograniczeniom tych swobód i podkreślamy konieczność wzajemnego porozumienia się kultur i narodów w interesie cywilizacji i pokoju.

Zdając sobie sprawę z tego, że współczesna wiedza wyzwoliła nowe potężne siły, które z całą pewnością będą użyte przez ludzkość bądź na jej dobro, bądź na szkodę — Kongres protestuje przeciw korzystaniu z nauki dla celów zniszczenia i wzywa do zmobilizowania wszystkich sił, aby szeroko rozpowszechnić wiedzę po całym świecie i zużytkować środki naukowe do szybkiego zwalczania nędzy, ciemnoty, chorób i niedostatków, od których cierpi większość ludzkości.

Kongres domaga się również zniesienia ograniczeń, które stoją na przeszkodzie swobodnemu poruszaniu się osób, służących sprawie pokoju i postępu oraz ograniczeń w ogłaszaniu i rozpowszechnianiu książek, wyników naukowych, i wszystkich naukowych i kulturalnych zdobyczy służących tej samej sprawie.

Narody całego świata nie chcą wojny i mają dosyć sił, aby uchronić pokój i kulturę od zakusów nowego faszyzmu.

Intelektualiści świata!

Na nas spoczywa wysoka odpowiedzialność wobec naszych narodów, wobec ludzkości, wobec historii.

Podnosimy głos w obronie pokoju, w obronie swobodnego rozwoju kulturalnego narodów, w obronie ich niepodległości narodowej, ich ścisłej współpracy i przyjaźni.

Wzywamy wszystkich ludzi pracy umysłowej we wszystkich krajach świata do rozważenia naszych wniosków

— do zorganizowania krajowych kongresów działaczy kultury w obronie pokoju,

— do tworzenia wszędzie krajowych komitetów obrony pokoju,

— do umacniania w interesie pokoju międzynarodowych więzów łączących działaczy kultury wszystkich krajów.

środkiem obrony pokoju, zapoczątkował swym referatem już Fadiejew. Kto patrzył na twarz tego mówcy, twarz otwartą i bezpośrednią syna ludu, ten zrozumiał, dlaczego Fadiejew nie przemawia stylem dyplomaty. O gwałtowności jego niektórych powiedzeń daje pojęcie takie choćby scharakteryzowanie pewnych pisarzy Zachodu, występujących przeciw Związkowi Radzieckiemu: „Gdyby szakal miał wieczne pióro albo maszynę do pisania, to tworzyłby zapewne takie dzieła literackie, jak André Malraux!"

Jeśli referat Fadiejewa był atakiem przeprowadzonym od czoła na współczesną Amerykę, jej imperializm, stosunki społeczne, kulturę i literaturę, to przemówienie Erenburga, wygłoszone w dyskusji podczas drugiego dnia kongresu, miało raczej charakter defensywny, oczywiście nie w tonie, ale w treści. Erenburg postawił sobie za cel zdemaskować kampanię prowadzoną przeciw Związkowi Radzieckiemu w imię kultury. Udowadniał, że nie mają żadnych podstaw rzeczowych takie pojęcia, jak „kultura zachodnia", albo „kultura atlantycka czy europejska", ponieważ wkład Rosji do dorobku kulturalnego całego świata nie pozwala na przeprowadzanie tu jakichkolwiek granic. Argumentował wyłącznie materiałem zaczerpniętym ze świata twórczości artystycznej (Dostojewski, Tołstoj, Czechow, Czajkowski, Mussorgski), co w ustach literata było rzeczą zrozumiałą.

Śladami Fadiejewa i Erenburga poszły przemówienia licznych delegatów z krajów, w których dążąca do ludowej demokracji część społeczeństwa patrzy ze specjalną obawą na cele polityczne Ameryki i Anglii. Byli to więc przedstawiciele Brazylii, Hiszpanii, Grecji, Chin, Izraela, Włoch, Portugalii, Chile, oraz delegaci różnych narodów kolorowych. Oczywiście, że przedstawiciele tych krajów, które już zaczęły realizować ustrój demokracji ludowej, jak Czechosłowacja, Węgry, czy Bułgaria, sekundowali poprzednio wymienionym mówcom w ich argumentach i ideach.

Jest rzeczą zrozumiałą, że skutkiem takiego obrotu rzeczy duża część delegacji Stanów Zjednoczonych i Anglii czuła się, na cenzurowanym. Co mogli oni przeciwstawić tej huraganowej ofensywie na imperializm kapitalistyczny? — Powiedzmy otwarcie, że ci członkowie obu delegacji anglosaskich, którzy się nie solidaryzowali z tendencjami większości zgromadzenia, wyrażonymi przez wymienionych mówców, okazali na ogół słabe poczucie rzeczywistości. Do jakich granic ten brak poczucia rzeczywistości mógł dochodzić u Amerykanów, o tym może najlepiej świadczyć przemówienie jednego z nich, który przedstawił się jako fachowiec od spółdzielczości i wysunął następujący projekt organizacji pokoju powszechnego. Przede wszystkim należy wychować człowieka tak, aby każdy myślał samodzielnie, a nie ulegał jakimkolwiek autorytetom, czy to będzie Kościół, czy państwo, czy partia polityczna. Żaden taki czy inny ustrój nie uchroni nas od wojen, dopóki ludzkość wewnętrznie nie dojrzeje. Jak więc osiągnąć tę dojrzałość? Oto wojna rodzi się z podświadomych odruchów i kompleksów, które tkwią w duszy każdego człowieka, trzeba więc oddać każdą jednostkę ludzką z osobna badaniu psychoanalitycznemu; gdy osiągniemy rozwiązanie podświadomych kompleksów, które pchają ludzi do wojny, wtedy nastąpi stan dojrzałości u całego rodu ludzkiego i wojna ustanie raz na zawsze.

Co można poradzić na taki sposób myślenia! Nawet gdyby psychoanaliza nie była wątpliwej wartości metoda psychiatryczna oparta na jeszcze bardziej wątpliwych hipotezach, to wystarczyło by wziąć do ręki ołówek i obliczyć, ile milionów psychiatrów należałoby wyprodukować dla przeprowadzenia badań psychoanalitycznych na całej ludzkości, liczącej dziś dwa miliardy istnień, aby wyrobić sobie trzeźwy sąd o tego rodzaju pomysłach!

Zacytowany tu przykład jest zbyt jaskrawy, żeby go uznać za typowy. Oczywiście nie podobna zarzucać pozostałym członkom delegacji anglosaskich podobnego braku zmysłu rzeczywistości. Niemniej ów brak okazał się w czym innym, a mianowicie w rozczarowaniu, jakie wyraził Taylor czy Huxley z powodu przebiegu obrad kongresu. Oni wyobrażali sobie, że celem kongresu jest znalezienie wspólnej płaszczyzny, na której dałoby się oprzeć trwałe współżycie istniejących dziś w świecie przeciwieństw ideowych i ustrojowych. Mowa Erenburga powinna była rozwiązać ich złudzenia pod tym względem. Podkreślił on, że Związek Radziecki daleki jest od mieszania się w cudze sprawy: wystarczy fakt, że on istnieje! Samo jego istnienie wywiera nieodparty wpływ na inne kraje i pociąga ku innej strukturze. To też w 1948 roku kultury burżuazyjnej już nie ma! Jeśli wielu intelektualistów wyobraża sobie, że można pogodzić ze sobą tych, co budują zniszczone przez wojnę miasta, i tych, co myślą o ich ponownym zniszczeniu za pomocą bomby atomowej, to takie mrzonki są wielką naiwnością. Ci imperialiści — mówił dalej Erenburg — co wierzą w ostateczne zwycięstwo socjalistycznego ustroju, muszą pragnąć wojny, bo wiedzą, że tylko tak będą mogli go zniszczyć! — Ze słów tych wynikał jasny wniosek, że pokój jest dziś żywotną potrzebą właśnie państw demokracji ludowej, aby mogły utwierdzić swój ustrój i rozszerzyć go na cały świat.

Co mówili delegaci na kongresie? Jeden z czterech głównych referatów programowych wygłosił prof. Józef Chałasiński. Wywody jego zdążały do tego, aby za pomocą zdobyczy nowoczesnej socjologii uzasadnić twierdzenie będące jedną z głównych tez marksizmu, że wojna jest konsekwencją ustroju kapitalistycznego. Stąd wniosek, doskonale uzupełniający się z zacytowanymi poglądami Erenburga, że podstawą przyszłego pokoju musi być przekształcenie ustroju społecznego. Odczyt miał charakter akademicki i kameralny, a więc niezbyt przystosowany do warunków kongresu, gdzie skomplikowane i subtelne wywody musiały zatracić całą swą wymowę w przekładach z konieczności dorywczych i sumarycznych. Poza tym prof. Chałasiński nie jest mówcą, który by umiał nawiązać kontakt ze słuchaczami; mówi jakby do siebie, patrzy w sufit, nie zaś w twarze zebranych, chce przekonywać abstrakcyjnymi wywodami w jakimś beznamiętnym oderwaniu się od świata. Toteż skutek odczytu był niewielki. Nawet Polacy z trudem dosłuchali go do końca; cudzoziemcy przeważnie poodkładali słuchawki i półgłośnymi rozmowami przeszkadzali słuchającym.

O wiele efektowniej natomiast wypadły polskie głosy w dyskusji. Prof. Jan Dembowski próbował wylać trochę oliwy na wzburzone fale antyamerykańskich nastrojów. Podkreślił, że we wszystkich krajach ludzie pracy mają te same interesy i mogą dojść do porozumienia; Ameryka to nie tylko trusty, ale i świat pracy, który chce pokoju. Intelektualiści całego globu muszą się zjednoczyć dla obrony pokoju. — Drugim głosem polskim było wystąpienie kobiety architekta, pani Syrkusowej, która powiadomiła zebranych, że w statucie międzynarodowego stowarzyszenia architetków istnieje paragraf zobowiązujący każdego członka do pracy nad pokojem. Mówczyni postawiła więc wniosek, żeby wszystkie międzynarodowe stowarzyszenia umieściły taki paragraf w swoich statutach. Propozycję tę zebrani przyjęli z gorącymi oklaskami, traktując ją jako jedną z rezolucji szczegółowych kongresu.

Obecność na sali obrad pozwalała na dokonywanie różnych obserwacji na temat charakteru narodowego poszczególnych grup. Jak się należało spodziewać, najgorętszy temperament przejawiali Włosi, a za nimi Francuzi. Przy zjawianiu się na mównicy osobistości znaczniejszych, lub po zakończeniu jakiegoś przemówienia budzącego entuzjazm Włosi dawali zawsze inicjatywę do wstawania z miejsc, aby uczcić w ten sposób mówcę. Chcąc nie chcąc szli za nimi w ślady pozostali zebrani o chłodniejszym usposobieniu i bardziej ociężałej wyobraźni, dzięki czemu przerwy między mowami bywały wypełnione rozmaitymi manifestacjami.

Jakie będą skutki kongresu w życiu międzynarodowym, to się jeszcze dziś nie da całkowicie przewidzieć. Można natomiast ocenić doniosłość tego zjazdu dla światowej opinii o naszej pracy nad odbudową kraju. Wybór Wrocławia był pod tym względem bardzo szczęśliwym pomysłem. Nawet nie ze względu na wystawę, zresztą fenomenalną i wspaniałą. Wystarczy przejść się ulicami Wrocławia, ażeby dostrzec linię demarkacyjną między zniszczeniem i odbudową. Dawali temu wyraz niektórzy mówcy zagraniczni, jak np. biolog angielski Haldane, który powiedział m. in., że obraz powstającego z gruzów Wrocławia jest najbardziej przekonywującym świadectwem dążeń Polski do pokoju, nie zaś do wojny. Myślę, że wycieczki po Polsce, jakie po zakończeniu obrad odbyli zagraniczni delegaci, musiały ich utwierdzić w tym przekonaniu.

Konrad Górski

KAROL WIKTOR ZAWODZIŃSKI

WIELKA PUBLICYSTYKA, WIELKI REPORTAŻ

Publicysta, poruszający podstawowe zagadnienia polityki i bytu narodowego, nie może nie korzystać z nagromadzonych przez historię doświadczeń. Jeśli dla kogo, to dla niego, pełnię znaczenia posiada antyczna maksyma: „historia est magistra vitae". Ale żeby tę naukę wyssać, żeby z morału historii zrobić użytek, trzeba jej wielkie wydarzenia mieć przedstawione w zasadniczych liniach, w jasnym plastycznym i przekonywającym zarysie. Nie troszczy się oto współczesna wiedza historyczna, która dla prawdziwej w każdym szczególe odpowiedzi na pytanie „jak to było", zaniedbuje coraz bardziej kompozycję obrazu, i, aby stać się nauką, coraz mniej troszczy się o to, by pozostać sztuką. W tym stanie rzeczy, malarze przeszłości wynajdują się wśród artystów słowa, którzy już nie tylko, — jak dawniej — w formie fikcji, „powieści historycznej', lecz wprost, starając się udostępnić prawdę o przeszłości rzeszom czytelniczym, oddają się biografistyce lub, jak Wells, tworzą obszerniejsze syntezy, „outlines of history".

Publicystów atakujących podstawowe zagadnienia bytu narodowego, nie brakło ani w dwudziestoleciu, ani teraz. Rozmaite ujawniali oni oczytanie w historii, rozmaity talent i wyobraźnię historyczną. Tworzyli własne koncepcje wielkich dziejowych obrotów, jedne bezduszne, inne trafne; jedne uderzające śmiałością, inne wypocone na podstawie najbanalniejszych popularnych książeczek; jedne wielkie potęgą choćby deformującego spojrzenia, inne zdeformowane przez ignorancję. Przypuszczam, że tylko jakiś ułamek promille ogółu czytelników Stachniuka, dawał się przekonać do „Zadrugi" i neopoganizmu; ale na pewno każdy kończył lekturę książki pod sugestią jej śmiałej i bezwzględnej aż do okrucieństwa koncepcji dziejów naszych, jako narodu, od pięciu wieków nieubłaganie zstępującego, malejącego w gronie swych współzawodników, idącego nieodwrotnie do nieuchronnej zguby. Ponura suggestywność, pomimo wad i ciężkości stylu, tem silniejsza w atmosferze beznadziejności pierwszych lat wojny, tłumaczy (lepiej niż rzekome poparcie okupanta) popularność tego dzieła zwłaszcza w latach 1939 — 1941.

Środowisko, w którem szczególnie rozkwitła wielka publicystyka, było gronem młodych ludzi na jakieś 10 lat przed ostatnią wielką wojną. Poza upodobaniem do tego „gatunku literackiego", różnice były między nimi potężne zarówno w poglądach społecznych, orjentacji politycznej, nawet w stosunku do religii (wyszli stamtąd publicyści katoliccy, a obok nich — Stachniuk), jak i w gatunku i wadze talentów. Głowy poważne, obok pretensjonalnego nieuka, obdarzonego łatwością pióra, który dzięki polskiej płytkości zakasował towarzyszy i potrafił stać się jednym z najpopularniejszych po dziś dzień pisarzy; wypowiadano najbardziej bezlitosne prawdy w oczy narodowi, a obok tego hodowano megalomanję narodową, która zaważyła niemało na naszych losach w 1939 r. i w 1944. Zawsze miałem ochotę zaprotestować przeciw niej w druku, ale nie mówiąc o beznadziejności protestu w tej atmosferze, był on niemożliwy ze względów cenzuralnych gdyż poruszałby sprawy, acz wszystkim w Polsce znane, oficjalnie jednak uznane za „tajemnicę wojskową" (tajemnicą wojskową m. in. było to, że 1 p. szwol: jest stacjonowany w Warszawie!)

Nie ma prawie obozu politycznego w dzisiejszej Polsce, w którymby nie działali jako publicyści, członkowie wspomnianego środowiska. Z niego też wyszedł W. A. Zbyszewski, brat zbyt popularnego „Karola", felietonisty malującego, podług własnego określenia, „szczotką ryżową", a omawianego szeroko nawet w prasie literackiej, z powodu niefortunnego, ale ordynarnego i dlatego sensacyjnego romansu biograficznego o Niemcewiczu. Przeciwnie, Wacław Zbyszewski, szerokiego rozgłosu nie zdobył; umiał jednak w niejednej sprawie wypowiedzieć się tak interesująco, że z wielkim zapałem wziąłem do czytania jego artykuł „Polska a świat katolicki" (w paryskim czasopiśmie „Kultura" nr 2-3 z 1947), istnie porywający.

Wśród jego koncepcji historycznych jest dużo takich, z któremi zgodzić się nie mogę i nietylko dla zasadniczej różnicy, jaka nas dzieli w stosunku do religii. Przeciwnie, sądy jego o życiu religijnem w Polsce w przeciągu wieków, o wartościach kleru i hierarchii katolickiej u nas, o istocie religijności polskiej, — b. ciepłej albo bardzo sprzecznej z duchem relgii („pielgrzymki narodowców do Częstochowy połączone z awanturami antyżydowskiemi"), o zbytniej słabości naszych herezyj, symptomatycznej dla słabości ducha religijnego Polski, są bardzo surowe i bezwzględne; nawet w jednym punkcie, o czem później, prowokują moją obronę katolicyzmu polskiego w przeszłości. Tę zaś koncepcję historyczną, która jest najjaskrawiej sprzeczna ze świeżą tradycją wolnomyślicielstwa polskiego, mianowicie interpretację sprawy zatargu Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim, chcę podnieść jako śmiałą myśl, nie połączoną „z historii zniewagą", choć dogadzającą światopoglądowi autora.

Wbrew wspaniałej konstrukcji T. Wojciechowskiego, uważanej za dogmat w postępowych kołach naszego społeczeństwa i wysuwanej jako lokalna manifestacja antyklerykalizmu, autor rozprawy mówi: „obojętnie jaki był powód jego (biskupa) zatargu z Bolesławem: czy spór o inwestyturę, jak chcą jedni, czy jakieś knowania z Czechami, jak chcą inni, czy też jakbyśmy powiedzieli dzisiaj jego zamiłowanie do plotek, czyli wytykanie królowi jego nierządu. Dość, że przez swe zwycięskie męczeństwo wyznaczył on raz na zawsze granice samowoli, totalizmu i tyranii. Ciemny kmiotek, czy wój nicby nie zrozumiał, gdyby zaczęto mu wykładać teorię podziału władz; ale kult św. Stanisława sprawił, że na razie, mętnie, a później coraz jaśniej zaczął sobie zdawać sprawę, iż gdzieś się ta władza monarchy kończy, że jest jakaś dziedzina, której nawet srogi władca naruszyć nie ma prawa. Gdzie granice samowoli zostają wytyczone, tam powstaje prawo, gdzie powstaje prawo, tam powstaje państwo; gdzie powstaje państwo tam powstaje naród. Św. Stanisław jest nie tylko naszym patronem; jest on znacznie bardziej niż przereklamowany Chrobry, założycielem naszego państwa i ojcem naszego narodu".

Śmiała ta, aż do paradoksalności, teza nie jest jednak „historii zniewagą", przynajmniej w tem, co się tyczy pamiętnego w dziejach naszego państwa zatargu. Konstrukcja Wojciechowskiego, oparta na niezbyt jasnych zeznaniach jednego świadka, zawsze może być „zaczepiona" w myśl zasady: „testis unus — testis nullus". Świadek jedyny i to jaki: panegirysta Krzywoustego! Sytuacja jego była drażliwa: z jednej strony konsekwencją katastrofy było dojście do władzy Hermana, a po nim jego syna, wskazane więc było uznać winę króla; z drugiej strony, katastrofa padała swym ciężarem na całą dynastię, na całe państwo polskie, czego widomym znakiem było zawieszenie sankcji kościelnej dla suwerenności państwa, wyrażającej się w pojęciach ówczesnych obrzędem koronacyjnym. Anonim wykazał wielki talent dyplomatyczny z jednej strony zwalając winę zatargu na „traditora" (co mogło znaczyć — nielojalny poddany swego monarchy, nieposłuszny suwerenowi wassal); z drugiej — podkreślając niestosowność reakcji królewskiej, więc podstawność usunięcia Śmiałego i zastąpienia go na tronie przez brata. Tak więc świadectwo to nie stoi na przeszkodzie do rekanonizacji naukowej zamordowanego biskupa. Piękna ta koncepcja staje jednak w pewnej sprzeczności z inną koncepcją historyczną autora, również bardzo pociągającą.

W najgrubszych zarysach, ta podstawowa dla rozprawy teza mówi o późniejszem, niżby wskazywały oficjalne daty, wejściu Polski do świata katolickiego. Nie od tysiąca lat blisko, lecz „od lat 500 Polska jest na dobrą sprawę katolicka". „Niema polskiego katolickiego średniowiecza" „katolicyzm polski był gdzieś do XV w. słabiutki", „jest niemal wyłącznie dzieckiem kontrreformacji". W dalszych wywodach podniesiona jest rola jezuitów w ukształtowaniu charakteru religijności polskiej i wiele innych słusznych uogólnień. Ale jakże to połączyć z rolą św. Stanisława „ojca narodu i założyciela państwa"? Jego męczeństwo wśród narodu jeszcze w istocie pogańskiego nie mogłoby wywołać tych epokowych skutków!

Sądzę, że do istotnej prawdy dojść możemy „krakowskim targiem": in medio veritas! Zawsze myślałem, że istotna chrystianizacja Polski zbiega się chronologicznie z epoką wielkich ruchów religijnych w Europie, gdzieś na przełomie XII na XIII wieku. Wiele faktów historycznych na to wskazuje i dodaje wyjaśniające przyczyny lokalne. Synod łęczycki (1180) i decydująca rola duchowieństwa w życiu politycznem, więc jakieś jego oparcie w społeczeństwie. Gromada polskich świętych, wówczas żyjących, choć rekrutowali się oni prawie wyłącznie z pośród członków dynastii wielkich rodów, jak słusznie podkreśla autor. Sprowadzenie do Polski i szybkie upowszechnienie się zakonów żebrzących, zwłaszcza Dominikanów jest odblaskiem u nas potężnego ruchu franciszkańskiego i równoległych — nie jedynym. Zakończona wreszcie w połowie XIII w. kanonizacja św. Stanisława jest uwieńczeniem wysiłków katolicyzmu polskiego do utrwalenia rodzimej tradycji kościelnej, do zapuszczenia korzeni w ojczystą przeszłość.

Podobnież dużo słuszności ale i trochę przesady znajdujemy w bystrej uwadze że zarówno nasz katolicyzm jak i „samo istnienie Polski w w. XVII i XVIII było związane z monarchią austryjacką i jak bardzo Polska ówczesna była projekcją na północny wschód państwa Habsburgów". Koncepcja narzucająca się każdemu, kto zna dzieje „potopu" nietylko z powieści Sienkiewicza, ale tu niedość porządnie rozbudowana a przesadzona i drastyczna w sformułowaniu.

Gdzie natomiast muszą wziąć w obronę nasz kościół rzymsko-katolicki, to w sprawie unii. Patrzy na nią autor poprzez pryzmat stosunków wschodnio-galicyjskich, skomplikowanych w ostatniej fazie kwestjami narodowemi. Dla tego też wypowiada pogląd, odbijający najbanalniejsze oszczerstwa wrogich nam podręczników szkolnych: „unitom okazywaliśmy pogardę, która ich rozdrażniała, i bezsilność i bezradność, która ich rozzuchwalała". Jako historykowi proponuję autorowi tych słów przeniesienie się wyobraźnię do kraju młodości Mickiewicza, a wskazawszy *unickiego* księdza w IV cz. *Dziadów*, nie będę mnożył argumentów, które mógłbym zaczerpnąć choćby z tradycji rodzinnej, ani kontynuował sporu.

Ze wzruszeniem przeczytałem tu parę słów o Adamie Heydlu i wypowiedzi ustnych jego, jednego z najświetniejszych umysłów dwudziestolecia, z którym jeszcze miałem możność zetknięcia się osobistego latem 1940 r., między jedną jego kaźnią niemiecką a drugą — już śmiertelną.

Jak „wielka publicystyka" jest gatunkiem literackim należącym do *prozy*, gdzieś na pograniczu między wymową a historią, tak „wielki reportaż" należy już do *literatury pięknej*, do „prozy narracyjnej", zastępując dziś dawniejsze diarjusze i pamiętniki. Pamiętniki ostatnich czasów, tak jak są dziś publikowane, to raczej wspomnienia młodości, mocno zwykle zatarte na starość, w chwili ich zapisywania. Natomiast wciąż mnożące się, tem bardziej narzucające się uwadze publicznej, im bardziej niezwykłe czasy przeżywamy, sprawozdania z udziału w wypadkach czy choćby podróży do krajów, gdzie się wypadki dzieją, lub dziać mogą („ogniska konfliktów"), na które zwrócone są oczy wszystkich, tem bardziej do „kraju śmierci" (obozów w Ośmięcimiu, Rawensbrück czy tych miejsc likwidacji ghetta, o których wspomnienia i dokumenty wydane, a częściowo tworzone doskonałem piórem M. Borwicza, stanowią całą wstrząsającą serję) — zaspakajają w znacznym stopniu głód powieści i często są na równi z nią traktowane przez krytykę. *Dymy nad Birkenau* rywalizowały w walce o pierwszą powojenną nagrodę z uwieńczoną powieścią (również interesującą jako „faktomontaż"), podobnie jak Pamiętniki Paska uważane są niekiedy (niezupełnie zresztą słusznie) za najlepszą naszą powieść XVII w. „Wytrącenie z normy", które przez niektórych teoretyków jest uważane za specificum „czasu powieściowego", a więc i samego rodzaju literackiego — bywa w pewnych epokach większe „w życiu", niż to jest dostępne pomysłowości twórcy fikcyjnych przygód romansowych. Niewątpliwie udział pamiętników i pseudopamiętników (rozmaite „Mémoires secrets", z których rodzaju wywodzi się *Princesse de Clives* pani de la Fayette; *Memoires pour servir à l'histoir de Malte* księdza Prévost: wcześniejszy jeszcze przodek *Trzech muszkieterów*, pseudopamiętniki d'Artagnana; na terenie literatury angielskiej — choćby cała prawie twórczość powieściowa Defoego) jest bardzo znaczny w genealogii powieści współczesnej.

Nie bez racji więc do przeglądu paru lat przedwojennej powieści *(Blaski i nędze realizmu powieściowego*, 1937) włączyłem ocenę kilku książek o charakterze pamiętników i reportaży, o ile w nich „przeważał czynnik świadomego ukształtowania artystycznego". Ten czynnik zresztą nie zawsze stanowił najlepszą cząstkę ich wartości. Tak wśród najobszerniej omówionych tam książek Melchiora Wańkowicza najkrócej zbywam pamiętną historycznie, tropioną przez okupanta *Na tropach Smętka*, gdyż właśnie jej ukształtowanie artystyczne, choć by najbardziej zaakcentowane, najmniej jest pamięci godne. W ostatniej książce tego autora (której fragmenty czytaliśmy w prasie krajowej), *Wrzesień żagwiący*,*) ukształtowanie artystyczne, łącznie z tytułem, również nie zawsze jest w pierwszym gatunku. Obserwacja ta nie ubliża talentowi, z którym opowiedziano różne historyczne momenty wojny polsko-niemieckiej, od wstępnych walk z dywersantem na Śląsku i od likwidacji przedstawicielstwa polskiego w Gdańsku zaczynając. Obszerne sprawozdanie z obrony Westerplatte z ust jej komendanta. Walki w różnych częściach Polski, widziane przez oczy uczestników, najczęściej oficerów niższych stopni. „Walka o polskie niebo", ukazująca w sprawiedliwych proporcjach rolę naszego lotnictwa, niesprawiedliwie sprowadzoną do zera. Na zakończenie, najobszerniej opowiedziana historia mjra Hubala (Dobrzański, znakomity uczestnik zawodów konnych), którego oddział był ostatnią, bez naruszenia ciągłości, resztką regularnego Wojska Polskiego, walczącą na własnej ziemi przez całą srogą zimę, przez długie osiem przeszło miesięcy, po kapitulacji lub przejściu na obce terytorium wszystkich innych żołnierzy Rzeczypospolitej. Ten oddział nie zdejmujący mundurów i dystynkcji, nie porzucający koni służbowych i powierzonej mu broni, podaje rękę w historii pierwszym próbom partyzantki na wiosnę 1940 r. i stwarza nieprzerwaną ciągłość Polski Walczącej przeciw najezdnikom.

Wszystko to jest opowiedziane z nieprześcignioną werwą, z przedziwną łatwością narracyjną znakomitego gawędziarza (jeśli wstrzymamy się od epitetu „wielkiego pisarza"**). Ale i sam wybór fragmentów wojny, jak i ton opowiadania daje obraz wojny 39 r., który nie możemy uznać za całkowity, a tem samem w pełni prawdziwy. Są to opowiadania z innych ust: jestem przekonany, że brzmiałyby nieco inaczej usłyszane przez nas bezpośrednio. Utalentowany po-

*) Wyd. „Gryf" Londyn 1947.

**) Do wzięcia tego właśnie epitetu uprawniałyby publikowane obecnie w „Dziś i Jutro" fragmenty wspomnień o poległej w powstaniu córce pisarza: przedziwne połączenie humoru (w najszlachetniejszym znaczeniu słowa) z idealizacją drogiej postaci, we właściwej każdemu czynowi artystycznemu obiektywizacji przeżytego cierpienia, przeistoczenia go w tworzywo sztuki.

średnik nie umiał powściągnąć rasowej skłonności do koloryzowania, do poetyzowania gdzie się dało, do natężania głosu czy to w miejscach patetycznych czy w rubasznym gdzieniegdzie śmiechu. Było się świadkiem tego i owego (m. in. nocowałem w Maciejowicach 11 października, w parę dni po przeprawie przez Wisłę „jakiegoś szwadronu kawalerii", jak mnie informowali mieszkańcy tj. jak teraz wiem, majora Hubala-Dobrzańskiego), i wydaje mi się, że wrażenia z książki Wańkowicza należy korygować lekturą wspomnień wojennych Adolfa Rudnickiego. Leży zresztą kupa pamiętników z owych czasów, które nie mają szczęścia do druku. Czytałem np. i polecałem wydawcom wspomnienia oficera rezerwy, kpt. Godziszewskiego pt. „Podróż w nieznane", gdzie bez panache'u, choć z wielkim talentem, jest ukazany szary heroizm dopełniania obowiązku żołnierskiego w warunkach tamtej wojny, gdzie wszystko polegało w gruncie rzeczy na indywidualnem podejmowaniu tego obowiązku. Jak słusznie bowiem stwierdza Wańkowicz, rysem charakterystycznym tej wojny było działanie bez rozkazu z góry, bez łączności. Dlatego często i drobny w obiektywnych wymiarach czyn wymagał — subiektywnie — bohaterstwa!

Zresztą dzięki właściwościom tej wojny, nigdy bodaj nie będziemy mieli jej pełnego i z punktu widzenia historii wojen poprawnego, bezsprzecznego obrazu. Tak samo jak obiektywnego obrazu walk Konfederacji Barskiej — lub Powstania styczniowego, gdzie będą mieli rację czasem bardowie tych czasów, a czasem satyrycy, czasem zapaleni patrioci polscy, czasem ich wrogowie. Tem cenniejszy jest każdy zbiór dokumentów, każdy reportaż, zwłaszcza gdy pisany takiem piórem. Że to gatunek par exellence *literacki*, talent odgrywa decydującą rolę. Dlatego z zapałem można przeczytać pamiętnikowe lub nawpół pamiętnikowe utwory, ilustrujące udział Polaków w II wielkiej wojnie, nawet z pod innego pióra, które pozatem stało się niemożliwe w swych występach w wielkiej publicystyce. Żaden bowiem talent nie pokryje nieuctwa i bzdur wypowiadanych z niezachwianą pewnością w tym ostatnim rodzaju piśmiennictwa, należącym, bądź co bądź, do *prozy* myślowej.

K. W. Zawodziński

STEFAN LICHAŃSKI

KRYTYCY I RECENZENCI

Przed kilku miesiącami Zofia Nałkowska w wydrukowanym w „Przekroju" cyklu swoich kapitalnych miniatur „Charaktery" zajęła się także krytykiem literackim, oceniając bardzo nieżyczliwie jego ambicje korygowania osiągnięć literatury „twórczej" i jego brzydki zwyczaj stawiania tej literaturze rozmaitych postulatów i zamówień. Takiemu krytykowi przeciwstawiła znakomita powieściopisarka krytyka, który za główne swoje zadanie uważa informowanie czytelnika o autorze i wyjaśnianie, uprzystępnianie mu gotowego dzieła. Jak widzimy, Nałkowska nie odróżnia pojęć „krytyk" i „recenzent" traktując je jako określenia jednoznaczne, przy czym chce w dodatku pracę krytyka ograniczyć do pracy recenzenta.

Gdyby nawet wypowiedź ta była wyrazem najzupełniej prywatnych poglądów Nałkowskiej, już zasługiwałaby na uwagę. W podobny jednak sposób co autorka „Granicy" myśli w Polsce większość ludzi czytających książki i dlatego sprawę tę należy omówić szerzej.

Nie będę tu próbował budować definicji pojęcia „krytyk". Nie dlatego, żebym żywił polską, arcypolską niechęć do „pojęciowej dłubaniny", ale jedynie dlatego, że nie obchodzi mnie w danym wypadku abstrakcyjny „krytyk w ogóle", lecz konkretny, realny krytyk działający w określonych warunkach społecznych i kulturalnych. Być może, że pewnego dnia Pan Bóg, rozgniewany grzechami i wybrykami pisarzy, stworzył na ich utrapienie pierwszego Zoila, ale pewne jest, że Zoil ten w każdej określonej epoce *inaczej* zatruwa życie artystom, inne pod ich adresem zgłasza zastrzeżenia, inne im przedkłada projekty i postulaty.

Rozwój krytyki od czasów najdawniejszych, gdy nie istniała jeszcze wyraźnie określona granica pomiędzy nią a historią literatury, aż po dziś, kiedy znowu krytyka zbliża się coraz bardziej do literatury „twórczej", nie jest jakąś samoistną ewolucją pojednawczego rodzaju literackiego, ale pozostaje w ścisłym związku funkcjonalnym z historycznymi fazami rozwoju ludzkości. Krytyka przesuwa się coraz bardziej w miarę postępu czasu ze stanowiska czystego sprawozdania i wyjaśniania (filologia) ku stanowisku czynnego współudziału w życiu literackim (essayistyka filozoficzna, moralna, socjologiczna). Pozostawiając takim dyscyplinom jak historia i teoria literatury zakres badań ściśle naukowych*), sama coraz wyraźniej przekształca się w swoistą odmianę twórczości literackiej, w jej odmianę najbardziej zintelektualizowaną, staje się samoświadomością literatury powstającej. Holzapfel ze względu na stopień intelektualizacji metod pracy pisarskiej i komplikacji środków wyrazu najniżej stawiał lirykę, wyżej dramat, najwyżej powieść**). W hierarchii tej zabrakło fazy czwartej, istotnie najwyższej: essayistyki, w obrębie której, jako jej dział najbardziej centralny i ważki, znajduje się właśnie krytyka literacka. Krytyka jest dziełem literatury, który z jej burz, fermentów i kryzysów wydobywa sceny pojęciowo określone, który z jej przywidzeń, proroczych snów i natchnień wysuwa skonkretyzowane wyraźnie pomysły przebudowy rzeczywistości, który w jej podświadomych lękach, historiach i najzupełniej mimowolnych z pozoru potknięciach odkrywa ciążenie ku społecznym i kulturalnym regresom.

*) Cytuję za Irzykowskim („Walka o treść" str. 102-103).

**) Jeżeli z tą naukowością nie zawsze wszystko jest w porządku, to już sprawa, która z poruszonymi w niniejszym artykule zagadnieniami nie wiele ma wspólnego i dlatego może być w naszych rozważaniach pominięta.

EDMUND ŁUGOWSKI — MARTWA NATURA (OLEJ)

BOGDAN OSTROMĘCKI

POCAŁUNEK

Ile smutku, miłości ile
przechyli się nad miastem wędrującym w zmierzch
głowy dziewczyny jakiejś dotknie — lub ramienia
tego chłopca, co szczudłem już powłóczy od lat trzech
i spadnie na nich — jak w słońcu liść gasnący.

Tyle ze mnie. Tyle wyrośnie ponad kurz i mgłę
ponad pogłos daleki bijący skargą ziemi,
gdy ramionka obejmę chude dwojga uliczników,
co po gzymsach spalonych łażą, wytrwałe, wierne koty
albo tam na placyku pod harmonijki zwroty
uczą mnie jak mijać trudnych kroków lęk.

Tyle zostanie. To będzie i wielkość — i milczenie.

A wtedy głos zawoła wąwozem ciemnych okien
aż buchną ręce, światła i trysną akordami
gołębie rozpalone światłością w niebo szkliste
i frazy pójdą coraz wyżej, tonacje tak wysokie,
takie zawrotne, jakby się znów płomieniem stawał kamień.

Wtedy w płomieniu tym, w płomieniu spełniającym,
ta pochylona głowa dziewczyny nieznajomej
chłopców beznogich stukot
i czekających tyle oczu, tyle milczących ust —
i pocałunek mój, jak kropla, jak ciemny liść gorący
lecz on dotyka zmarłych. I budzi ich ze snu.

Wielki przełom historyczny, jaki przeżywamy obecnie, usuwa na plan dalszy indywiduum i fakt poszczególny. Absorbują nas przede wszystkim zasadnicze tendencje epoki, linie generalne rozgrywającego się w naszych oczach procesu olbrzymich metamorfoz. Zakładamy fundamenty pod gmach nowej epoki i dlatego musimy baczyć, by uniknąć jakiejkolwiek fuszerki w sprawach zasadniczych. Ta sytuacja historyczna zmusza krytyka, by więcej uwagi poświęcał *zagadnieniom* niż *indywidualnościom*. I dlatego właśnie będzie on często „niesprawiedliwy" wobec pisarzy, dlatego będzie lekceważył hierarchie, o których ustaleniu się zadecydowały czynniki takie, jak np. czysto estetyczne walory utworu czy też jego popularność wśród czytelników. Krytyk starający się żyć centralnymi zagadnieniami epoki może brać na warsztat utwory w mniemaniu powszechnym „trzeciorzędne" a pomijać „pierwszorzędne", może rozważać tylko poszczególne cechy osobowości pisarskiej autora. Nie ma zgoła nic niedorzecznego w przypuszczeniu, że może zjawić się krytyk, który przeorze do głębi literaturę sobie współczesną, określi w sposób najwłaściwszy jej problematykę i jej znaczenie społeczne, jej wkład w ogólny dorobek kultury narodu, a nie napisze ani jednego „wyczerpującego" studium o poszczególnej książce czy poszczególnym autorze. Oczywiście, biorę tu pod uwagę wypadek graniczny i nie myślę nawet o namawianiu krytyków do realizowania tego rodzaju pomysłów. Chodzi mi jedynie o zwrócenie uwagi na to, że zadaniem centralnym współczesnej krytyki nie może być omawianie poszczególnych dzieł i poszczególnych indywidualności pisarskich, że krytyk, jeśli spełnić chce swoje zadania jak najpewniej i jak najlepiej, nie może ograniczyć się do roli herolda literatury obwieszczającego triumfalną fanfarą pojawienia się nowego arcydzieła, ani też roli pazia niosącego z pietyzmem i namaszczeniem ogon królewskiego płaszcza swojej władczyni. Obecnie — w daleko większym stopniu niż kiedykolwiek — krytyka musi koncentrować uwagę na sprawach najbardziej zasadniczych i dlatego nie należy przeciążać jej nadmiarem sprawozdawczo-informacyjnych robótek na małą skalę.

Ale przecież te robótki, z których każda z osobna jest rzeczywiście „na małą skalę", w sumie stają się kwestią bardzo ważną i istotną: stanowią one poważny czynnik propagandowy w zakresie upowszechniania książki, a więc — w dalszych konsekwencjach — upowszechnienia kultury. I oto stajemy wobec problemu fachowej, sumiennej, inteligentnie a zarazem przystępnie pisanej recenzji, która nie tylko z łamów periodyków literackich ale i prasy codziennej mogłaby oddziaływać na najszersze warstwy czytelników.

Działalność recenzenta — to w zasadzie pewien specyficzny typ *dziennikarstwa*, to „informacja i propaganda" literatury. Recenzent może ograniczyć się do omówienia książki czysto sprowozdawczego (streszczenie, omówienie problematyki i wartości estetycznych — wykonane tak, żeby mogło być zrozumiałe dla przeciętnego czytelnika gazety) i uzupełnić je tylko jakimiś praktycznymi objaśnieniami (że np. dana książka wymaga sporego stopnia przygotowania umysłowego, że inna znów jest dobrą powieścią rozrywkową itp.). Cele recenzenta są czysto praktyczne: ułatwić czytelnikowi wybór książki i ułatwić książce dostanie się do ręki czytelnika. Jest to robota, do której absolutnie nie potrzeba angażować krytyków sensu stricto. Nie należy jednak popadając w inną skrajność wysnuć z moich słów wniosku, że wobec tego recenzje może pisywać w chwilach wolnych od poważniejszych zajęć np. akwizytor ogłoszeniowy.

Podkreślam raz jeszcze, że nie uważam recenzenta za podlejszego gatunku literata, ale za dziennikarza i popularyzatora, a jest to zakres pracy, który wymaga specjalnego typu uzdolnień i specjalnych, swoistych metod działania. Poniżanie dziennikarstwa na rzecz literatury jest zupełnie bezsensownym przesądem, który ma akurat tyle samo racji, co mniemanie, że zawód lekarski stoi o całe niebo wyżej od zawodu np. nauczycielskiego. Jeżeli mówię: recenzent, to myślę tym samym: dobry recenzent (aczkolwiek w tej chwili ideałem byłoby, gdyby sprawozdawcy literaccy pism co-

dziennych posiadali taką znajomość rzeczy w swojej dziedzinie i tyle przywiązania do swojej roboty, co sprawozdawcy sportowi).

Dobry recenzent... Łatwo powiedzieć, ale gdzie go znaleźć? Jeżeli chodzi o wzory z przeszłości, to wymieniłbym tu Zdzisława Dębickiego, przede wszystkim jako autora „Portretów". Jako przedstawiciel *rodzaju* jest on mistrzem godnym naśladowania. Jeżeli zaś chodzi o to, skąd wziąć nowych recenzentów, odpowiem krótko: *wykształcić* ich. Pisanie dobrych nawet recenzji nie jest żadną filozofią, napewno nie większą niż wyreżyserowanie dobrego przedstawienia amatorskiego lub urządzenie udanego wieczoru świetlicowego. Jeżeli przystąpiliśmy do kształcenia instruktorów teatru amatorskiego i kierowników świetlic, dlaczego nie mielibyśmy zabrać się do kształcenia recenzentów?

Spora grupa pracujących już dziennikarzy, bardzo wielu studentów polonistyki oraz literatów-amatorów nie mogących wybrnąć poza żałosne średniactwo w swoich usiłowaniach „twórczych" — oto kadry przyszłych recenzentów i popularyzatorów literatury. Trzeba uzupełnić ich przygotowanie fachowe i wiedzę techniczno-pisarską, trzeba wprowadzić ich w problematykę bieżącego życia literackiego — i niech próbują swoich sił. Kto ma się tym zająć? Związek Literatów? Związek Dziennikarzy? Ministerstwo Kultury i Sztuki? Zaiks? Wszystko jedno. Niech tylko ktoś zacznie.

Zbyt długo już robi się z pracy pisarskiej jakieś misterium, do którego dostęp mają tylko wybrani, naznaczeni i powołani przez Opatrzność czy Ananke. Czyż wciąż mamy grzęznąć w naiwnej mitologii tzw. talentu i poszukiwać „urodzonych" pisarzy, tak jak Tybetańczycy poszukują nowego Dalaj-Lamy, gdy im stary zemrze? Czyż mam raz jeszcze przypominać zdanie Crocego, że nie „poeta nascitur" lecz „homo nascitur poeta"? Czyż mam powoływać się na biografię Arnolda Bennetta, który wyłącznie wieloletnią wytrwałą pracą zdobył sobie czołowe miejsce wśród powieściopisarzy angielskich swego czasu?*)

Żyjemy w okresie planowości i organizacji. Nie możemy więc zadania upowszechnienia literatury powierzyć wyłącznie literatom, gdyż żadnej wojny nie wygra sam sztab bez armii. Wyszkolenie pewnej ilości fachowych recenzentów, to stworzenie kadr podoficerskich owej armii walczącej o podbój nowej Polski przez książkę. Chodzi tu bowiem nie tylko o przygotowanie grupy zawodowych recenzentów, ale także o wykorzystanie ich aktywności pozapisarskiej na terenie tej warstwy pośredniej, która, nie biorąc bezpośredniego udziału w wystarzaniu dóbr kulturalnych, albo je rozpowszechnia albo też wykazuje największe nasilenie zainteresowania nimi. Dotychczas rolę tej warstwy spełniały przeważnie mieszczańskie snoby, ale ich czasy już mijają. Snobów zastąpić musimy współpracownikami.

*) Por. szkic Romana Dyboskiego „Arnold Bennett" (przedruk w książce „Między literaturą a życiem").

BOGDAN OSTROMĘCKI

IMIONA

Gwieździe, co noc rosnącej za oknami
mroźniej, błękitniej
wezbranej wichrem, jakby prysła róża jakaś
gnana z otchłani —

która zostaje zawsze tam i gaśnie,
jakby to tylko ktoś kroplami światła płakał.

Tej, która czeka Ciebie i mnie
gdy słucham szumu nocy wysokiej
i patrzę stąd na ciemny brzeg
pochmurnych wiosen.

Gwieździe najcichszej
tulącej w mrok horyzont —

tej gwieździe mrącej
zostawię smutne czyjeś imiona,
gdy już zaginą.

Z WYSTAWY PLASTYKÓW POZNAŃSKICH

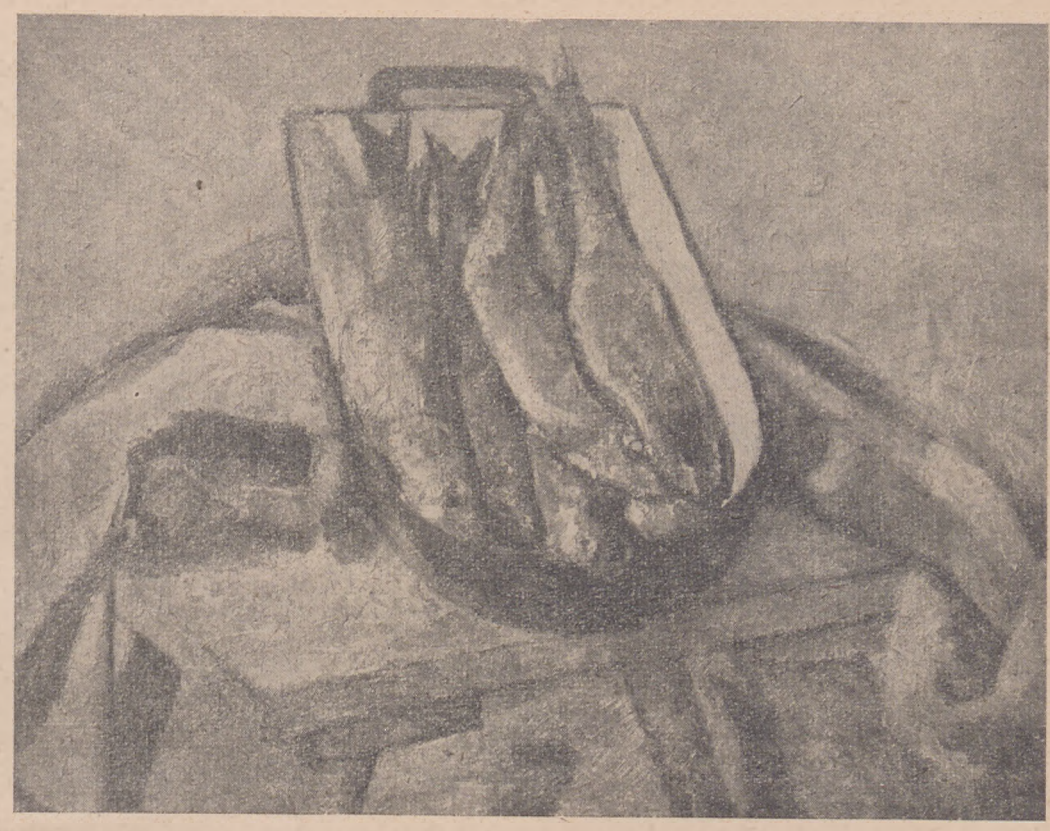

STANISŁAW SZCZEPAŃSKI
Martwa natura (olej)

ARTUR HUTNIKIEWICZ — GŁOS W DYSKUSJI

W SPRAWACH NAUKI O LITERATURZE

Jednym z symptomatycznych zjawisk naszego powojennego życia kulturalnego są liczne polemiki i dyskusje. Dyskutuje się con amore o wszystkim: o muzyce, o plastyce, o sztuce „elitarnej" i sztuce dla mas, o zadaniach literatury i krytyki w przebudowującym się od podstaw świecie, o realizmie i o konieczności całkowitej rewizji kryteriów metodologicznych w badaniach literackich. Nie ulega wątpliwości, że zjawisko to najściślej związane jest z kataklizmem wojny ostatniej i z chaosem lat powojennych. Wobec straszliwych spustoszeń lat okupacji i wobec dogłębnych przeobrażeń świata powojennego we wszystkich dziedzinach — narzuca się z nieodpartą koniecznością postulat uzgodnienia kierunku pracy kulturalnej, artystycznej i naukowej z żądaniami życia odradzającego się z gruzów w zmienionych warunkach. A że zawołaniem czasów obecnych stało się „planowanie" i „współdziałanie", więc i w sprawach kultury, sztuki i nauki ustala się hierarchię potrzeb i organizuję pracę zbiorową, aby sprostać potężnym potrzebom chwili i tzw. zamówieniu społecznemu.

Wszystkie więc wspomniane dyskusje nie mają w sobie nic akademickiego, abstrakcyjnego, — są koniecznością życia. Poprzez swobodną bowiem, nieskrępowaną wymianę poglądów prowadzi jedyna droga do ustalenia zadań najpilniejszych i metod pracy. Głos dra Czesława Zgorzelskiego w „sprawach nauki o literaturze" zamieszczony w numerze 4/6 „Arkony", należy z całą pewnością do rzędu tych ważkich wypowiedzi, co mają w sobie moc zapładniającą i pobudzającą do myślenia, zmuszają do zajęcia stanowiska. Trudno nie zgodzić się z wnikliwą charakterystyką stanu bieżącego polskiej nauki o literaturze i nie przyklasnąć propozycjom autora co do kierunku badań na przyszłość, nie mniej jednak słuszne te w zarysie ogólnym spostrzeżenia zdają się wymagać w pewnych punktach niejakich uzupełnień, a w innych budzić znów mogą nawet zastrzeżenia. Ponieważ artykuł pojęty był przez autora jako dyskusyjny, kilka więc uwag uzupełniających czy też polemizujących chciałbym w tej interesującej materii tutaj dorzucić.

A więc najpierw jedno uzupełnienie. Wykazując przykładowo na całym szeregu twórców, jakie to luki i szczerby przedstawia nasza wiedza o literaturze, ile zagadnień domaga się opracowania, wiele dzieł czeka na swoich „odkrywców" autor artykułu stwierdza zupełnie słusznie, że braki są tak liczne, taki „las zagadnień" staje przed każdym badaczem literatury, że nie sposób wszystkim tym potrzebom podołać, że trzeba w tę mnogość problemów „wprowadzić jakiś ład, jakąś herarchię potrzeb" i „kolejność". Trochę więc dziwne się wydaje, że pisząc o tych „najpilniejszych postulatach" pominął zgoła autor sprawę bodajże najważniejszą, sprawę *nowej edycji* tekstów literackich. Praca krytyczno-wydawnicza to bezspornie jeden z najważniejszych, a właściwie główny i podstawowy dział nauki o literaturze. Gdy brak tekstów, nie ma nauki o literaturze, bo przedmiot badania nie istnieje. Ale nawet gdy tekst istnieje, to nie zawsze jest on przystosowany, „dojrzały" do naukowego badania. Autor wskazuje na konieczność podjęcia szeroko zakrojonych badań w szczególnie zaniedbanych dziedzinach stylistyki wersyfikacji. Ale właśnie te dwa działy nauki wymagają szczególnie precyzyjnego i krytycznego przygotowania materiału tekstowego. Jakżeż bowiem zapuszczać się w dociekania tak subtelne jak np. ewolucja form wersyfikacyjnych czy środków stylistycznych poezji, a nawet prozy staropolskiej, kiedy dla tylu wierszopisów i prozaików nowoczesnych brak krytycznej edycji ich dorobku, literackiego. Jak badać genealogię i drogi rozwojowe gatunków literackich, jeśli najbardziej charakterystyczne niekiedy okazy danego rodzaju należą do rzadkości bibliograficznych albo w ogóle pozostają w stanie rękopiśmiennym i są w danym momencie dla badacza zupełnie niedostępne? O ile już przed wojną odczuwano bardzo dotkliwie te niedomagania wydawnicze, to po spustoszeniach wojennych i katastrofie tylu bibliotek sytuacja przedstawia się wręcz rozpaczliwie. Jest rzeczą powszechnie znaną, że odpowiedzialna praca w wielu dziedzinach nauki o literaturze rozbija się o brak nieodzownych tekstów.

Sprawa ma jeszcze drugi aspekt. Na skutek naszej opieszałości wydawniczej w okresie międzywojennym (najpoważniejsze, monumentalne wydawnictwa źródłowe zawdzięczamy przeważnie pokoleniu uczonych pracujących w dobie niewoli) zaginęły na zawsze w zawierusze wojennej bezcenne skarby piśmiennictwa. Nasz kulturalny stan posiadania zmniejszył się w stopniu zastraszającym. Jest to memento na przyszłość. Jeśli przez wzmożoną, na szeroką skalę zakrojoną akcję wydawniczą nie utrwalimy i nie pomnożymy tych zasobów kulturalnych, jakie kryją się jeszcze w naszych zbiorach rękopiśmiennych i książkowych, możemy pewnego dnia stracić do reszty to, cośmy cało zdołali wynieść z pożogi minionej. Zorganizowana, planowa praca edytorska oto — wydaje mi się — najpilniejszy na dzisiaj postulat w dziedzinie nauki o literaturze. Nie jest rzeczą artykułu dyskusyjnego układać jakąś szczegółową listę potrzeb w omawianym zakresie. Listę taką każdy badacz z największą łatwością potrafi sobie zestawić.

Teraz sprawa druga, nie mniej — wydaje mi się — ważna. Starając się w ramach publicystycznego artykułu ustalić prowizorycznie przynajmniej ową hierarchię najpilniejszych potrzeb w dziedzinie badań literackich, dr Zgorzelski pisze dosłownie: „Dość łatwo dziś już chyba bez większych protestów da się w y e l i m i n o w a ć z zakresu tych najpilniejszych potrzeb zagadnienia związane z o s o b ą t w ó r c y, z dziejami jego życia i uczuć, z rozwojem jego p o g l ą d ó w n a s p r a w y p o l i t y c z n e, s p o ł e c z n e c z y n a r o d o w e (wszystkie podkreślenia moje). Początkowe tendencje badań literackich w ogóle, a specyficzne warunki naszego życia politycznego przed odzyskaniem niepodległości w szczególności sprawiły, że to właśnie sprawy — w okresie niewoli — skupiły w okół siebie największą ilość dociekań. To też dziś stanowią dziedzinę n a j l e p i e j (podkreśl. moje) chyba opracowaną". Otóż wydaje mi się że nazbyt pośpieszył się autor artykułu z tą e l i m i n a c j ą zagadnień społeczno-ideologicznych z programu badań literackich na najbliższą przyszłość. Wprost przeciwnie, wszystkie „znaki na ziemi i na niebie" zdają się zapowiadać zdecydowaną supremację tych właśnie problemów nad zagadnieniami formalno-estetycznymi.

Przede wszystkim autor zbytnio przecenia zasługi naszej dziewiętnastowiecznej nauki. Wyniki jej dociekań, mimo szacunku dla ich pionierstwa, są dla nas dziś często kroć zupełnie nieaktualne, wprost niemożliwe do przyjęcia wobec ujawnienia nowych źródeł i usprawnienia metod badawczych. I czy rzeczywiście obraz rozwoju naszej myśli narodowej, załamany i odbity w dziełach literatury, jest tak przejrzysty w świetle prac badawczych dotąd ogłoszonych, że możemy spokojnie mówić o nasyceniu potrzeb w tym względzie? Powszechnie to rzecz znana, że specyficzny u t y l i t a r y z m jest charakterystyczną właściwością nie tylko piśmiennictwa polskiego z doby pozytywizmu, lecz całej właściwie naszej literatury narodowej. Cała literatura staropolska bez mała, ba, cała romantyczna aż po najwyższe szczyty tkwi najgłębszymi korzeniami w życiu i jego sprawach. Jest to literatura ideowa i problemowa par excelence. A więc siłą rzeczy uczonemu, przystępującemu do jej badania, owa ideologiczna zawartość dzieł narzucać się zawsze będzie z siłą nieodpartą, tym bardziej, że tylu największych pisarzy od Modrzewskiego, Orzechowskiego i Skargi aż po wielkich statystów i reformatorów naszych XVIII stulecia, od Mickiewicza do Żeromskiego czeka dotąd (nie łudźmy się co do tego) na szeroką, porównawczą, na tło europejskiej myśli rzuconą ocenę właśnie ich dorobku ideologicznego.

Zaprzysięgły zwolennik formalno-ergocentrycznej metody zaprotestuje w tym miejscu przeciwko wciąganiu w zakres ba-

STANISŁAW OSTOJA CHROSTOWSKI DRZEWORYT

WANDA KARCZEWSKA

Z „NOTATNIKA LIRYCZNEGO"

DWIE SIOSTRY

O świcie przychodzą dwie moje siostry
i stają obok mnie:
ta, której zbladły rumieńce i piersi zwiędły
i ta, co ustami z chłodu szepce mi:
jeszcze czas, jeszcze nie...

Dwie moje siostry,
z której jednej żal odejść,
a drugiej żal mnie powitać.
I ja — świadoma nieobecności
tej, której już brak, choć trwa jeszcze obok
i obecności tej, która się zbliża
wolno
jak obłok.

O siostry moje biedne,
poco ten żal i litość?
Uściski tej, której zwiędły piersi
są zimne tak samo jak tej,
która z nadejściem zwleka.

Siostry, to już jest wszystko jedno.

Jeśli między odejściem miłości,
a przyjściem śmierci
niema miłości życia
to —
nie czekać.

SAD

I cóż, mój ojcze, lata idą,
a ciągle pusty jest nasz sad:
złamana grusza, uschła śliwa,
sterczą szkielety drzew i malw.
W malin zaroślach, tam gdzie kiedyś
chłopięcy owoc słodkich warg
czerwieńszy był od gron soczystych
ciągle ten dół. Czy ziemi brak?

Ponad zagonem, tam gdzie astry
rosły fioletem smutnych barw
i koło studni — wciąż przystajesz.
A w izbie — w szatę patrzysz pełną szat,
z których wyrośli w wielkość śmierci
twa żona i twój syn,
a moja matka i mój brat,
w krematoryjny dym,
w Oświęcim.

A nas dwa stare, zbędne koła
z wozu, który czas rozbił zły,
o cembrowinę studni wsparte,
pokrapia deszcz, pokrywa pył.

Poskrzypieć jeszcze trzeba trochę,
lecz nim się przyjdzie rozpaść w proch,
chodź, ojcze, szczepić młode śliwy,
żywy zostawić sad i dom.
Nie jednych ich pochłonął czas.
I po nas także inni przyjdą.

„Notatnik liryczny" ukaże się niebawem jako 1-szy tom „Biblioteki Arkony".

dań literackich spraw nie mających (jego zdaniem) wiele wspólnego z istotą owych badań, nie mniej jednak życie przejdzie do porządku nad tym akademickim protestem. Żadna nauka, tym więcej humanistyczna, nie bytuje poza życiem, lecz stanowi część jego integralną. Życie, zmienne, niespokojne, wiecznie podążające naprzód jest regulatorem spraw nauki, nadaje ton i rytm, narzuca problemy i żądania. Żyjemy w epoce ideologicznych spięć, natężenia procesów ideowych do granic ostatecznych. Stoimy w samym centrum walki o nowe, może jeszcze nam nieznane oblicze przyszłego świata.

Nie ma dziedziny życia i twórczości ludzkiej, która by nie odczuwała owego ciśnienia ideowego czasów „burzy i naporu". Literaturę pojmuje się dziś otwarcie i coraz częściej jako narzędzie walki o nowy świat i nowego w nim człowieka. I to nie tylko ze strony zwolenników tzw. socjologizowania. Na jedno tylko symptomatyczne zjawisko, z naszego życia polskiego wzięte zwrócę tu dla przykładu uwagę. Oto regulamin obu najpoważniejszych nagród literackich, nagrody „Odrodzenia" i nagrody tyg. „Dziś i jutro" przyjmuje wyraźnie jako kryterium wyboru i wartościowania kryterium ideologiczne. Andrzejewski nagrodzony został nie za jakieś zdobycze formalne, nowe środki artystycznej ekspresji (pod tym względem jego sztuka pisarska wykazuje niedwuznaczne powinowactwa ze świetną, ale posiadającą długą tradycję szkołą europejskiego realizmu rzeczowego i psychologicznego), lecz za przejmującą analizę tragicznych powikłań i załamań powojennego życia polskiego. Podobnie przy ocenie twórczości Malewskiej decydującym czynnikiem była katolicka postawa pisarza, w dorobku dotychczasowym ujawniona. I nie jest to bynajmniej zamach na autonomię literatury, bo autonomia dotyczy tylko środków wyrazu.

W rzeczywistości każda wielka sztuka była zawsze ideowa, była wyrazem zmagania się człowieka — twórcy ze sobą i światem o najwyższą prawdę życia. Jeśli więc i dziś w dziełach literatury wysuwa się plan pierwszy zawartość ideowa, jeśli literatura ma być antycypacją życia, a pisarz przodownikiem w labiryncie ideowym czasów — to jakież płyną stąd konsekwencje dla krytyki i nauki o literaturze? Bardzo proste. Krytyk i badacz stają się z kolei przewodnikami po dziedzinach wartości zawartych w dziełach piśmienictwa i to nie tylko współczesnego, ale i piśmiennictwa wieków minionych, bo mądrość chwili dzisiejszej musimy wspierać na mądrości pokoleń umarłych, szukać naszej drogi w przyszłość w oparciu o najlepsze w przeszłości. Udostępnić i w obiektywnym świetle nauki ukazać bogate wartości ideowe zawarte w dziełach naszej literatury jest zadaniem krytyki i nauki dziś bodajże najbardziej aktualnym. Realizując ten postulat włączają się tym samym w nurt życia, co rozwija się pod znakiem walki o sens istnienia.

Wąże się z tym zagadnieniem sprawa inna. Nie sądzę, aby typ prac monograficznych poświęconych „życiu i twórczości" pisarzy należał do metodycznych przeżytków. Dr Zgorzelski zgłasza w tym względzie zastrzeżenia uważając, że ten tradycyjny w pewnym sensie wzorzec metodyczny nie jest „najwygodniejszą formą ujmowania zagadnień, jakie w związku z badaniem ewolucji sztuki poetyckiej wyrastają przed nowocześnie pojętą historią literatury".

Zgoda na to — częściowa. Niewątpliwie istnieją zagadnienia, cały las zagadnień, których po prostu według wspomnianego schematu opracować nie podobna. Nie mniej jednak dla wielu badaczy, może właśnie dla tych najbardziej „rasowych" humanistów, ten właśnie typ monografii indywidualnej będzie zawsze szczególnie pociągający. Bo nauka o literaturze jest nauką humanistyczną. Człowiek i jego sprawy są ośrodkiem centralnym jej zainteresowania. Wybitne dzieło literackie niewątpliwie samo w sobie, w całkowitym oderwaniu od dziejów twórcy może przedstawiać dla badacza interes fascynujący. Ale wydaje się, że największe arcydzieła właśnie dlatego mają w sobie potężną zdolność oddziaływania, iż wyczuwamy w nich żywą obecność realnie istniejącej osobistości twórczej. Czujemy wyraźnie, że żywy człowiek przyświadcza tu całym sobą każdemu słowu, każdemu zdaniu, że żywy człowiek zmaga się tu o swój ideał piękna i swoją prawdę. Dzieła literackie stają się jak gdyby historią walczącej duszy ludzkiej. Odtworzyć dzieje tej duszy, nakreślić wizerunek indywidualności twórczej możliwie najbliższy prawdy w oparciu o materiał w dziełach zawarty będzie zawsze ideałem wielu badaczy literatury tym więcej, że ostatecznie jakiż jest cel wszystkich nauk humanistycznych, jeśli nie poznanie człowieka, „istoty nieznanej"? Niewątpliwie „Pan Tadeusz" czy „Dziady" mogą stanowić same w sobie wystarczający przedmiot badań i dociekań, ale czyż poza tym nie interesuje nas Mickiewicz jako twórca i człowiek i to nawet wówczas, gdy zamknęła się dlań niepowrotnie epoka wielkiej twórczości?

Wszystkie te uwagi bardzo ogólnikowe i nie zawsze ściśle sprecyzowane (trudno o to w ramach artykułu) — nie mają na celu pomniejszać znaczenia większości nader słusznych spostrzeżeń Dra Zgorzelskiego. Istotnie wielkie są potrzeby nauki w stylistyce i wersyfikacji (choć w tych dziedzinach ruszono ostatnio poważnie z miejsca), a może jeszcze większe w zakresie metodologii i teorii. Na gwałt trzeba nowej metodyki, która by ustaliła przynajmniej najbardziej podstawowe pojęcia i położyła kres chronicznemu u nas chaosowi metodologicznemu, palącą koniecznością jest polska poetyka, która by wreszcie wytrąciła z rąk studiującej młodzieży obce, niemieckie i rosyjskie podręczniki i pozwoliła wprowadzać młodocianych adeptów polonistyki w tajnie kunsztu poetyckiego na polskich, rodzimych, jedynie zrozumiałych przykładach.

Postulaty dra Zgorzelskiego pod tym względem są ze wszech miar słuszne, oczywiste i godne poparcia. Natomiast nie do przyjęcia wydaje się proponowana przez niego hierarchia zagadnień, a przede wszystkim jego tendencje eliminacyjne w stosunku do pewnego kręgu zagadnień. Nie do przyjęcia ze względu na istotne i niezaspokojone jeszcze bynajmniej w tym zakresie potrzeby nauki, ze względu na sprzeczność ich z uprawnionymi aspiracjami wielu badaczy, a wreszcie — co najważniejsze — z powodu ich niezgodności z najgłębszymi tendencjami i zainteresowaniami epoki, której oblicze kształtuje się pod wyraźnie wzmożonym ciśnieniem ideologicznej walki o nowego człowieka.

Artur Hutnikiewicz

MALARSTWO BRONISŁAWA JAMONTTA

PEJZAŻ
Olej

WSPÓŁCZESNA GRAFIKA BUŁGARSKA

NICOLA TUSZUSOW

ŻNIWIARZ
Drzeworyt

STANISŁAW HEBANOWSKI
ZAGRODA PAMFILA

(Motto:) Pan komendant posterunku Polskiej Policji w Sancygniowie

Melduję, że dnia 23. 3. 1943 w czasie obławy w tut. rejonie za ukrywającymi się Żydami ja w tow. plut. Pawlika Wojciecha zastrzeliłem 10 Żydów w związku z czym zużyłem razem z plut. Pawlikiem 27 nabo) karabinowych.

Dnia 24. 3. 1943 tak samo podczas obła wy za ukrywującymi się Żydami w lasach Sancygniowskich również w tow. plut. Pawli ka zużyłem 15 naboi karabinowych, w czasie której to obławy zastrzelono 10 Żydów w lesie Sancygniowskim. W związku z powyższym proszę o wyjednanie mi zużytych naboi.

Farski, plut.

(z dokumentów posterunku policji granatowej w Dziełoszycach).

Ponura historia łączy się z przeżyciami Katarzyny. Zacznijmy więc od mało znaczących zawijasów, psychologicznych ceregieli.

Katarzyna nie zdawała sobie sprawy z niechęci do Wincentego która rosła w niej oddawna. Zaczęła się niedostrzegalnym znużeniem. Poprostu tak, jak często dzieje się z lalkami. Nie wiemy, kiedy dziecko przestaje się nimi interesować. Dopiero po kilku miesiącach dziewczynka porządkuje szafę, dostrzeże gdzieś w ostatnim kącie lalkę, dawniej nieodstępną swą towarzyszkę — teraz rzecz znamienną, tym bardziej śmieszną, kiedy przypomni się dawną wartość. Trzeba wielu lat, trzeba dorosnąć, ażeby rozrzewnić się na myśl o zgasłym sentymencie. W dziecku opuszczona lalka budzi tylko niechęć. Trudno określić przyczyny takiej zmiany uczuć. Raz jest to zajęcie się inną, piękniejszą zabawką, raz wyczerpanie się naszych możliwości kochania.

Podobnie było ze sprawą Wicka, ale dziarski chłopak nie rozumiał, że obecność jego może męczyć Katarzynę. Ufał krzepie swoich ramion, a twarde spojrzenie dziewczyny i jej milczący opór tłumaczył sobie obawą przed grzechem i wewnętrzną rozterką dobrej córki: walką między obowiązkiem posłuszeństwa ojcu, a głosem serca. Pamiętał przecież, jak splatała swoje drobne palce z jego palcami i jak rozplotła dla niego warkocze, które pachniały sianem z leśnych łąk. Pod powierzchnią z lodu — myślał — żyje gorąca krew.

Zdwoił wysiłki, żeby ją zdobyć znowu dla siebie. Stał się natrętny. Widywała go na rynku, w mieście kościele, umiał tak manewrować, że kiedy podniosła głowę, pochyloną przed ołtarzem, oczy ich musiały się spotkać.

Katarzyna unikała go, nie odpowiadała na pytania, z domu wychodziła rzadko, ale mimo to wyrastał przed nią, jak z pod ziemi, kiedy szła do sąsiadów lub wracała z pastwiska. Nie było prawie dnia, w którym nie zbiegły się ich drogi. Opalona twarz Wincentego stawała się coraz bardziej ponura i zawzięta. I tak obojętność i niechęć Katarzyny zmieniła się w odrazę. Ze wstrętem myślała o tej twarzy, grubych ustach i głupkowatym uśmiechu.

Ta druga faza skończyła się dramatyczną sceną. Chłopak napadł ją raz w polu, otoczył ramieniem i zapalił na jej twarzy rumieniec siarczystym, niespodzianym pocałunkiem. Potym szeptem zaklinał, żeby przyszła do niego.

Czuła ciepły oddech, śmierdzący wódką, widziała małe, przenikliwe oczy. Gwałtownym ruchem wyrwała się i potrąciła Wincentego. Błoto opryskało jej suknię. Zdobyła się na decyzję. Mierząc zimnymi oczami napastnika rzuciła zdanie: „Odejdź! dosyć mam ciebie". Uciekła, nie ścigał jej. Usłyszała tylko stłumiony śmiech i zdławione przez wiatr słowa: „Zapamiętasz mnie Kaśka, zapamiętasz".

Od tej chwili nie zbliżał się do niej. Wiedziała jednak, że śledzi ją. W nocy słyszała czyjeś kroki wokół domu. Czasem, wieczorem, niedaleko zagrody, za drzewem stała ciemna sylwetka i błyszczał nikły ognik papierosa. Zaczęły się dnie pełne niepokoju. Katarzyna z troską spoglądała na pochmurne niebo, po którym sunęły krzyczące wrony, z drżeniem słuchała trzeszczenia mebli, zamierała w bezruchu, gdy w oborze krowa zadźwięczała łańcuchem. Stary Pamfil krążył między domem a stodołą, poprawiał sztachety w płocie. W gnojowniku dymiła mierzwa. Z brzozy sypały się blade liście i zmrok wcześnie zapadał. W długich nocach jesiennych w Katarzynie tężał strach.

Franka, siostra Katarzyny, miała inne zmartwienia. Obładowana koszami, torbą i mniejszymi paczkami podróżowała w przepełnionych pociągach do Warszawy. Woziła towar. Wymaglowana w tłoku, zmęczona drogą, trwającą nieraz całą dobę, stale śledziła wygląd mijanych stacji. Brak ruchu na peronie wróżył nieomylnie, że do zastygłych w nagłej ciszy przedziałów wtargną brutale w żelaznych hełmach. Rewizje, wrzask, niezrozumiały szwargot i płacz kobiet, którym Niemcy wydzierali paczki z żywnością, były powszednimi przeżyciami podróżnych.

W Warszawie zatrzymywała się Franka u ciotki; syna staruszki zabrali w ulicznej łapance i wszelki ślad po nim zaginął na Pawiaku.

Ojciec Pamfil uważnie słuchał opowiadań Franki, druga córka w godzinach wieczornych uzupełniała jego wiadomości lekturą. A warto przecież było posłuchać co piszą gazety o wielkim świecie, o wojnie i skorzystać z książeczek, które chętnie dostarczał sekretarz zarządu gminnego, Zygmuś Nowacki.

Sekretarz coraz częściej odwiedzał dom Pamfila. Ochoczo rozmawiał przy kieliszku. Gospodarz wdzięcznie kiwał głową, wzruszony łaskawością światłego człowieka. Nowacki pochodził z pod Kępna, z każdym Niemcem umiał się dogadać, zarządzał domami pożydowskimi, a w miasteczku mówili, że jest człowiekiem bystrej orientacji.

Stary Pamfil, grzejąc się przy piecu, cieszył się leniwie i nieskładnie płynącymi myślami układał obrazki idylicznej przyszłości. Wyobrażał sobie huczne wesele jednej z córek z przystojnym urzędnikiem samorządu. I duma jego wzrastała, gdy pomyślał sobie, że zasobnie mógłby opatrzyć dzieci „na nową drogę życia". Ot, znalazłyby się pieniądze, żeby sprawić dziewczętom futerka karakułowe.

Niedalej, jak wczoraj, czytała Katarzyna Kalendarz rolniczy: „Karakuły udają się bardzo dobrze na glebach lekkich, a nawet lepiej, niż na ciężkich". Ubawiło Pamfila to urośnięcie zwierząt. Ho, ho, pomyślał — trzeba sprowadzić kilka owieczek. Sekretarz ułatwi sprawę z koleją. Hodowla nie jest trudna. Potym krótki proceder. „Przeczytaj, Kaśka, jak tam napisane"!

„Uboju jagniąt — czytała Katarzyna — dokonuje się w ten sposób, że ogłusza się je najpierw przez uderzenie młotkiem drewnianym, a potem przecina im się naczynia krwionośne przez wbicie noża u nasady szyi, tuż pod mostkiem". „A futerka będą klasa" — cmokał Pamfil i poklepał Katarzynę po ramieniu. Tak układało się życie zagrody, zdala od zawieruchy wojennej. Zamożność wzrosła, mimo okupacji. Sekretarz przynosił z sobą powiew szerokiego świata i wydawało się, że nic domowi nie grozi w spokojnej wsi nad małą rzeczką Mierzawą.

Jedynie Katarzyna taiła w sobie nieokreślone obawy i przeczucie bliskiego nieszczęścia.

Siedziała w kuchni nieruchoma, ręce jej opadały bezwładnie. Martwy wzrok wbiła w okno spotniałe i zamglone. Wiatr nagłym zrywem strzepnął na szybę grono kropli deszczowych. Przezroczyste pęcherze wydłużały się, nabrzmiewały i pękały, rozlewając się nerwowymi spiralami na zaparowanym tle. Szumiały drzewa. Żywiczne drzazgi trzaskały i blask ognia zaczerwienił podłogę wokół żelaznego pieca.

Kilkaset metrów od zagrody Pamfila na domu sołtysa czerwienił się od kilku godzin wielki plakat: dwujęzyczne rozporządzenie władz: „Najsurowszym karom do kary śmierci włącznie będą podlegać agenci żydokomuny, pachołcy wysługujący się Rosji, element zbrodniczy" — poprostu ci, którzy umożliwiają życie Żydom — z litości lub za pieniądze ukrywając ich u siebie.

Plakat rozwiesił sekretarz gminy i po spełnieniu funkcji urzędowej odwiedził gościnny dom. Po cichu zwierzył się Pamfilowi, że w najbliższych dniach nastąpi wielka obława na ukrywających się w lesie Żydów, jako ostatni etap aryzacji naszego społeczeństwa. Do gminy sprowadzono już granatowych policjantów, a mają nawet nadejść posiłki z żandarmerii niemieckiej. Zaznaczył, że akcja wpłynie uspakajająco na okolicę. „Nie będziemy się już obawiali nocnych wizyt, panie Pamfilu, kradzieży nie będzie, a mówiąc prawdę, dobrze, że oni to za nas zrobią i odpluskwią wreszcie kraj". Mrugał okiem, chcąc podkreślić, że przemawia przez niego świadomy polityk.

Stosunek Nowackiego do Żydów nabrał w czasie okupacji pełniejszego wyrazu zwłaszcza przy administrowaniu domów pożydowskich; przed wojną trudnił się jedynie kolportażem pisemka antysemickiego „Szabeskurier" i brał raz po raz udział w pochodach, nosząc transparent, własnoręcznie wykonany: „Żydzi zakałą Europy".

Teraz wygodnie rozparty przy stole w ciepłej izbie sprawdził palcami lewej ręki, czy wąsik układa się należycie i zwrócił się do Katarzyny: „A panna Kasia tak zadumana dzisiaj... pomyślę, że wypatruje gościa przez okno". Uroda dziewczyny robiła na nim wrażenie. Czarne brwi, bladość cery, usta o pełnych wargach, a przede wszystkim jej milczenie skłaniały sekretarza do ciągłych uwag i spostrzeżeń na różne tematy, którymi chciał rozruszać „śpiącą królewnę". Rozmawiał z Pamfilem, a strzygł uszami i oczami w stronę Katarzyny, żeby sprawdzić efekt swych słów. Nie zauważywszy żadnego oddźwięku mimo godzinnej gadaniny zwrócił się bezpośrednio do dziewczyny.

Facecje i przechwałki były dla Katarzyny koniecznym uzupełnieniem tygodnia tak jak codzienne dymienie rozpalonego pieca w kuchni i natręctwo krowiego ogona przy doju. Nie chciała jednak, żeby bywały w świecie człowiek posądził, że języka w gębie zapomniała i peszy się jak prosta parafianka. Powiedziała więc grzecznie: „Tak sobie patrzę"... „Dnie wcześnie się kończą". — Tu zabrakło jej tematu. Dodała szybko: „Do sołtysa idą policjanci".

„Zaczyna się", rzekł z uśmiechem człowieka dobrze poinformowanego Nowacki i pożegnał się śpiesznie, jakby chciał zaznaczyć, że i on jest potrzebny, gdy chodzi o ważne sprawy.

W sieni zatrzymał się jeszcze, spotkawszy Frankę. Mówił głośno, żeby w izbie mogli go usłyszeć: „A jutro, panno Franko, przyniosę patefon i płyty. Są śliczne kawałki, „Zebyś ty wiedziała, jak mi się chce" i drugi sentymentalny „Zbrakło mi dojścia do ciebie" i inny „Szkoda, że nie ma niebieskich róż". Zatańczymy sobie".

Już był za drzwiami. Padał drobny deszcz. Sekretarz podniósł kołnierz i nastroszony szedł wąską ścieżką między rzędami przyciętych wierzb. Gliniasty grunt rozmókł, ślizgał się więc i zatrzymywał co kilka kroków, balansując jak indyk, wydymający się na podwórku. W gardle gulgotał mu refren piosenki. Czasem dla zadokumentowania wewnętrznej pogody bił się laseczką po cholewach. Echo odpowiadało głuchym trzaskiem, jakby gdzieś blisko padały strzały z rozpylacza.

Naftul, wyszedłszy z lasu, skradał się płytkim rowem. Raz po raz stawał i nadsłuchiwał. Wieś, do której wolno się zbliżał, była zupełnie spokojna. Wiatr tylko szumiał jednostajnie w lesie, który został za nim i trzepotały się resztki liści na gruszy, rosnącej przy miedzy. W dali na widnokręgu drgały tuż nad ziemią rzadkie światełka szeroko rozrzuconych domów. Ciężkie krople deszczu spadły na czoło Naftula i równocześnie otoczył go zewsząd szelest nagłej ulewy. Ruszył szybciej, odgarniając rękami spotykane w ciemności gałęzie kłującego głogu i pręty gęstego żarnowca. Rów kończył się nagle. Naftul wydostał się na ścieżkę wysadzoną wierzbami. Błoto kląskało. Ciążyły buty, oblepione gliną.

Znalazł się przy dużej zagrodzie. Za stodołą potknął się o świeżo zwiezioną kupę kompostu. Wydało mu się, że jest na cmentarzu i że o grób zawadził nogą.

Jedno z dalekich światełek zgasło i zdrętwiał na myśl, że niebawem zaczną gasnąć następne światła, jedyne łączniki między nim, a życiem innych ludzi. Dziś, kiedy zdecydował się opuścić szałas w lesie, nie mógł już zgodzić się na jeszcze jedną samotną noc.

Wyłamał sztachety, wsunął się do ogrodu i znalazłszy się przy domu Pamfila przywarł całą twarzą do oświetlonego okna.

Zjawa, którą Katarzyna zobaczyła w oknie, była przerażająca. Spłaszczony nos, blade policzki, czarna broda od wielu dni nie golona, czerwony błysk oczu, zapatrzonych w płomień naftowej lampy — były jakby krzywym zwierciadłem, odbijającym wrogo nieofiarowaną życzliwość wnętrza i jego mieszkańców.

Dziewczyna chciała krzyknąć, ale głos nie doszedł nawet do warg, zmienił się tylko w niemy skurcz gardła, krew spłynęła do serca i zdusiła oddech w płucach, bezwładna ręka wypuściła łyżkę, która stoczyła się na podłogę. Pamfil skierował powoli swoje małe oczy na córkę, odłożył nadgryzioną pajdę chleba, otarł rękawem usta i dostrzegł również dziwnego przybysza w oknie.

Nie darmo mawiał: „Mnie zbujać trudno". Przypomniał sobie zdarzenie z przed lat. Wracał późną nocą po imieninach narzeczonej ze Sancygniowa. I wtedy na rozdrożu przy wierzbie zobaczył w świetle wschodzącego księżyca, chudą postać w białej, długiej koszuli. W pierwszej chwili okropny strach go obleciał, dopóki nie

uświadomił sobie, że to tylko może być duch skąpej ciotki Frani, żebrzący po śmierci o modlitwę. Sklasyfikowanie wróciło mu równowagę, wypluwszy magiczną formułkę „Wszelki duch Pana Boga chwali", przeszedł mimo pokutującej ciotki, nie interesując się nawet możliwą odpowiedzią, tłumaczącą zaświatowe dolegliwości upiora.

Ta właściwość umysłu pozwoliła mu w widmie za oknem poznać Naftula, dawnego szewca ze wsi, który razem z resztą niewywiezionych Żydów — uciekł przed rokiem do lasu.

Wstał powoli i zwrócił się do okna pojednawczym, prawie przyjacielskim ruchem ręki. Twarz znikła. Po chwili w sieni, rozległ się cichy chrobot. Drzwi uchyliły się. Płomień lampy zachwiał się od przeciągu. Szum ulewy zagłuszył na chwilę skwierczenie słoniny na patelni.

Człowiek, który wszedł, zrobił kilka kroków, oparł się o komodę i cicho powiedział: „Już dawno się nie widzieliśmy, dobry wieczór".

Praktyczna Franka wyjrzała z kuchni. W milczeniu rozpięła na oknie grube płótno.

Odzież Naftula śmierdziała w ciepłej izbie, jak mokre kudły psa. Ścienny zegar chrząknął, ale rozklekotany mechanizm nie rozkaszlał się, chociaż wskazówki mijały ósmą.

Pamfil posadził gościa na krześle koło stołu, Katarzyna przyniosła talerz gorącej zupy. Franka przykręciła jasno świecącą lampę.

Znali się dobrze. Gospodarz miał jeszcze na nogach buty, które szewc zrobił przed wojną. Teraz słuchali, jak Naftul w krótkich zdaniach mówił o swej ucieczce ze wsi.

Wyszło ich pięciu. Kobiety i dzieci pozostały, nie mogąc zdecydować się na życie w lesie, może łudząc się, że nie spotka ich wspólny los Majdanka. W lesie sancygniowskim przesiedzieli kilka tygodni. Potem rozeszli się. On i Moszek poszli na południe, w kierunku Działoszyc. Tak przeżyli pół zimy, wędrując nocami do pobliskich wsi po żywność. Na szczęście nie było śniegu i ślady nie zdradzały ich kryjówki. U leśniczego Kowalika udało się przeżyć kilka mroźnych tygodni. Pewnego dnia gospodarz wrócił z miasta pijany w złym humorze. Oznajmił, że nie może się dłużej narażać. Od niego dowiedzieli się też, że plutonowy Pawlik wystrzelał w zimowej obławie dawnych towarzyszy z lasu sancygniowskiego.

— „Zimno dokuczyło im najbardziej na wiosnę. Zużyli widocznie cały zapas ciepła w zimie. Zagrzebani głęboko w brodlach, trzęśli się jak w febrze. Jedyną nadzieją dla nich były szeroko rosnące zboża. Najdzieją lepszej ochrony przed wrogiem, — zapowiedzią ciepłych dni.

Ale Moszkowi nie pomogło już czerwcowe słońce: nie rozgrzał wynędzniałego ciała. Drżał i zęby mu szczękały, jakby mróz ciągle trzymał. — I lekarstwo na nic się nie przydało.

„Kiedy przyprowadziłem ze wsi lekarza — wieczorem, żeby nikt nie widział — Moszek nie poznał mnie wcale — rękami tylko drapał ziemię, jakby chciał pokazać, że tam ma być jego grób".

Pogrzebał towarzysza i wrócił w swoje strony. W lesie między odrastającymi olszynami jest wielki gąszcz jeżyn, wielkie cierniste krzaki bronią dostępu. Tam pod okrągłą górą — obok borsuczych jam zbudował szałas z zeschłych liści i słomy. Poczciwi ludzie podrzucali mu jedzenie w zawiniątku przy dzikiej gruszy. Wczoraj razem z chlebem znalazł kartkę z napisem: „Niemcy szykują obławę". Chciał zawiadomić o niebezpieczeństwie grupę Abrama — przedarł się do Podlesia — ale nie zastał nikogo w ruinach starej owczarni. Zmrok zapadł, wyszedł z lasu.

„Światła ciągnęły mnie, panie Pamfil, jak ogniki błędne. Myślałem, że nigdy do nich nie zajdę... Waszego domu nawet nie poznałem... Spokojnie tutaj..." Gospodarz wyciągnął z szafy kwaterkę wódki „Żeby się lepiej spało" — powiedział. Trącili się kieliszkami.

W piecu opadło dogasające drewno, zegar jęknął niedopowiedzianą godzinę. Franka wyniosła z komory duży, czarny koc i położyła go na komodzie.

Pamfil, częstując gościa machorką, stwierdził ogólnikowo: „Takich to czasów dożyliśmy" — łatwym zdaniem zabierał dla siebie bezbolesną część cudzej niedoli.

„No, dziewuchy, jutro też jest dzień, do doju trzeba rychło wstać" — przerwał milczenie.

Franka wyniosła lampę i w kuchni zaczęła robić porządki.

„W stodole na sianie będzie wygodnie i okrycie mamy dla was" rzekł Pamfil, odbierając koc od Kaśki.

Deszcz padał grubymi kroplami. Przed domem wpadli do kałuży, śmierdzącej gnojówką. Cicho rozwarły się wrota stodoły — „Dziękuję, dobrzy ludzie" szepnął Naftul, gramoląc się z kocem na siano. „Nie wychodźcie za dnia na podwórze" — ostrzegł go Pamfil, manipulując w ciemności przy zepsutej zasuwie.

„Paskudne powietrze" — mruknął do siebie, wracając do domu. Z przyzwyczajenia zatrzymał się na progu, żeby — jako dobry rolnik — wywróżyć z nieba jutrzejszą pogodę. Czarne chmury zakrywały cały widoczny horyzont. Deszcz ustał, mimo to było tak ciemno, że ledwo dostrzegał kontury starej brzozy. Wciągnął w płuca wilgotne powietrze i nagle z niedowierzaniem zaczął mrugać oczami. Po drabinie zielonawych szczebli wskoczyła na niebo, z północnej strony wielka, żółto płonąca kula. Rozrzuciwszy snop iskier, opadła powoli, gasnąc nad lasem.

Zacisnął pięści i długo stał w niemym zdumieniu. Powoli zgarbił się, przybity bezradnością i ciężkim strachem. Poczuł na ramieniu rękę i ocknęły go słowa Katarzyny: „Ojciec, dlaczego nie wracasz? co stało się?"

„Nic, nic, to Niemcy puszczają rakiety" — odpowiedział wchodząc do domu.

W izbie szorstko pożegnał się z Katarzyną. „Co gapisz się na mnie? Franka chrapie już w komorze, aż chałupa się trzęsie, a ty kusisz po nocy i wyglądasz potem za dnia, jakby cię pies wyrzygał".

Kiedy został sam, nie położył się jednak. Usiadł na krześle przy stole. Jednym łykiem wypił resztę wódki z butelki, podparł rękami głowę i zamyślił się głęboko.

Uświadomił sobie, że żadne zaklęcia i egzorcyzmy nie przepędzą intruza, który wtargnął do ich domu. Naftul pozostanie w zagrodzie niby kamień przywiązany do nóg pływaka. Każdy turkot woza, szczekanie psów, dźwięk obcych głosów przypomina mu jego obecność. Każdej chwili może się spodziewać nieszczęścia. Szpiegów przecież pełno się kręci. „Wiadomo! biedny człowiek! Ale poco przyszedł właśnie do nas. Powiedział gładko: dobranoc, dobrzy ludzie! Ślicznie! Czy nie wie jednak, że obecnie wszystkim w zagrodzie grozi to samo niebezpieczeństwo".

Przypomniał sobie miłe i szczere pogawędki z Nowackim. „Tyle zrobił dla nas dobrego. A teraz trzeba będzie przed nim ukrywać Żyda. Cichaczem nosić strawę do stodoły. Sekretarz straciłby zaufanie do starego Pamfila". Często mówił mi o sprawie żydowskiej, o aryzacji. Rakieta jest znakiem, że zabiorą się dokładnie do roboty. I jeżeli w lesie Żydów nie znajdą, zaczną się rewizje we wsi. A wtedy — sekretarz nie pomoże, nie chciałby nawet mieszać się do brudnej historii.

Rakieta! Widocznie las szczelnie otoczyli. Ilu żandarmów musieli sprowadzić na taką wyprawę! Jutro z samych nudów będą łazić po domach. Zeszłego roku przypadkiem zwykłym wykryli tajną gorzelnię.

Zgrzyt zegara przyśpieszył bieg jego myśli. Wyraźnie zarysowała się nieuchronna konieczność pozbycia się przybysza z pod swego dachu.

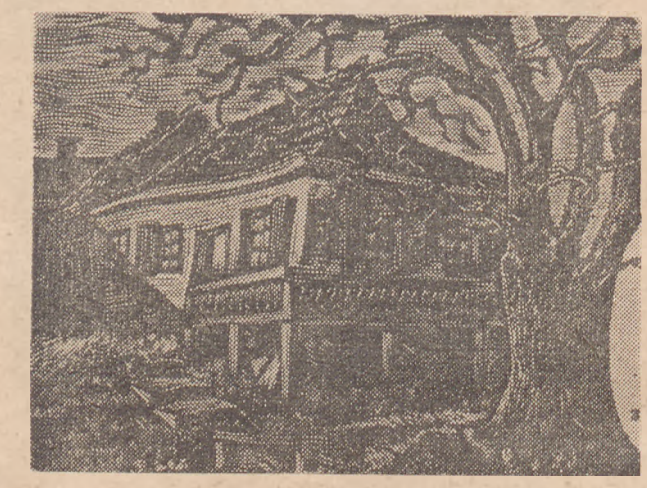

PEJZAŻ POMORSKI

ZYGMUNT PAZDA

Stary dworek (drzeworyt)

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie obudzić Naftula i opowiedzieć mu poprostu o obwieszczeniu niemieckim: jaką katastrofą grozi obecność jego wszystkim mieszkańcom zagrody.

„Powiem", — myślał — „mniejsza o mnie, ale o dziewczęta chodzi". Szybko porzucił ten zamiar.

„Dzieci, nie dzieci, Kowalik też nie chciał się narażać. Przepędził ich z leśniczówki, ale jakoś brzydko wygląda ten postępek. Widać, że Żyd ma żal do niego".

Pamfil liczył się z wszelką opinią i nigdy nie trwonił słów. Poza tym nie był pieniaczem i cenił spokój. Możliwa dyskusja z Naftulem wydawała mu się męcząca, bezskuteczna.

Nie mogąc znaleźć żadnego rozwiązania pozwolił myślom uciec w próżnię. Przed oczami Pamfila płynęły teraz obrazki z dawno minionej przeszłości: Jakiś niedzielny spacer z nieboszczką żoną między polami dojrzewających zbóż, daleki dźwięk dzwonów na Anioł Pański, spokojny powrót przez łąki, zarzucone stosami schnącego siana, świergot wróbli, które całymi chmurami zlatywały się na noc do dzikiego wina przy domu, postękiwanie starych krów w oborze, zdrowy zapach razowego chleba i kawy świeżo palonej, osnuwający całą zagrodę. Jak odległe czasy! Katarzyny jeszcze nie było na świecie. Chłopskie życie wyaksamitniało w jego wspomnieniach! Tym bardziej rozjątrzył się w nim gniew przeciw mącicielowi pokoju.

„Muszę się go pozbyć" — powtórzył, grubymi paznokciami szorując ceratę na stole.

Potrącił ręką książkę. Dojrzał tytuł artykułu: „Hodowla Karakułów". Mimowoli pochylił się nad tekstem.

Nagle zbladł. Zimny dreszcz przewiercił całe jego ciało. Siedział chwilę bez ruchu. Nadsłuchiwał Głęboką ciszę pruł jedynie szmer wznoszącego się i opadającego wahadła.

Wolno podszedł do komody. Ostrożnie wysunął szufladę. Wyjął stamtąd młotek. Rozejrzał się jeszcze raz po pokoju, jakby szukając sprzymierzeńca wśród otaczających go przedmiotów. Zbadał w ręku wagę młotka. Uchylił drzwi i zniknął w ciemności.

Kiedy dziewczęta wstały rano, ojciec już nie spał. Zdejmując zasłonę z okna burknął pod nosem, że Naftul wczesnym rankiem pożegnał się. Przybycie Niemców nie wróżyło okolicy nic dobrego. Musiał szukać spokojniejszej wsi.

Był piękny, pogodny dzień. Strącone przez wczorajszy wiatr liście zakryły miękkim, kolistym dywanem ziemię w około brzozy. Słońce raziło oczy ostrymi, ukośnymi promieniami. Pług porzucony na środku podwórka błyszczał wysrebrzonym w orce lemieszem. Pamfil idąc do stajni rozsypał trochę obroku. Ćwierkające na dachu wróble sfrunęły szarą masą na udeptaną ścieżkę. Z komina unosił się pionowo cienki słup dymu.

Skrzypnął żuraw. W oborze krowy odpowiedziały niskim pomrukiem. Katarzyna, trzymając w jednej ręce koromysło, pochyliła się nad studnią. Franka zaczęła trzepać przed domem czarny koc.

Szybko przerwała swoją czynność. Za płotem stał sołtys, bardzo zaniepokojony, nerwowo drepcząc nogami. Ręką dawał znaki — porozumiewawcze i uniewinniające swoją niespodzianą obecność. Zanim zdążyła zrozumieć wymowę tych gestów, sołtys zmalał i znikł, za sztachetami. Na jego miejscu zjawili się dwaj żandarmi, dwie wielkie postacie w szaro-zielonych mundurach. Jeden z nich, o suchej twarzy i ostrym profilu, ogarnął szybkim spojrzeniem całą zagrodę i zwrócił się z pytaniem do towarzysza. Tamten potakująco kiwnął głową. Obaj warknęli drwiąco i wymienili uśmiechy. Zaraz jednak twarze ich ściągnęły się urzędowym gniewem i zastygli w zimnej powadze. Powietrze przeszył huk rozkazu. Furtkę przy płocie otworzył niewidoczny dotąd granatowy policjant, wskazując drogę przełożonym, którzy zwycięsko wmaszerowali na podwórze. Wydawało się, że nie dostrzegają Franki. Otoczenie budziło w nich wyraźne lekceważenie. Wysoki Niemiec, idąc lekkim krokiem, strącał pejczem z krzaków liście i krągłe białe owoce śnieguliczki. Postępujący za nim grubas skupił całe swoje zainteresowanie na toczących się po ziemi kulkach i systematycznie rozgniatał je butami.

Dochodzili właśnie do studni, kiedy Pamfil wychylił się ze stajni. Zachowanie ich zmieniło się gwałtownie. Opasły Niemiec zczerwienił się nagle na twarzy, rzucił się naprzód i w kilku susach dopadł Pamfila. Na łeb starego posypał się grad niezrozumiałych przekleństw.

Drugi żandarm zatrzymał się przy studni. Pejczem przywołał stojącego przy wejściu policjanta i zaczął się przyglądać uważnie swoim paznogciom, obojętny na wzmagający się krzyk przy stajni. Sołtys, który wsunął się do zagrody z policjantem, zbliżył się do Franki i rzekł cicho: „To wszystko przez Wincentego. Widać, że bardzo na was zawzięty. Był rano u żandarmów i oskarżył was, żeście zabili niekolczykowaną świnię i zakopali dziś w nocy przy stodole".

Pamfil drżał i mrugał oczami. Policjant tłumaczył mu o co chodzi, ale nic nie rozumiał. Żandarmowi od wrzasku nabrzmiewały żyły na szyi. Zasapał się i umilkł na chwilę. Wtedy elegancki Niemiec przy studni uniósł głowę, i miękkim głosem powiedział: „Szpadel"! Policjant chwycił Pamfila i popychając go w stronę domu, ryknął do ucha: „Bierzcie łopatę, będziecie kopać. Stary ruszył jak automat, krople potu z czoła spadały mu na policzki.

Katarzyna stała przy oknie, oparta o ścianę. Widziała przybycie żandarmów, słyszała krzyki. Nie czuła nawet strachu. Wzrok jej dokładnie chwytał i rejestrował ściśle wszystkie szczegóły. Sołtys usunął się pod brzozę. Policjant przyprowadził ojca do sieni i wrócił na podwórze. Wrota stodoły otworzyli na przestrzał. Gruby Niemiec i policjant stali przy Pamfilu, który za stodołą rozkopywał kupę kompostu. Drugi żandarm, oparty o studnię, palił papierosa i śledził niknący w powietrzu dym.

Franka wpadła do izby: „To sprawa Wincentego! Ktoby przypuszczał, że z niego taki świntuch — szepnęła — z zemsty nagadał Niemcom niestworzonych historii. Ale nie bój się, nic z tego nie będzie".

Katarzyna nie odpowiadała. Nie bała się żandarmów. W jasne południe jesienne dostrzegła zło, którego już nie potrzeba się lękać — coś, przed czym nie można uciec, ani ukryć się — wiedziała, uświadomiła sobie, co się stało w zagrodzie Pamfila.

Sylwetki za stodołą pochyliły się nad rozkopanym grobem. Policjant zlazł do dołu — Niemiec znów zaczął wrzeszczeć i z wielkiego wrażenia aż przykląkł na mokrej ziemi. Po chwili podniósł się. Trzymał w rękach żółtą kopertę i przeglądał jej zawartość. Nagle odwrócił się do Pamfila, który zgarbiony opierał się o łopatę i filuternie trzepnął go po ramieniu. Z grubego cielska wydobył się zrazu głuchy rechot, a potem śmiech runął szeroką lawiną na całą zagrodę. Flegmatyczny żandarm również ożywił się i odrzucił papierosa. Sołtys, czując poprawę sytuacji, wylazł z za brzozy i podreptał w ślad za wysokim Niemcem, do wrót stodoły.

Niemcy szwargotali między sobą, przeglądali znalezione papiery. Gruby zapytał o coś Pamfila, ten nie zrozumiał. Wysoki machnął ręką. Policjant odpowiedział za gospodarza. Przy studni zatrzymali się. Policjant splunął i powiedział mimochodem: „Kupę dolarów miał ten wasz żyd".

Wysoki Niemiec chwilę namyślał się. Potem kiwnął na Pamfila, wyjął z koperty zielony amerykański banknot i wcisnął go do garści staremu.

Stanisław Hebanowski

ANTOINE DE SAINT-EXUPERY *Przełożył: EDWARD MARTUSZEWSKI*

Z ROZWAŻAŃ NAD TECHNIKĄ

FRAGMENT KSIĄŻKI „ZIEMIA LUDZI"

To nie ważne, Guillaumet, jeśli dni i noce twojej pracy upływają na kontrolowaniu manometrów, na utrzymywaniu równowagi w żyroskopach, na nadsłuchiwaniu oddechu motoru, na opieraniu się o 15 ton metalu. Problemy, które stają przed tobą są przecież koniec końców problemami człowieka. W jednej chwili zdobywasz szlachectwo człowieka gór. Jak poeta umiesz wyczuć smak zbliżającego się wschodu słońca. W głębi przepaści trudnych nocy często pragniesz pojawienia się bladego bukietu, tej jasności, która wytryska na Wschodzie z czarnej ziemi. Nieraz roztapia się przed tobą powoli ta cudowna fontanna, przywracając ci życie, gdy zdawało się już, że umierasz.

Używanie mądrego instrumentu nie przemieniło cię w suchego technika. Zdaje mi się, że mylą cel i środek ci, którzy zbytnio przerażają się naszym postępem technicznym. Istotnie, walka jedynie w nadziei uzyskania dóbr materialnych nie daje niczego, dla czego warto byłoby żyć. Lecz maszyna nie jest celem. Samolot nie jest celem — tylko narzędziem. Tak samym narzędziem jak pług.

Jeśli zdaje się nam, że maszyna wciąga człowieka w przepaść, to być może dlatego, że brak nam spojrzenia z dalszej odległości, aby móc osądzić wysiłki przemian tak szybkich, jak te, które przeszliśmy. Czym jest sto lat historii maszyny w porównaniu z 200 tysiącami lat historii człowieka? My dopiero instalujemy się w tym krajobrazie kopalń i central elektrycznych. My dopiero zaczynamy mieszkać w tym nowym domu, którego jeszcze nawet nie skończyliśmy budować. Wszystko wokół nas zmieniło się: stosunki międzyludzkie, warunki pracy, zwyczaje. Nawet nasza psychologia zaatakowana została w swych najimtymniejszych podstawach. Pojęcia rozdzielenia, nieobecności, odległości, powrotu, jeśli nawet słowa pozostały te same, nie zawierają już tych samych rzeczywistości. Aby pojąć świat dzisiejszy używamy języka, który był używany wczoraj. Życie przeszłości zdaje się bardziej odpowiadać naszej naturze z tego prostego powodu, że bardziej odpowiada naszemu językowi.

Każdy krok postępu oddala nas od przyzwyczajeń, które zaledwie przed chwilą stały się naszymi. Jesteśmy prawdziwie emigrantami, którzy nie założyli jeszcze swojej ojczyzny.

Jesteśmy wszyscy młodymi barbarzyńcami, których jeszcze oczarowują nowe zabawki. Nasze loty nie mają przecież innego sensu. Samolot podnosi się zbyt wysoko, leci zbyt szybko. Zapominamy o tym, dlaczego kazaliśmy mu lecieć. Pęd, chwilowo, ma przewagę nad swym przedmiotem. I to tak bywa zawsze. Dla założyciela nowego imperium sensem życia jest zdobywanie. Żołnierz pogardza osadnikiem. Lecz czyż celem zdobywania nie jest sprowadzenie osadnika? Podobnie i my zachwycając się naszym postępkiem kazaliśmy człowiekowi służyć w zakładaniu kolei żelaznych, w budowaniu fabryk, w wierceniu szybów naftowych. Zapomnieliśmy, że stawiamy te budowle po to, by służyły człowiekowi. Nasza moralność w okresie zdobywania była moralnością żołnierza. Lecz teraz trzeba gospodarzyć. Musimy ożywiać ten nowy dom, który nie ma jeszcze swojego charakteru. Dla jednego prawdą było budowanie, dla drugiego — mieszkanie.

Nasz dom powoli stanie się bezwątpienia coraz bardziej ludzki. Maszyna, im bardziej się wydoskonala, tym bardziej ginie w porównaniu ze swym przeznaczeniem. Wydaje mi się, że każdy techniczny wysiłek człowieka, wszystkie jego obliczenia, wszystkie jego noce czuwania nad planami, kończą się dążeniem do prostoty, jakgdyby doświadczenie wielu pokoleń było potrzebne tylko po to, by powoli uwysmuklić skrzywienie kolumny, ustalić linię dna statku, kadłuba samolotu, aby ostatecznie dać im pierwiastkową czystość linii piersi, czy też ramienia. Zdaje mi się, że praca inżynierów, rysowników, kalkulatorów w biurach studiów jest niczym innym jak tylko gładzeniem i wymazywaniem, pozbawieniem ciężaru wiązadła, wyszukiwaniem równowagi skrzydła dotąd, dopóki się tego nie zauważy, dotąd dopóki nie ma już skrzydła doczepionego do kadłuba, lecz istnieje jedynie forma doskonale rozwinięta, wyzbyta swej skorupy, całość spontaniczna, czarownie powiązana, mająca wartość poematu. Zdaje mi się, że osiąga się doskonałość nie wtedy, gdy nie ma już nic do dorzucenia, lecz wtedy, gdy nie ma już nic zbędnego. Zakończenie ewolucji maszyny to jej przekształcenie.

Doskonałość w pomysłowości okazuje się w ten sposób ostatecznie brakiem tejże pomysłowości. Należy podziwiać właśnie to, że w instrumencie cały pozornie skomplikowany mechanizm powoli się zaciera i otrzymujemy przedmiot tak naturalny, jak kamyczek wygładzony przez morze. Podziwiać należy to, że maszyna w miarę, jak jest używana, powoli każe o sobie zapomnieć.

Niegdyś stykaliśmy się ze skomplikowaną fabryką. Dziś zapominamy już o tym, że motor się obraca. Ostatecznie — spełnia swą funkcję, tak jak bije serce. My przecież nie zwracamy już na to uwagi, że nasze serce bije. Narzędzie nie pochłania już naszej uwagi. Poza narzędziem, choć za jego pośrednictwem, odnajdujemy starą naszą naturę, naturę ogrodnika, żeglarza, poety.

Z chwilą startu pilot wchodzi w kontakt z wodą lub powietrzem. Gdy motory są już zapuszczone, gdy aparat już przebywa morze, kabina dzwoni jak gong i człowiek może kontynuować swą pracę z całym wysiłkiem. Czuje wtedy z sekundy na sekundę, w miarę nabierania szybkości, jak powiększają się możliwości hydroplanu. Czuje jak w tych 15 tonach materii przygotowuje się dojrzałość, która umożliwia lot. Pilot zaciska dłonie na sterze i powoli wpuszczając do swych piersi nabiera tę moc — jak dar. W miarę, jak wchłania ją w siebie, metalowe części steru stają się przekaźnikami mocy. A gdy dojrzała już, ruchem bardziej lekkim niż ruch zbierania pilot oddala samolot od wody i umieszcza w powietrzu.

GUILLAME APOLLINAIRE *Przełożył: BOGDAN OSTROMĘCKI*

Z A W S Z E

Zawsze
Będziemy szli coraz dalej nie posuwając się naprzód nigdy
I od planety do planety
Od nebulozy do nebulozy
Don Juan tysiąca i trzech gwiazd
Nie opuszczając ziemi nawet
Szuka nowych sił
I widma bierze na serio.

Zapominamy coś szybko tak
O wielkich tych którzy z pamięci ludzkiej wszystko wymazują
Któż więc pozwoli nam zapomnieć taką lub inną świata część,
Gdzież jest Krzysztof Kolumb, któremu powierzono lądów zagubienie
Zgubić
Ale zgubić naprawdę,
Ażeby zgubę odnaleźć móc
Zgubić
Życie, aby Zwycięstwo znaleźć.

JAN COCTEAU *Przełożył: BOGDAN OSTROMĘCKI*

CZY MNIE SŁYSZYCIE?

Francjo zielona i wspaniała
Co wino i kobiety rodzisz
Jakich nie wyda żadna z rodzin
Narodów Europy całej

Gdy Cię opiewam na swój sposób
Każdy odwraca się i kpi
Ale epoki nadejdą dni
Że posłuchają mego głosu.

I ten, kto ciągle drwić był rad
I patrzył myśli me najszczersze
Zrozumie nagle, że te wiersze
Głosiły zawsze tylko ład.

I przyjacielem będzie wiernym
Mówiąc: czyż taki błąd jedyny
Ciąży tu na nim, że on rymy
Kładł w środku i na końcu wierszy?

Śmiało! Ronsard niech Cię prowadzi,
Bo on zwycięża przez to śmierć,
Że serce przebił róży cierń
Dlatego moje pióro krwawi.

Człowieka nie porywa głos
Słowika, który śpiewa za dnia
Lecz wzrusza cisza go cmentarna
I serce — rozsypane w proch.

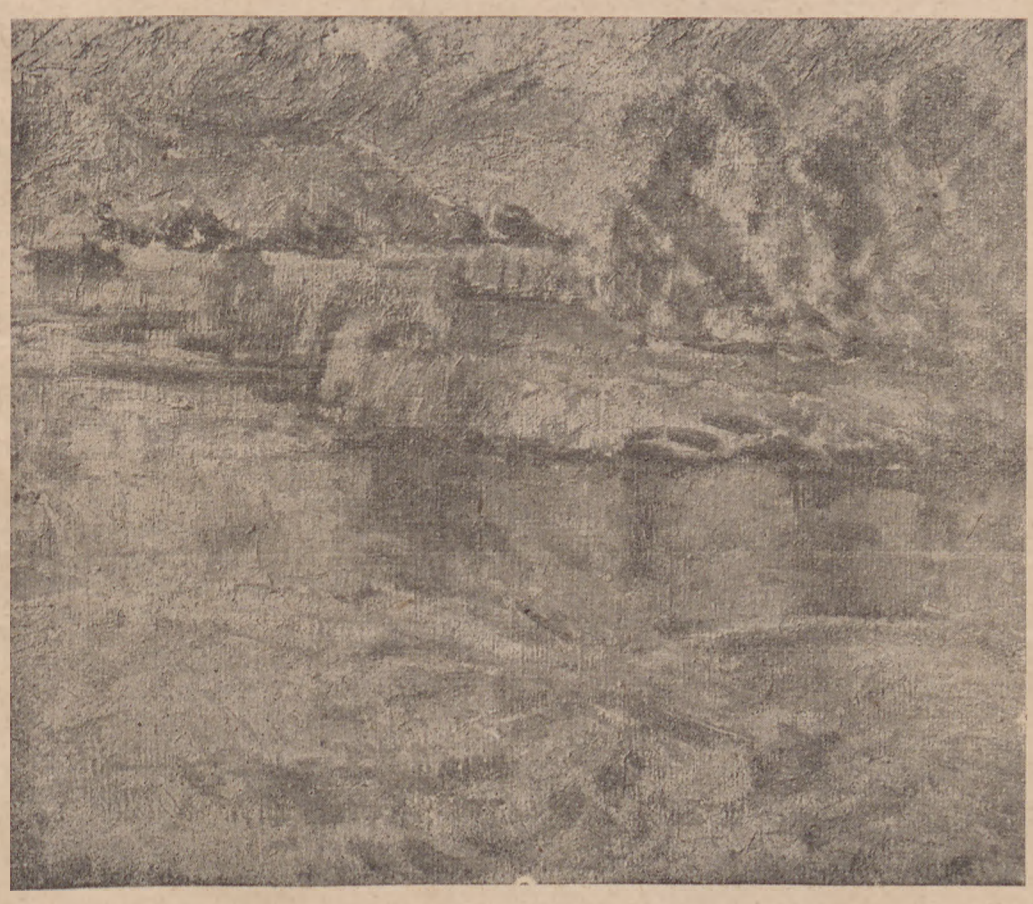

EUSTACHY WASILKOWSKI

PEJZAŻ
OLEJ

G. APOLLINAIRE

O D J A Z D

A twarze ich blade się stały
A łkania ich rwały się

Jak śniegu czyste płatki białe
Lub jak twe dłonie kiedy żegnam Cię
Ostatnie liście opadały.

Przełożył: Bogdan Ostromęcki

MARIAN TURWID

NARADA

FRAGMENT OPOWIADANIA Z CYKLU „LUDZIE Z DOLINY"

— Powiedzieli: jutrzyjszym transportem?

— Tak.

— To sie znaczy, że wywolać by mieli dzisiyszy nocy?

— Ano niby tak. Ino nie wiada, czy tu wew Słomowie, czy gdzie indzi.

— Włośnie: nie wiada, — podchwycił ktoś skwapliwie wątłą nić nadziei, — może nie u nos, ino w jaki inkszy wsi.

— Przecie u nos jeszczy wcale niczegu nie spisywali — próbował ktoś drugi wspomóc optymistę atutem przekonywającego argumentu.

— Prowda, nie spisywali... — gorliwie potwierdzono powszechnie z ulgą.

— To może nos i ostawiom, — wyzwoliło się w czyimś odezwaniu wspólne wszystkim najgorętsze życzenie.

Aż gromada jakby odetchnęła. Jakby pojaśniało nieco, jakby się uczyniło pogodniej.

Tylko stryj Józef pozostał chmurny. I twarz jego zmroczyła się jeszcze bardziej. Najgłębsze bruzdy zmarszczek zbiegły mu się między brwiami a oczy zmrużył w baczne szpary, choć przecie na nic nie patrzył. Rozmyślał. Ważył coś. Długo i z wysiłkiem. Wreszcie zaskoczył listonosza niespodziewanym pytaniem:

— A ty, do dom — jak dzisiej jachołeś? Na Przyborki, czy tyż krótszom drogom — bez tory?

— Bez tory, kole dworca.

— A na dworcu — czy stojoł jaki pociong na bocznicy, czy nie?

— Czy pociong stojoł? Na bocznicy? Nie pamiyntom. Nie zwożołym na to. Bo sie spieszułym, żeby jaki Szkieber nie zoboczuł, że jade bez szyny... Ale zaro — ale czekajcie ino... Ady tak. Przecie że stojoł. Pierońsko długi pociong! Tero se przypomi=nom, bo przez niegu ni mógym na starym miejscu bez szyny przejachać, ino musiołym dymać kawoł dali. Na obkoło. Taki ci buł tyn pociong długaśny...

— A wagony mioł jakie?

— Towarowe. Zwyczajne. Takie wej jak do przewożynio bydła.

— Jak dlo bydła — powiadosz?

Tak.

— No — to włośnie dlo nos.

Z ostrym brzękiem rozbiła się na podłodze butelka. To Szymczak — nalewając do kieliszków na bufecie — wypuścił ją niespodziewanie z ręki. Ale jakby tego wcale nie zauważył. Nie spojrzał nawet na rozbite szkło. Tylko znieruchomiałe przerażeniem źrenice wlepił w stryja Józefa. Wiedział: Józef Pietryga na wiatr nie godo. I choćby mioł nawet śrube. Zawdy wiy co mówi. Wiync to już jesta oż tak źle! To już transport naszykowany? Jezusie Maryjo! Matka ledwo nogami powłóczy, dzieci sześcioro, a z siódmym żona już w dziewionty miesionc zaszła...

— Józef — wyszeptał — jak by się łaski stryja dopraszając — a może to jednak nie po nos, tyn pociong? Może to o co inksze sie rozchodzi? O jakom innom wieś?

— Nie! — bezlitośnie zaprzeczył stryj. — Nie o inkszom. O naszom. Bo Słomowo jesta przecie ostatniom wioskom, któro dojyżdżo na kolij do Wrześni. Wszystkie drugie wsie majom już swoje inne stacyje. Nima co — Waloś. Bydymy wyndrować. Trudno. Chorobne Szkiebry. Nima rady na nich. Jeszczy nima rady...

— I nigdy nie bydzie — jęknął z desperacją stary Krajewski. — Bismarka przetrzymalim, Wilyma przetrzymalim, ale tegu piekielnika Hitlera to już nie przetrzymomy. Bo tegu, co tyn zbój z nami wyrobio, to nawet te najgorsze Hakatysty nie dokazywali. I żodyn z nich ni mioł oż taki siły. Żeby tak całki kraj, całkie państwo bez pore tygodni jak nic zawojować! To już widać, że na tegu Adolfa żodny rady nima. I nie bydzie.

— Co nie bydzie? — obruszył się Szalaty. — Jo ta mom nadzieje, że tak czy siak Miymcy na ostatku w tyłek weznom, do Vaterlandu zmyrnom — i znowy woda przydzie gdzie była...

— Nadzieja, nadzieja... — wzrusza ramionami Szymczak — nadzieja jest matkom głupich

— To prowda — potwierdza stryj Józef — nadzieja jest matkom głupich, ale jo myśle, że jeszczy głupszy jest tyn, co nimo wcale nadziei.

— Włośnie! — ucieszył się z tego sukursu Szalaty. — Ino troche poczekejma, a zoboczymy, co sie bydzie dziać, jak sie inkszo wiara do Szkiebrów zabierze. Bo, że nom tak pryndko nabili, to ino bez to, że kumynda u nos bardzo licho była. Som Hitler przecie godoł, że nasz żołmiyrz jesta pryma, tylko góra nic nie wortno. Ale poczekajcie — jak sie Francuzy ruszom. Jak sie te jejych gynerały do roboty weznom. To ci som sztabowniki wszystko ciynżko kształcone. Z niymi Miymcy tak letko do kumety nie przydom. Ino takie same wpiyrdolynie weznom jak wew ty piyrszy wojnie. Pamiyntocie Ignac, jak to nos tyn jejych Foch w osiymnastym roku bez te bory w Argonach guniuł...

— Pamiyntom. Ale zawdy sie dziwie, że tero sie Francuzy zaro nie ruszyły — jak Miymcy na nos napadli. Boć to buł nojlepszy czas. A dzisiej to kto wiy, czy im sie wogóle opłaci osobno z Hitlerym zaczynać?

— Sie nie bój. Już sie ty o to nie mortw. Bo uni tam majom żdziebko lepszy pomyślunek o ty całki sprawie jak ty albo jo. Już tam uni dobrze wiedzom co robiom. Powiadoł Woźniok, co jesta u Amtskommisara w Borzykowie za sekrytorza, jak godali bez radio, że Francuzy już na dobre zaczyni i że przedwczoraj to już nawet Ryn prześli...

— Co powiadosz? — z niedowierzaniem podchwycił stryj Józef — Ryn prześli?

— Tak.

— A w którym miejscu?

— Ano, podobno w tym, gdzie on sie nejbardzi koślawi.

— Gdzie się Ryn nejmocni koślawi?... — zastanawia się stryj Józef — nie, nie wiym gdzie by to mogło być. A zresztom — i tak nie wierze. Bo po jedno: nie tak to letko bez tyn Ryn przeńść — już tam Szkiebry nie na darmo wystawiły swojygu Zygfryda — a po drugie — nie możebne jesta, żeby Francuzy tero włośnie robili ofynzywe. Takie głupie oni nie som. Przecie na zime nikt wojny nie zaczyno. Nima co, ino trzebno bydzie poczekać do wiosny...

— Bój sie Boga! Do wiosny czekać! — z rozpaczą zaprotestował Szymczak. — Ady zlituj sie Józef. Bo to my mogymy ož tyla czasu czekać? Kiej nos tu Szkieber może lepi wydaj kolejke i zalejymy tegu robaka. Ady postow wszystkiym — na moje konto. Było, nie było. Roz kozie śmierć. Pijcie wiara! Na pohybel tym gnojom, tym zbójom, ty gangrynie! Aby nom sie!...

Wypili wszyscy chętnie. Wypili pierwszą kolejkę, wypili drugą i trzecią. Antek tylko nie wypił — bo jakoś nie sporo mu było pchać się między starszych do bufetu. Stał w swoim kącie i dziwił się. Dziwił się hojności stryja; stryj skąpy nie był — to nie, ale szastać pieniędzmi nie lubił. I dziwił się jego wylewności; znał przecież stryjowską oszczędność w słowie. A tu stryj gada i gada. I coraz głośniej. Prawie krzyczy. I zachęca wciąż do dalszego picia: — Bowcie sie ludzie, bowcie sie, psiakrew! Nie żałujcie sobie, do cholery! Dej nom tu Szymczok jakom zagryche. Bo — co kto zjy i wypije to uratuje. Wszystko inksze i tak dziaski weznom. A co tam mocie w chałupie lepszygu — to zakopać. Zakopać, powiadom, a głymboko. Żeby było na potym, jak przyńdymy nazod. Powiadosz Ignac, że sie wszystko w zimi zmarnuje. Nie wszystko, nie wszystko. A zresztom — niech ta sie i zmarnuje, byle by sie tym draniom nie dostało. Tym przybłyndom z piekła rodym. Tym Volksdeutszom czy Reichsdeutszom czy Baltokom. Dziabli wiedzom skyndy sie to całkie tałatajstwo do nas pcho. Ze wszystkich końców świata. Z jakisiś ta Łotwy czy Estonii, zez Litwy, z Ukrainy, z Wołynio. Wyciongo tyn cholernik Hitler tych swojych zasranych Volksgynossów i zgornio ich wszystkiych do nos na kupe — jak by wej tu jaki śmietnik buł a nie nasze rodzono zimia. Jak by nos tu — gospodorzy tutyjszych wcale nie buło. I na to wszystko musi człowiek patrzeć spokojnie i pysk trzymać. I tym parszywym gościom chałupy ustompić, i chleba, i pierzyny, i wszystkiygu. I jeszcze ich obiygać i obsługiwać grzecznie i pracować jak tyn parob ostatni dlo tych, co cie ze wszystkiygu okradli. To przecie na to wszystko może człowieka parala ruszyć i nagło krew zaloć!

Młodego Haremskiego, borowego z Marzelewa, już krew zalała. Przecisnął się znagła do bufetu, do stryja i cały czerwony na gębie z podniecenia i prawie kształsząc się z irytacji wyrzuca z siebie na całą izbę:

— Prowde mocie — Pietryga! Prowde mocie, ale sie pytom — na co my jeszczy momy dłuży czekać?! I tak już dosyć poruty, że my tych Miymców tak bez wszystkiygu do Słomowa wpuścili. Co my to piyrwy ni nakrzyczeli a nie naśpiywali, że: „Nie rzucim zimi!", że „twierdzom nom bydzie kożdyn próg!". A tyn Śmigły! Co to sie jeszczy niedowno tymu nie nawydziyroł bez radyjo, że jak by przyszło co do czegu, to ani guzika od ty polski katany oderwać nie dopuści. A jak sie wojna zanic. Jak te barany pozwolymy się wyprowadzić? Czy to już kosów w chacie nima ani siekiyry. Abo cepów. A jak by trzebno było to by sie i niejedno flynta jeszczy tyż znojdła, nie?

— Ciszyj!... mityguje wrzeszczącego — przestraszony listonosz. — Jeszczy kto usłyszy. I nie chwol sie tak głośno, że mosz flynte, bo za to przecie — kula w łeb...

— Namkmij się ty, strachojło! — odgarnie listonosza niecierpliwie borowy.

— Jo sie ta nie boje. Mnie już jesta wszystko jedno. I mówie wom ludzie — nie bójta sie tyż. Bo co nom sie już może gorszygu stać? Wiync powiadom: Zamiast tero chlać w gościncu i czekać — niech sie wszyscy przyszukujom jak noleży. A jak nos w nocy Miymcy przydom wywołać — to ich przyjmiymy po staropolsku. Takom im gościne, takie wesele wyprawiymy, takom kosynierkom poczynstujymy, że żodyn Szkieber żywy do naszy chałupy nie wnijdzie!

Stanął tuż przy borowym kulawy Maćkowiak i ciężką kowalską łapą wyrżnął go w plecy. — Dobra! — powiedział tylko, — bydymy prać!

I patrzcie — krawiec Karbowiak — chude to i skręcone, prostując z wysiłkiem tłoczący wór garbu, też się gwałtem przepycha i ciśnie do tych dwu, co zdecydowali się walczyć.

— Nastąp sie — mizeroku — wyprzedzi go Ignac Warczygłowa. — Twoja rzecz westki szyć a nie do wojny sie brać. Igłom chcesz Szkiebra wystraszyć, czy jak?

Ale Karbowiak, choć zwalistym tułowiem Warczygłowy odsunięty, przecież odepchnąć się nie daje. I nawet, o dziwo, nie obraża się za te „westki" mocno przecież jego godność majsterską podważające. Stanął zdecydowanie przy grupie Haremskiego, zawzięty i zaperzony i wzgardliwie spogląda na wszystkich, którzy jeszcze zdają się wahać, albo którzy może i tchórzą.

Aż się na takie patrzenie obruszy stary żołnierz Szalaty. — Żebyś czasym nie myśloł, ty guziku od portek urwany, że sie boje. — I machnięciem ręki strzepnąwszy ostatnie wątpliwości, też się przysunął blisko do ochotników oporu.

I do nich także — z najmłodszych — doszlusował Franek Górny. Aż cały zaróżowiony z wrażenia, że oto ośmielił się stanąć z dorosłymi. I z niepewności — czy kto wie — nie przykażą mu się — o hańbo! wynosić. Ale nie. Nikt przeciw niemu słowa nie powiedział. Borowy tylko mruknął: szkoda smarkoczu, że twoi bracio i co najlepsze chłopoki ze wsi — gdzieś ta z wojskiym sie zawieruszyli. Przydała by sie dzisiejszy nocy ta wiara, przydała. Ano trudno. Ostoń.

Na taki obrót sprawy — gorąco uczyniło się Antkowi. Przecież Franek to jego przyjaciel. Równolatek. Towarzysz zabaw i bijatyk. Mocny w sobie — ale gdzie mu tam do jego, do Antkowej krzepy. Mało to mu guzów ponabijał przy różnych przyjacielskich okazjach. Więc skoro Franek zdatny do wojowania, to chyba on Antek tym bardziej. I już nie wiele myśląc — wysunął się z kąta i z bijącym sercem stanął z gotowością przy Haremskim.

Spoczęły na nim oczy stryja Józefa — ale jakby go nie dostrzegły. Stryj milczał. I milczenie zaległo całą izbę. Objęło zarówno tych zdecydowanych jak i wyczekujących. Każdy w gromadzie wiedział: ważą się losy najbliższych godzin. I każdy wiedział: waga jest w rękach Józefa Pietrygi. Tylko właśnie on jeden zdawał się tego jakby nie zauważać. Ciężko oburącz wsparty o ladę skurczył się w sobie i zmalał. Nie wiadomo — rozmyślał, czy zgoła drzemał. Aż milczenie to rozciągnęło się w chwilę tak długą, że dalsze czekanie stało się już nieznośne. Pierwszy Szymczak — z niepokojem — spróbował je przerwać.

— No i co, Józefie? — zapytał, trąciwszy go zlekka. — Nic, — odpowiedział stryj obojętnie, — dej jeszczy kolejke.

W oczach borowego pojawił się błysk. Zniecierpliwienia i gniewu. Wiedział dobrze jaki jest walor autorytetu Pietrygi. Zdawał sobie sprawę, że bez poparcia starego stanie przy nim zaledwie kilkunastu najgorętszych, z Pietrygą zaś — podjęła by opór cała wieś. — No i co? Jak bydzie? — rzucił obcesowo staremu pytanie, — stanie=cie z nami, czy nie?

— Nie! — usłyszał w odpowiedzi.

Smagnięty tym krótkim „nie" aż pobladł, aż oniemiał. Ale opanował się rychło. —

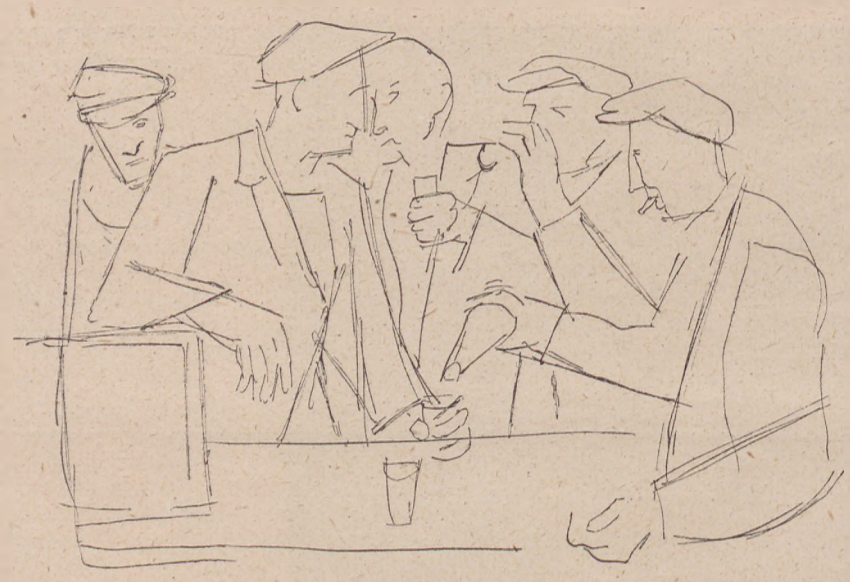

Rys. Stanisław Borysowski

kożdy chwili wywiźć, zamknonć abo zakatrupić, Bóg jedyn wiy, czy bydymy wogóle te wiosne oglondać — i gdzie. Jak wej nos już dzisiejszy nocy ze Słomowa powywołajom...

— Nie mortw sie Waloś — bo ci to nic nie pomoże. Co bydzie, to bydzie. Już wej czyno — to oddoł wszystko i z całkiym rzondym zmyrnuł do Rumunii. A nos ostawiuł. I tak by my nie uciekli choćby nom i kozoł. Ostalim na naszy zimi, na swojym. A tero nom Miymcy powiadajom: „fora ze dwora". Wynoś sie w te pyndy ze swoi wsi, i ze swoi chałupy. A my co? A my

Dobrze! stwierdził twardo. — Jak nie, to nie! My bydymy się bić, a tchórze niech idom dobrowolnie na nimieckich parobków. Lepszo śmierć niż tako służba. — Antkowi aż dech zaparło. Bowiem twarz stryja uczyniła się straszna. Jak wtedy, kiedy rządca z Obłaczkowa nawymyślał mu od głupich chamów, gdy powożąc ciężko naładowaną furą nie dość prędko usunął mu się z drogi. Rządca, wściekły wyskoczył z powózki, stanął ze szpicrutą na środku szosy i z krzykiem nakazał stryjowi zejść natychmiast z fury. Stryj oddał bat jemu, Antkowi i z twarzą przerażająco szarą zsunął się na ziemię. I jeszcze rządca nie zdążył zamachnąć się pejczem — gdy dostał w pysk z taką siłą, aż się potoczył. — Mosz chama, szczynioku! — rzekł stryj krótko, wlazł na wóz i pojechali.

I oto taką samą zapowiedź wybuchu odczytał Antek z poszarzałej barwy stryjowskiego oblicza. Ale wybuch nie nastąpił. Nalot burzy ustąpił miejsca wyrazowi zakłopotania i głębokiej troski. Stryj popatrzył na borowego łagodnie i — ku zdumieniu Antka — z wyraźną życzliwością. Nie rzucoł byś sie tak, Harymszczok, — powiedział przyjaźnie, — lepi wej wypiuł byś zymnom jednygu...

— Nie! — usłyszał z kolei stryj — krótkie i opryskliwe. — Nie byde teroz piuł, żeby mnie za pore godzin Miymcy z łóżka wyciongnyli jak zaspanom kure. Już nojwyższy czas, żeby sie zaczonć szykować do roboty.

— Włośnie, włośnie, — wtrącił bojaźliwie listonosz, — już wielki czas, żeby my się porozchodzili do domów, boć i tak „Policajsztunda" już downo minyła i jakby tu, nie dej Boże, policaj który wloz, to by my sie ni mieli co śmioć.

— Fyrej pod pierzyne! a pryndko! i uwożoj żebyś torby po drodze nie zgubiuł! — popędliwie i z pogardą poradził listonoszowi borowy. — Nom tu takich ślamazarów jak ty nie potrzeba. Nom tu tero trzebno ludzi z duchem i z krzepom...

— I z głowom, — dorzucił stryj Józef.

— Z głowom, z głowom, — powtórzył wzgardliwie Haremski. — Dużo to nom dotychczos te ludzie z głowom pomogli. I nom i całki Polsce. Ładnie to nos wykierowali te nasze głowacze tam na górze. Te ciynżko uczone ministry, gyneroły, profesory... Nima i co godać. A tako ta wiara była wielko, że oż coś. Miało sie ich naoglondołym jak razym z prezydyntym do naszygu hrabiygu na polowanie przyjyżdżali. — Jak sie to całkie bractwo puszyło, jak nosy zadziyrało, żeś już mioł stracha, że mało wiela, a który z niych nosym o chmure zawadzi. Myśloł byś, że Bóg wiy co. Że wszystkie rozumy pojedli. No i pojedli. Przyszedł wej taki nimiecki Frajter i pacygrynda i przeguniuł to całkie nasze wielkopaństwo bez cztery niedziele. Do diabła z takom głowom.

— A czy ty, bracie, myślisz, że Nimiec mo głowe?

— A pewnie, że mo. I jeszcze jakom. Jak by ji ni mioł, to by w tak krótkiym czasie Austryjoków, Czechów i nos nie wykończuł.

— A czy ty myślisz, że, weźma na tyn przykłod, taki wej frechowny kłusownik co do twojygu rewiru znienacka i z hałasym wpodł i z gromadom swojych kumpli poluje, mo głowe?

— To jest co inksze. Bo jak jo mu rady nie dom, to przyndzie na niegu policyjo.

— A skond wiysz, że na Miymca policyji nima?

— Bo policjo uwożo ino na pojedyńczygu człowieka a nie na całkie państwa.

— Hm — zastanowił się stryj — tak powiadosz? A jo jednak myśle, że i na Miymca tyż sie przecie policyjo znojdzie. Może nie zaro, może późni, niż pryndzy — ale sie znojdzie. Boć przecie krzywda jesta ta samo, czy jom robi jedyn człowiek, czy całki naród. A za krzywde — przychodzi kara. Czasym pryndko, a czasym późno.

— A czasym wcale — wtrącił z sarkazmem borowy.

— A czasym — ciągnie niewzruszenie stryj — kara przychodzi oż tak bardzo późno, że sie nom ludziom, co ta przecie krótko ino żyjemy, wydaje, że nie przyszła wcale.

— Wielko mi rzecz, że kara na Szkiebrów przyndzie dopiyry wtenczos, jak jo już giyry wyciongne. Bo i co jo z tego byde mioł?

— Ty som — nic, ale za to twoje dzieciоki i wej całki nasz kraj. Bo to włośnie trzebno zawdy mieć na uwadze, że pojedyńczy człowiek żyje ino bez te poredziesiont roków — a naród może żyć i tysionce lot. Może — ale nie musi. Bo jak gu po drodze jakie nieszczynście spotko, to może i całkiym zmarnieć. Na amynt. A na nos włośnie teroz takie nieszczynście spadło. Nie roz i nie dwa razy my już wew ciynżki opresyji byli, ale w taki paskudny kalaputrynie jak tero, to jeszczy nigdy. Wiync tym mocni trzebno uważać, żeby tegu wielkiygu nieszczynścia jeszcze barzy, samochcąc, nie powiynkszać. Jak pieron stodołe zapoli, to kożdyn jedyn patrzy, żeby co pryndzy wymborki złapać i wode nosić. A ty warjocie jedyn zamiost z wodom, to z naftom chcesz do gaszynio gory lecieć.

— Jo? — żachnie się z najwyższym zdumieniem borowy.

— Włośnie ty! Bo chociożbyś nawet dzisiyszy nocy chałupe przed Miymcym obroniuł — to jutro ci jom i tak przez gwołt weznom a ciebie z całkom familijom i z całkom wsiom pod mur postawiom.

— A niechta postawiom. Wole zaro zginonć, jak marnieć na wygnaniu.

— Boś głupi. Na wygnaniu nie wszyscy wyginom, a z grobu to już nikt nie wróci. Wiync strata by była dlo nos wiynkszo A włośnie trzebno tak robić, żeby strata była mniyjszo, żeby była jak nojmniyjszo.

— Wiync jo bym myśloł — wtrącił Warczygłowa — żeby zrobić tak: Szkiebrom w nocy zdrowo naluchać, a zaś potym fyrnonć.

— Nie pleć! — żachnie się stryj Józef. — Fyrnonć?! Z całkom wsiom?! Z babami i z dzieciokami? Dokond?

— Dziecioki i kobiety mogli by my ostawić.

— Ostawić?! Na pewnom śmierć! Przecie Szkieber jak tyn Heród nie przepuści nawet maluśkiymu dzieciokowi. W Targowy-Górce za jednygu zabitygu żandara — całkie osiedle wystrzylali; od nojstarszygu do nojmniyjszygu. I dokond sie pytom, dokond byś ty zwioł? Przecie nie do tegu jejych obmierzłygu Reichu. Cheba ino do ty Gyneralny Gubernii. Ale tam granicy dobrze pilnujom te szatany od Gestapa. Jak jom z włosny woli chcesz przejńść — to ci nie dadzom. Musisz czekać oż cie sami wywalom. Ba! Żeby to u nos, psiamać, góry były albo wielkie bory. To by sie człowiek mógł gdzieś skryć. To by mógł jakosiś to nimieckie waryjactwo przetrwać. I jeszczy tym draniom zdrowo krwi napsuć. Ale bo to u nos w Poznańskiym mosz sie gdzie schować? W boru? Toć ta te nasze bory nawet królika dobrze nie zakryjom. A w polu? Jezdeś jak na stole. Wszyndzie równo, wszyndzie cie widać. Jak tegu zajonca w kotle. Choćbyś i pod miedzom gdzieś przycupnuł — to i tak nie na długo. Wnet cie wywynszom i wytropiom. Bo policyji jesta przecie jak psów. Szkiebrów z kożdym dniym wiyncy. A kożdyn Mimiec — to policyjny pies. Wiync choć sie człowiek całki oż gotuje od złości, choć gu łapy świyrzbiom, żeby loć, żeby prać, żeby zapłacić za te wszystkie draństwa co nom te łotry wyprowiajom, to jednak trzebno na razie cicho siedzić i pysk trzymać. Mało to już naszych gnije w Poznaniu, na Forach albo na Młyński, albo w Dachau? Wiync powiadom: cicho siedzieć, pysk trzymać i czekać. Żeby przetrwać. Bo kożdyn jeden Polok co przetrwo — to jak by jedno wygrano bitwa.

— Cicho siedzieć i pysk trzymać — skwapliwie przywtarza listonosz.

— I czekać? — z rozpaczą, ale już bez siły oporu — próbuje jeszcze przeciwstawić się Szymczak, — czekać?...

— Ano włośnie. Bo nic lepszygu w ty chwili nie wymyślisz, chociożbyś i niewiym jak myśloł. — Cicho siedzieć i czekać oż nie przyńdzie naszo godzina.

— Ale w kiedy ona przyńdzie, w kiedy? — rzuci niecierpliwie borowy.

— Tegu nie wiym. Ino to wiym, że przyńdzie. A wtynczas, Harymszczok, przyńdzie tyż i czas na ciebie. I na te twojom flynte. I wtynczos obyjmiesz nad nami wszystkiymi komynde. Jak twój nieboszczyk ojciec w osiymnastym roku, kiej to my śli pod Gniyzno zrobić porzondek z Gryncszucym. I wtynczos jo som byde tak samo za tobom masierował, jak masierowołym za twojym ojcym... Ale dzisiej nie.

Marian Turwid

PEJZAŻ WIELKOPOLSKI W PLASTYCE

STANISŁAW ŁUCZAK

WENECJA POD ŻNINEM
Drzeworyt

MIĘDZY KRYTYKĄ A POETYKĄ (7)

PRZYKŁAD DOSKONAŁEJ KRYTYKI

Za „ciężkie życie" krytyki polskiej duża część odpowiedzialności spada na nią samą. Nie, żeby brakowało talentów pisarskich: przeciwnie! Ale ileż lekkomyślności w sądach, a jeszcze bodaj więcej niezdawania sobie sprawy z podstawowych obowiązków krytyka, co wynika częstokroć z braku przygotowania teoretycznego, odbijającego się na ogólnym poziomie naszej krytyki literackiej. Dlatego też ze szczególną radością podnieść należy i zwrócić uwagę publiczną na wystąpienie krytyka stanowiące przykład słusznego zrozumienia jego zadań i wzorowego ich wykonania.

Maria Rzeuska*) łączy w jednym szkicu krytycznym powieści trzech autorów, pozostające w naturalnem pokrewieństwie tematyką, czasem powstania, który skierował na tę tematykę zainteresowania autorów, prawie zupełną współczesnością publikacji. Prosiły się one o ujęcie porównawcze (por. moją wzmiankę jeszcze z przed dwóch lat w broszurce „Rzut oka na literaturę polską 1945 r."*), które ułatwia charakterystykę i ocenę W tym szkicu mamy wszystko, czego od krytyki możemy się spodziewać: wystarczające pojęcie o utworze, tak o jego zawartości (przy utworach fabularnych jest to i możliwe i obowiązkowe!) i jak i o jego formie (co już świadczy o przygotowaniu krytyka w niełatwej dziedzinie analizy formalnej); wysoka kultura literacka autorki pozwala jej bezbłędnie określić przynależność utworów do tego czy innego „stylu" literackiego w najszerszem znaczeniu. Mamy też, a to rzecz w krytyce najważniejsza, zasadnicza, sąd o dziele, wypowiedziany w formie kulturalnej lecz nie półgębkiem, ale jasno i śmiało, bez liczenia się ani ze „szmerkami" usłużnej klaki, ani z nieoględnemi wypowiedziami „krytyki współczującej"; jest on niezależny nawet od obszernych, już dawniej opublikowanych wypowiedzi renomowanej krytyki, choć naogół zgodny z niemi we wnioskach, tylko wyłożonych o wiele jaśniej „łopatologicznie". Ta niezależność, śmiałość sądu nie jest apodyktyczna: poparta jest przekonywującą argumentacją, doskonale wybranemi choć niezbyt licznemi i niezbyt obszernemi cytatami

Można żałować, że w swoich mądrych uwagach Rzeuska pomija następujące nasuwające się zagadnienie teoretyczne: czy przegląd omówionych powieści i ich ocena (a wartoby tę grupę utworów powiększyć jeszcze o kilka innych związanych z nią tematycznie i czasem powstania dzieł, że na pierwszem miejscu wymienię T. Parnickiego Srebrne Orły; nie wiem w jakim stopniu skończyła się publikacja prozy J. Kędziory; możnaby też przyciągnąć z innego gatunku literackiego, ale związany z powieściami zasadą realizmu i pokrewny tematycznie dramat — M. Dąbrowskiej) nie podsuwa wątpliwości co do celowości realistycznego ujęcia rzeczywistości, o której właściwie nic konkretnie nie wiemy i nic w niej jasno rozumieć nie możemy. Tak np., sam problemat mniej więcej rozległego państwa jest związany z techniką organizacji a zwłaszcza środków łączności. Najazdy Mongołów w III w. urealniły się nam dopiero wskutek odkryć historycznych — o ile się orientuję — na początku naszego stulecia Nieprawdopodobny postęp egiptologii pozwolił dopiero na rekonstrukcję artystyczną życia pod władzą Faraonów. Powieść, w swojej najgłębszej istocie, jest związana z realizmem. Ten zaś, nawet w odniesieniu do przeszłości, zakłada sprawdzalność. O Polsce prapiastowskiej można wszystko mówić z jednokowem prawem. Jest to dziedzina historii, gdzie analogicznie do słów Norwida:

> Takie są głębie tam na Oceanie:
> Że fali ogrom, gdy się porwie z dołów,
> Odrzuca-ć z sznurem wypuszczony ołów —
> Bo płonu już się kończy panowanie...

kończy się panowanie healizmu powieściowego.

*) „Kronika dwu Piastów we współczesnej — powieści polskiej" („Odrodzenie" nr 33).

WZNOWIONA DZIAŁALNOŚĆ „OSSOLINEUM"

W akcji odbudowy książki polskiej jakością, jeśli nie ilością, swej produkcji na jedno czołowych miejsc wysuwa się ostatnio „Ossolineum". Przede wszystkim, oczywiście, jako wydawca „Biblioteki Narodowej", która żywo rekonstruując dawniejsze swoje bogactwa, jednocześnie pomnaża je nowoopracowanymi tomikami. Więc też między ostatnio wydanymi mamy obok poprostu odbitych z przechowanych na szczęście odlewów (Lilla Weneda w opracowaniu Michała Janika i Powrót Posła Niemcewicza ze wstępem i objaśnieniami Stanisława Kota, którego każde prawie wystąpienie na polu historii literatury, i to czasami właśnie w formie wstępów „Bibl. Narodowej", było wydarzeniem w rozwoju nauki) — pozycje zgoła nowe. Z cennych tekstów literatury polskiej zajęła miejsce w tym kanonicznym jej wyborze wzruszająca powieść Kraszewskiego, jedna z pereł jego twórczości, Jermoła w opracowaniu prof. J. Krzyżanowskiego (nieco obszerniej zajmę się tą książką gdzie indziej, mówiąc o Kraszewskim, jako o twórcy polskiej powieści ludowej). Wybór znakomitych dzieł literatury powszechnej powiększa Jugosłowiańska epika ludowa w przekładzie utalentowanego poety Czesława Jastrzębiec - Kozłowskiego, który już w „dwudziestoleciu" dokonał prawdziwie wielkich czynów w zakresie tłumaczeń poetyckich, ponad wszystko może poświęcając się udostępnieniu rodakom arcydzieł jugosłowiańskich (m. in. sławny poemat dubrownicki z 17. w. Osman Gundulicza); w sposób przystępny ale solidny i otwierający przed czytelnikiem szerokie horyzonty historyczno - literackie tom został opracowany przez dr Mariana Jakóbca, jednego z najwszechstronniejszych naszych uniwersyteckich znawców literatur słowiańskich. Osobną, bardzo różną od większości tomików „Bibl. Nar.", pozycją jest Rok 1848 w Polsce, wybór źródeł w opracowaniu prof Stefana Kieniewicza; analogiczne książki istniały jednak już przedtem w tej obszernej antologii literatury polskiej, jaką jest „Bibl. Nar." (np. Konfederacja Barska w opracowaniu prof. Wł. Konopczyńskiego), niby niezbędne w każdem opracowaniu histroii literatury zarysy tła historyczno-kulturalnego, wykonane tą samą metodą, tj. przez podanie czytelnikowi oryginalnych tekstów.

Na granicy między prostemi wskrzeszeniami książki odbiciem z dawnych matryc, a nowemi książkami, stoją nowe, zmienione wydania dawniejszych. Taką pozycją są Pieśni Kochanowskiego w opracowaniu prof. T. Sinki, który ściśle metody filologii klasycznej ze znakomitym skutkiem zastosował w swych komentarzach do dzieł Jana z Czarnolasu. Szczegółowe porównanie obu wydań, tegorocznego i wcześniejszego o 21 l. przekracza możliwości tej wzmianki; ale pobieżne przejrzenie nie przemawia na rzecz nowszego. Choćby zewnętrznie: jak dogodnie rzucały się w oczy tłuste cyfry oznaczające wiersz komentowany u dołu stronicy! Należy pochwalić dalsze przybliżenie ortografii do pierwodruków, ale nie godzi się z tem uległość policyjnej unifikacji 6-go i 7-go przypadku-ym -ymi Wstęp został zdaje się skrócony, np. wypadł b. istotny ustęp, mianowicie przykładowe porównanie Psałterza Kochanowskiego z Lubelczykowym. Przy pojedyńczych utworach brakuje teraz cyfr oznaczających ich miejsce w wydaniach zbiorowych. Wybór, jak się zdaje, pozostał ten sam, zbyt obfity z „Fragmentów" zbyt szczupły z psałterza, a zwłaszcza z Fraszek, gdzie przykro uderza brak kilku uznanych arcydzieł, że wymienię Modlitwę o deszcz, Na lipę („Uczony gościu! jeśli sprawą mego cienia") Do snu, Do poetów („Jako Chiron"...). Polemiki Kochanowskiego z Desportes'em w przekładach J. Eismonda, która kończyła książkę w pierwszem wydaniu, można ostatecznie odżałować przy wyborze polskiej liryki Jana z Czarnolasu.

Akcję odbudowy książki polskiej prowadzi Ossolineum także i poza ramami „Bibl. Narodowej" wydając m. in najcelniejsze utwory powieściowe naszej literatury, ostatnio np. cenną także jako przyczynek do dziejów sztuki na wschodzie dawnej Polski, Madonnę Busowicką Wł. Łozińskiego.

K. W. Z.

U POETÓW

WIERSZE WILHELMA SZEWCZYKA

Wiersze Wilhelma Szewczyka, zawarte w siódmym „Arkuszu Śląskim", są świadectwem nieprzerwanego rozwoju talentu tego piewcy swej ziemi rodzinnej.

Szewczyk, który poświęca się różnym rodzajom twórczości literackiej — który zdobył się na samodzielny, oryginalny wyraz już w pierwszych swych utworach, w przedwojennym „Hanysie" i w wydanych już po wojnie „Posągach", reprezentuje typ artysty o dużej wrażliwości przede wszyst-

Rys. A. TOMEK

kim poetyckiej. Wrażliwość ta, wyrażająca się szczególnym sposobem patrzenia na świat, widoczna jest we wszystkich pracach Szewczyka. Manifestuje się ona po przez specjalną postawę uczuciowo-umysłową, ujmującą przeżycia w sposób właściwy naturom poetyckim.

Wiersze zawarte w „Arkuszu", są dalszym etapem wysiłków poety — etapem leżącym na przedłużeniu dotychczasowych osiągnięć. Charakteryzują się, podobnie jak i poprzednie — tą samą postawą światopoglądową: kultem ziemi rodzinnej i kultem pracy. Należy podkreślić, że postawę tę wyrażał Szewczyk już w pierwszych swych pracach, że nie przyniosła mu jej jak wielu innym poetom, dopiero wojna.

Poezja Szewczyka, mimo wyposażenia jej w zespół współczesnych środków artystycznych, jest poezją bezpośrednią i ujmującą. Dzieje się to może dzięki wyczuciu rzeczywistości, wrażliwości autora na świat, na wszystkie jego przejawy, dzieje się to dzięki realizmowi tej poezji.

Obok dotychczasowych osiągnięć odnotować należy nowe zdobycze, pewne poszerzenie treściowe, jakieś ogólnoludzkie, głęboko humanistyczne pierwiastki, przejawiające się w tych ostatnich utworach, a także wzbogacenie środków wyrazu poetyckiego. Jędrny, plastyczny, realistyczny obraz przemienia się nierzadko w urzekającą wizję, w zespół dalekich skojarzeń, lub też przeplata się celowo z elementami fantastyki. Zwarte, surowe, pełne patosu i mocy strofy potrafią przemieniać się w delikatną koronkę. Również często elementy czysto intelektualne wchodzą w zespół środków artystycznych i szczęśliwie intelektualizując wiersz, dają mu specyficzny charakter. Te łączenia różnorodnych elementów dają szczególny wyraz wierszom Szewczyka.

WIERSZE WOJCIECHA ŻUKROWSKIEGO

Wiersze Żukrowskiego w ósmym „Arkuszu Śląskim" powstały w czasie okupacji. Żukrowski — debitując jako poeta — przejawił to wszystko co wyraziło się później tak bogato w jego doskonałej prozie. Ostre widzenie świata, wrażliwość na barwę, zapach, dźwięk, gest — całą zmysłową chłonność wrażeń — wyrażoną plastyką opisu, jędrnością języka — oto co spotykamy również w jego poezji. W prozie Żukrowskiego — do dziś jednak spotykamy również pewne walory czysto poetyckie świadczące, że autor pisząc prozą, pozostał nadal poetą. Dlatego też wiersze Żurkowskiego nie są tylko ogniwem w rozwoju. Mają znaczenie bardziej samoistne. W wierszach tych dźwięczy cała uczuciowa treść przeżyć żołnierza kampanii wrześniowej i armii podziemej. Lapidarność, zwartość wypowiedzeń, struktura obrazów ujętych w sposób czysto poetycki, wyczucie znaczenia rytmu w zależności od ogólnego nastroju wiersza — to wszystko tworzy z tych poezji wartości artystycznie interesujące.

Do najpiękniejszych utworów zaliczyć by można wiersze: „Przy baterii", „Modlitwę Armii Podziemnej" i „Nadzieję".

B. Ostr.

JERZY EUGENIUSZ PŁOMIEŃSKI

KOSMOGONIA SŁÓW

ROZWAŻANIA NAD SOCJOLOGIĄ SŁÓW

Pani Marii Leszczyńskiej

Szkicu niniejszego nie pisał językoznawca: nie jest to zatem t. zw. praca fachowa. Jeżeli jednak, mimo braku legitymacji specjalisty, ośmieliłem się dotknąć zagadnień pozornie dostępnych tylko dla fachowca, ba, nawet wystąpić z pewnymi teoretycznymi propozycjami, co ze strony językoznawców „zawodowych" nie bywa mile widziane, to uczyniłem to w przeświadczeniu, być może spornym, dla językoznawców właśnie, że język i słowa są domeną uniwersalną, są bowiem nie tylko codziennym narzędziem międzyludzkiej komunikatywności, ale zarazem subtelnym środkiem badawczego wartościowania oraz artystycznej wypowiedzi.

I z tego punktu widzenia mniemam, że zwłaszcza pisarz-humanista ma pewne uprawnienia do teoretyzowania na temat języka i życia słów, nie pretendując zresztą dla swoich rozważań do tytułu t. zw. naukowości.

Ponieważ nie zajmowałem się dotąd teoriami językoznawczymi, nie wiem, czy istnieją jakieś teorie tego pokroju zbliżone do moich rozważań. Mówił mi jednak Rektor U. Ł. T. Kotarbiński, że któryś z amerykańskich oraz niemieckich badaczy-językoznawców napisał nawet całą książkę, pokrewną temu stanowisku. Nie czytałem ani tego dzieła ani być może istniejących czy innych dzieł z tego zakresu.

Myśli, które wypowiadam w szkicu niniejszym, zapewne pozbawione znamion naukowości, snute poza jej metodami przez pisarza-intelektualistę z innego terenu są moją wyłącznie własnością umysłową. Są one wynikiem wieloletnich obserwacyj intelektualnych na marginesie życia słów, oraz wieloletnich, najbliższych kontaktów z bujnie rozmnożonym ich społeczeństwem.

Jeżeli mimo braku podbudowy fachowo-erudycyjnej oraz naukowych narzędzi, dochodzę jednak do stanowiska, podobno nieobcego niektórym filozofom języka, to jest to kwestia bynajmniej nie tyle przypadku, ile raczej naturalnych konsekwencyj logicznej postawy intelektualno-obserwatorskiej wobec zagadnienia życia społecznego słów.

NOWOCZESNE REFLEKSY „LOGOSU".

Mówić będę w tym szkicu o samoczynnych funkcjach słowa, nie jako o wyznacznikach, czy jedynie symbolach znaczeń, o ich funkcjach pozornie tylko martwych narzędzi i form międzyludzkich kontaktów czy wymiany zdań. Trzeba tu nawiązać do wielkiej tradycji kulturowej — antycznej Grecji, gdzie w jednym z filozoficznych systemów „Logos" czyli słowo (Heraklit), utożsamiono z rozumem świata, który kieruje duszą wszechrzeczy, duszą świata. Słowo stawało się w takim sensie współtwórcą sensu istnienia („Logos" — nadrzędna, boska Inteligencja, rządząca przyczynowością życiowych zjawisk). W dalszych przemianach tego wyrazu — głównie: chrześcijańskich teoriach teologicznych „Logos" — występuje jako personifikacja Boga, względnie, jako Chrystus. Przechodząc od tej spekulatywnej, pradawnej teorii do współczesnego okresu, trzeba zauważyć, że zarówno w nowszych badaniach naukowych nad słowem i jego znaczeniowymi odpowiednikami (semantyka czyli semazjologia), znanych mi tylko z rozmów z filozofami naszymi, jak również w literaturze — koniunktura słowa przedstawia się coraz poważniej. W polskiej literaturze głównie Leśmian a za nim Tuwim, Zegadłowicz okazali się subtelnymi wynalazcami najosobliwszych i najprzedziwniejszych skojarzeń słowotwórczych, które poszerzały wydatnie rdzenne granice znaczeniowe słów, nasycając je nowymi treściami i tworząc nieznane dotąd konglomeraty słowne. Ten proces antropomorfizacji słowa, jego funkcjonalnej samoistości niejako — u Tuwima np. występuje, jako wyraźnie określony wynik poetyckiej świadomości, która z pełną odpowiedzialnością wyzwala owe słowotwórcze wynalazcze akty artystyczne, pokrewne ontologicznemu uniwersalizmowi „Logosu".

KLASOWA KONFIGURACJA SŁÓW

Słowa zatem byłyby w takim sensie nietyle mechanicznymi symbolami umownych treści, lecz przede wszystkim organizmami o swoistej logice rozwojowej i swoistych prawach bytowania. Z takiego punktu widzenia można mówić o społeczeństwie słów, o ich grupach klasowych, o ich związkach rodzinnych, wreszcie o osobniczych losach słów.

Istnieją słowa o majestatycznym brzmieniu i takim samym zarazem autorytecie dynamicznej treści, słowa dynastyczne, elitarne, które trwają na drogach wieków, w tej samej niezmiennej, wyjątkowej roli, zamykają bowiem w sobie głęboki sens, którego wszechmocny ząb czasu nie zdołał zneutralizować, czy osłabić, a które w starożytnej Grecji, czy Egipcie miały tę samą sugestywną wymowę, jaką posiadają dzisiaj.

SŁOWA „WIECZNE"

Klasyfikując i gatunkując słowa ze stanowiska ich czasokresowej obiegowości, należałoby słowa wyżej wymienionego pokroju zaszeregować do typu słów „wiecznych" w podobnym znaczeniu hierarchicznym, w jakim się mówi o „twórcach wiecznych" lub o prawdach wiecznych. Mniejsza o barwę uczuciową, jaką reprezentują; rezonans, jaki budzą jest wszechludzki, fakty, które wyrażają w swojej symbolice znaczeniowej, przeżywała ludzkość i czołwiek na wszystkich szczeblowych poziomach swego życia, od historycznego do osobowego, oraz we wszystkich regionach swoich klasowych ustosunkowań, czy układów, od arystokratycznego do proletariackiego i lumenproletariackiego. Są to słowa o hieratycznej, celebralnej treści, z których wielowiekowy napór doświadczalności społeczeństw i człowieka ani niwelująca tautologia życia zbiorowego i osobniczego nie zdołały spłókać ich patetycznego sensu, nie zdołały wyjałowić ich wiecznie dynamcznego wydźwięku. Słowa takie żyją poza konstelacjami czasu i poza koniunkturą mody.

GENEALOGIA SŁÓW

Powiedzmy sobie na wstępie, że genealogia słów, (podobnie jak genealogia grup społecznych, a nawet genealogia duchowa człowieka) wyrasta przeważnie z podłoża życia społecznego i jego konieczności rozwojowych, a więc często, chociaż niezawsze, z podłoża procesów pozajęzykowych — literatura bywa przy tym współtwórczym źródłem — wreszcie z materiału doświadczalno-przeżyciowego człowieka, i właśnie owe genealogiczne podłoża warunkują funkcjonalną przydatność, względnie celowość słowa dla całych pokoleń lub na okresy krótsze, a czasem nawet na okres efemerycznego trwania mody. Filiacja między słowem i jego rodowodem a doświadczalnym pochodem życia są bliższe i bardziej istotne, niżby się to wydawać mogło na pozór.

NOBILITACJA I DEKLASACJA SŁÓW

W społeczeństwie słów mają miejsce przemiany dosyć pokrewne przeobrażeniom wewnętrznym w łonie ludzkich społeczeństw, względnie społecznych grup klasowych. Nie wszystkie bowiem słowa należą do wybranej i uprzywilejowanej klasy słów — dynastów, czy chociażby elity słownej, a te ostatnie niezawsze zachowują taką swoją pozycję klasową. Wiele z nich płowieje, dewaluuje się życiowo, jak deklasuje się ten czy ów czołwiek stanu historycznego, czy całe klasy społeczne. Z byłych arystokratów staczają się do poziomu pasożytniczych nieużytków, by wylądować wreszcie w lamusie pospolitych archaizmów. Historia słów bywa przeważnie skrótem nie tylko procesów językowych, lecz niemniej kulturowych i życiowych, wyraża bowiem falowania ich pochodu od dynamicznych do statycznych postaci wraz z bezustannym narastaniem coraz nowych treści, inaczej mówiąc wyraża w skrócie ewolucję kultury a zarazem życia. Słownik etymologiczny mógłby tu dostarczyć bogatego i pouczającego pokłosia faktów, które oświetlają częściowo zjawiska wschodów i zmierzchów, przypływów i odpływów, karier i upadków słów. Słowa rozmnażają się bowiem, jak ludzie, tworzą istne klany rodowe, lub rodzinne, skupiska, przeżywając swoje błyszczące chwile długo — lub krótkodystansowej świetności, by potym, jak rody lub klasy społeczne nawet — karleć, degenerować się, staczać się na samo dno nicości, wkońcu wymierać, czyli przeobrażać się w martwą skamielinę językową, która staje się domeną a raczej jedną z domen gramatyka czy językoznawcy, skamielinę, wycofaną nieodwołalnie z kręgu życiowego promieniowania. A jakie bogactwa „klasowych" odcieni,

Z WYSTAWY PLASTYKÓW POZNAŃSKICH

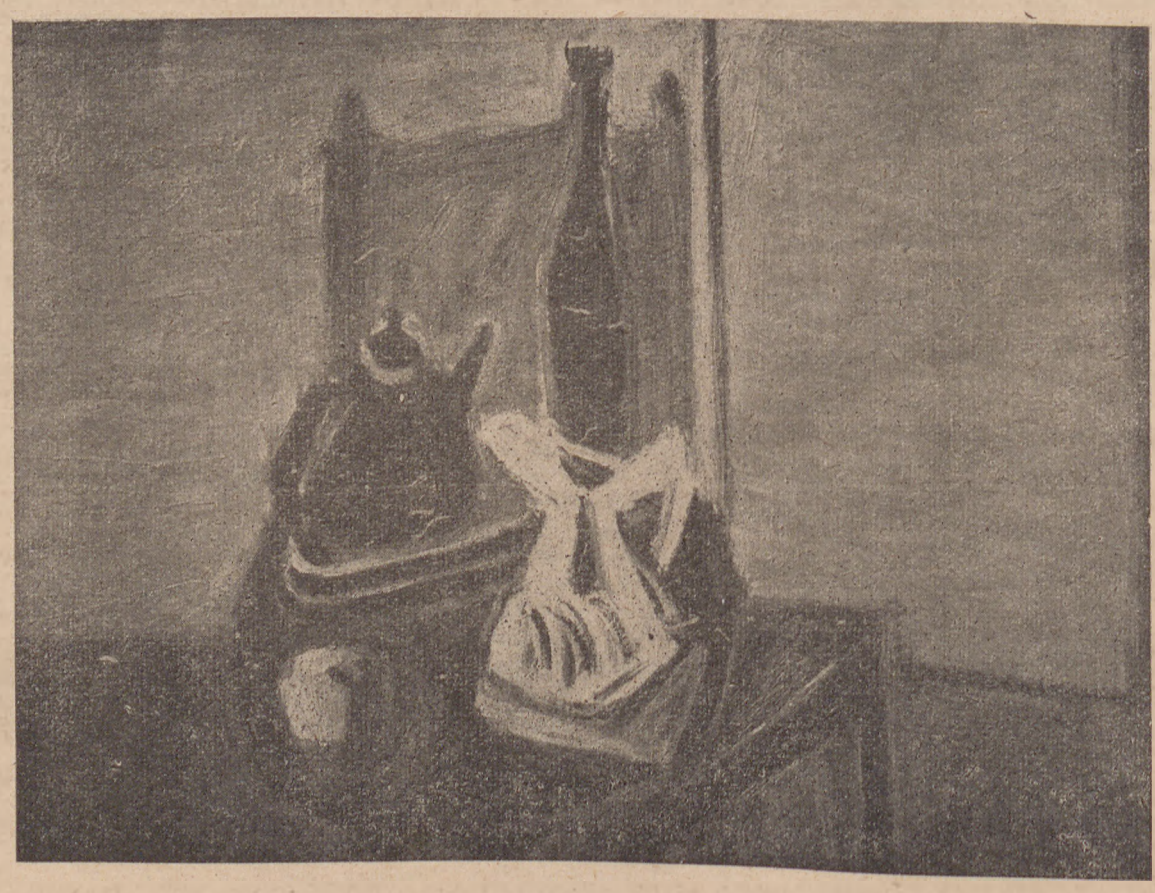

JAN PIASECKI

Martwa natura

Olej

jaka rozpiętość znaczeniowego zróżnicowania mieści się w takiej rodzinie, czy klanie rodowym bujnie rozrodzonego słowa.

Weźmy dla przykładu słowo „śmierć" — słowo monumentalne o kosmicznej treści międzyspołecznej i w ogóle międzyludzkiej, którego recepcja nie straciła dotąd i zapewne nie straci nigdy swojej magicznej aktualności i słowo „śmiertelnik", ubogiego krewniaka tamtego praszczura, chudego rezydenta, prawie proletariusza. Oto przeciwległe bieguny synonimiczno-rodzinnych jakości słowa. A oto inne słowo — protoplasta — autochton i słowo pochodne. Pustynia i pustelnik. Pierwsze z nich wybraża makrokosmos przyrody, — drugie zagubiony w kosmosie drobnoustrój ludzki, człowieka zanurzonego w kontemplacji religijnej, oderwanego od realnej rzeczywistości, żyjącego głęboko skupionym życiem wewnętrznym. Pierwsze należy do repertuaru nazw i pojęć geograficznych, drugie do określeń typu personalistycznego. Socjologia (jak również psychologia) słów, którą należałoby postulować, jako jedną z dziedzin wiedzy stosowanej — miałoby tu wdzięczne pole do studiów i badań nad strukturą „klasowych" związków słowa.

HERALDYKA SŁÓW

Że życie słów przypomina życie społeczeństwa, z jego klasowo-społecznymi układami, oraz życie osobnicze — to wydawać się może paradoksem, ale po zbadaniu terenu faktów okazuje się nie tylko paradoksem.

Jak w życiu społeczeństwa powstają stopnie hierarchiczne klas i ludzi, tak samo w społeczeństwie słów zaznaczają się wzmiankowane już szczytowe egzemplarze słów oraz ich okazy pospolite, przynależne do niższych regionów znaczeniowo-funkcjonalnych. Istnieją jednak również (jak w społeczeństwie ludzkim) słowa dyktatorskie, których tyrania narzucała się całemu pokoleniu, zanim częściowo wskutek nadużywania, częściowo zaś wskutek procesów życiowych nie przeobraziły się one w wieloznaczne liczmany lub banalne truizmy o zszablonizowanym, metaforycznym mechaniźmie znaczeniowym. Poprzez fazę nowatorskiej roli przeszły one do fazy przeżytkowej lub używając terminologii klasowej, zdeklasowały się społecznie. Weźmy dla przykładu słowa „uczucie" lub „serce", które już w epoce preromantyzmu a przede wszystkim romantyzmu fascynowały nie tylko świat literacki, ale oddziaływały równocześnie potężnie poprzez literaturę na psychikę literackiego spożywcy, więc na inteligencję ówczesną mieszczańsko-ziemiańską zanim pokolenie następne (pozytywistycznie) nie skazało tych słów na banicję a raczej na degradację. Rzecz inna, że fascynacja tych słów, które padły ofiarą procesu likwidatorskiego w okresie pozytywizmu, zmartwychwstała w całej swojej nieuszczuplonej sile w okresie polskiego modernizmu. Bo słowa pokoleniowo reprezentatywne niekoniecznie umierają wraz ze śmiercią swojego pokolenia.

Przeżywają one nieraz, jak to już zaznaczyłem wyżej, swoje kolejne etapy rozwojowe, swoje „metampsychiczne", ponowne wcielenia w rozszerzone i pogłębione, nowe formacje znaczeniowe. Niektóre z nich sublimują się pod ciśnieniem czasu, inne trywializują się, jedne uwznioślają się, wyszedłszy zwycięsko z egzaminu prób życiowych, inne konwencjonalizują się nieodwołalnie. Żyją one albo pełnią swojego fatalizmu psychicznego, niby organizmy autonomiczne, albo niby Leibnizowskie monady w ramach organizmów zdaniowych, jako ich twórcze ogniwa.

I jeżeli starorzymskie przysłowie mówiło o losach książek „habent sua fata libelli", to z pełnym uprawnieniem należałoby mówić o losach słów „Habent sua fata verba".

ZWIERCIADŁA STYLU EPOKI

Każde pokolenie wypracowuje nietylko swój styl duchowy i kulturowy, ale zarazem swój słownik charakterystyczny, jako wyraz swojego systemu pojęciowego z dominatą słów, które są najidealniejszym zwierciadłem tego stylu, ale zarazem tendencyj społeczno-intelektualnych swojego czasu. Taki słownik wybitnie typowy posiadał pozytywizm, naturalizm, modernizm i szereg innych kierunków, względnie prądów literacko-umysłowych. Słownik ów tautologizował w pewnej mierze duchową fizjognomię pokolenia, nadając jej do pewnego stopnia cechę jedności, naprawdę tylko umownej, pozornej, a jego słowa najbardziej reprezentacyjne i charakterystyczne sprowadzały pluralizm zjawisk do pojęciowego monizmu.

TWÓRCZA ROLA NOWOTWORÓW

Mówiłem już powyżej o heraldyce słów. Podlegają one swoistym prawom, o których rozstrzyga dialektyka życia, ale nietylko ona. Zmierzchom i „klasowemu" wykolejaniu się jednych słów, towarzyszą nobilitacje słów nowych. Noszą one nazwę nowotworów słownych (w stylistyce nazywają się inaczej neologizmami). Niektóre z nich wkraczają do społecznictwa słów już u progu swojej błyszczącej kariery, narzucając się swojej epoce sugestywnie i władczo, inne kursują tylko wśród członków jej mózgu twórczego, elity umysłowej. Dokonywa się w danym wypadku umowna kooptacja takiego nowotworu słownego do senatorskiego klanu słów poprzez literaturę głównie, chociaż zdarza się nieraz, że czynnikiem słowotwórczo zapładniającym staje się odkrywcza publicystyka filozoficzna lub literacka. Działa tu również dobrze znana z terenu innych zjawisk czy faktów kulturowych infiltracja z granicznych dziedzin znaczeniowych formacyj. Sięgnijmy do przykładów. Oto słowo „klerk", którego twórcą jest francuski publicysta filozoficzny Julian Benda, autor głośnego przed wojną dzieła „Zdrada klerków". Ten nowotwór słowny, który się przesączył w błyskawicznym tempie do europejskiego słownika literackiego zrobił zawrotną karierę. Może dlatego, że wyrażał jedną z centralnych treści duchowego przełomu przedwojennego pokolenia, — osamotnienie jego elity kulturalnej, która w nurcie żywiołowego pędu do zmasowania człowieka, w nieodwracalnym pochodzie jego deindywidualizacji, a zarazem wzmożonego uspołecznienia jego oblicza duchowego, przeżywała swoje nastroje eschatologiczne. Jesteśmy dzisiaj świadkami żałosnego zmierzchu tego słowa, w polskiej publicystyce literackiej (i nie tylko polskiej), wyniesionego do niedawna na wyżyny mody, a zarazem synonimu szczytowej wartości. Jego blednąca jeszcze przed wojną gwiazda potwierdza raz jeszcze fakt relatywizmu systemów wartości, systemów pojęciowych oraz ich korelatów słownych. Historia heraldyczna słowa — klerk — odbyła fantastycznie krótką drogę (na przestrzeni mniej więcej 1-go dziesięciolecia) od reprezentacji „klasowego" szczytu słownego — do stanu przeżytkowego, stanu pokoleniowej zbędności. Dialektyka współczesnych przemian historycznych oraz społecznych przesądziła ostatecznie o funkcjonalnym zmierzchu tego do niedawna tak bardzo modnego i autorytatywnego słowa. Podaję jeden z wysoce typowych przykładów, który byłby nieobojętny dla badań nad socjologią słów. Przykładów podobnych możnaby cytować całe naręcza. Weźmy teraz kilka przykładów z polskiego życia kulturalnego.

POLSCY WYNALAZCY NOWYCH ZNACZEŃ

Słowa brązować i odbrązawiać, których twórcą jest Tadeusz Boy-Żeleński, są owocem jego odkrywczej pasji rewizjonicznej, która obejmowała zarówno problematykę intelektualno-literacką, jak również społeczną. Były one protestem przeciw badawczym Konwencjom, które w naszej naukowej polonistyce stały się metodą niemal obowiązującą, a które polegały na upraszczaniu złożonych zjawisk osobowych o przeciwstawnych cechach pluralistycznych. Pluralistyczną prawdę osobowości wielkiego twórcy zastępowano w ten sposób legendą posągowej jedności, kanonizując przeważnie twórców wbrew faktom. Obydwa te słowa weszły nietylko do polskiego słownika intelektualnego, jako bojowe synonimy badawczego szukania prawdy, ale rozszerzając swoje zamierzone treści o dalsze nadbudowy rozwojowe, zaatakowały również pozaliterackie zjawiska życia społecznego, w jego normatywnych, fałszywych układach.

U filozofa kultury, Stanisława Brzozowskiego, który etycznym żarem przypominał nieraz Skargę — bezosobowe, abstrakcyjne słowa „sumienie" i „odpowiedzialność" — dzięki niemu głównie słowa te w okresie młodo-polskim zdobyły sobie wysoką koniunkturę — przeobraziły się w kategoryczne „imperatywy" narodowej pedagogii. Budowały one nowe zręby moralnego instytucjonizmu pokoleniowej wspólnoty. Oto jak daleko posunąć się może znaczeniowa dynamizacja słowa, jakie niezwykłe robinsonady można zaobserwować w życiu słów, jakie zawrotne kariery i dramatyczne wykolejenia ich „klasowych" szczebli.

Najpospolitsze słowa o ujemnej barwie uczuciowo znaczeniowej, jak „prowokować", „demaskować", „kompromitować" w płodnych deformacjach rozwojowo-znaczeniowych zatraciły swoją przyrodzoną barwę ujemną oddalając się zdecydowanie od swoich treści pierwotnych. Stały się one ważkim współczynnikiem w aktach szukania ładu piętnowania oszustw i mitów intelektualnych oraz innego pokroju.

Bo prowokować wymianę stanowisk czy zdań, znaczy to samo mniejwięcej, co szukać doskonałych narzędzi poznawczych — prawdy, a demaskować, powiedzmy, szalberstwa typu moralnego, psychologicznego

Z WYSTAWY PLASTYKÓW POZNAŃSKICH

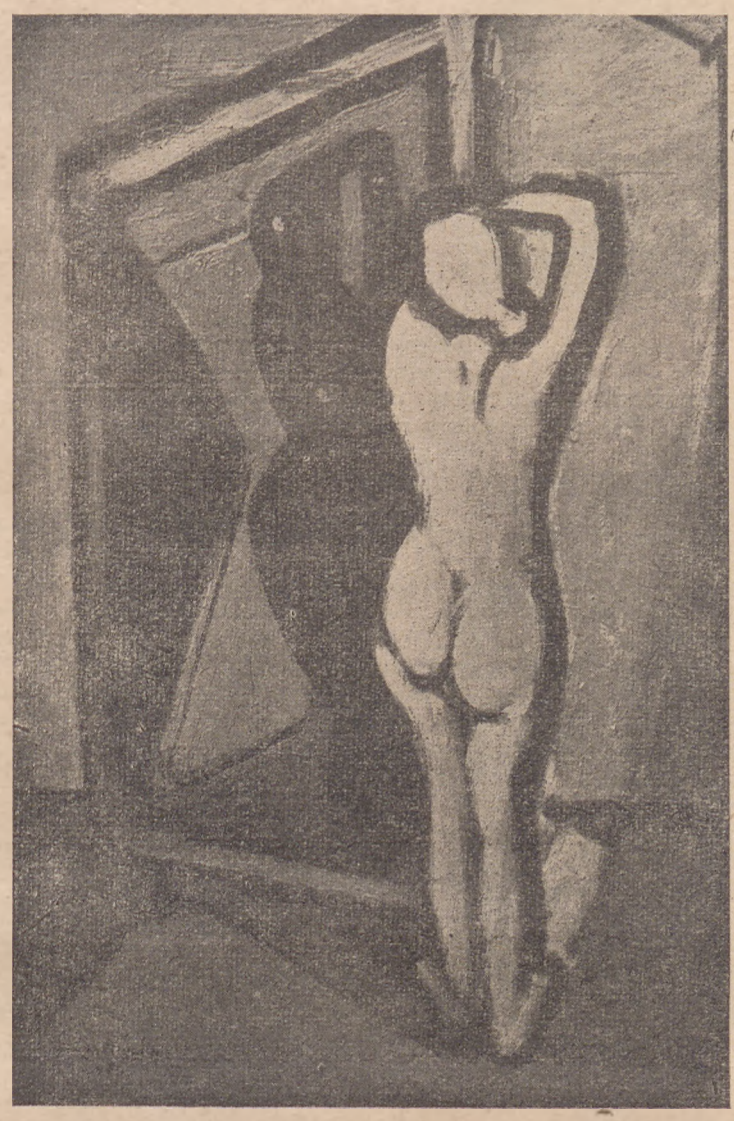

MARIAN SZMAŃDA
„Akt przed lustrem"
Olej

EDWIN JĘDRKIEWICZ

LUDZIE Z NIEDOKOŃCZONEJ POWIEŚCI

Gdzieś iść — robić coś — pośpiech — i to jeszcze
i to, i to, i to, — poniedziałki, wtorki
dziś, jutro — godziny, terminy jak kleszcze
— prochem się osypuje życie przemielane...

A na biurku czekają zapisane kartki.
I w nocy niebytu, w przepastnej beztreści.
za bramą snów, nad progiem życia,
czeka los ludzi z zaczętej powieści,
aż do rozkwitu z mroków miału
— ludzi, co dotąd dożyli
tylko do czternastego rozdziału.

Ich sprawy, drogi oddechy co rano
łakome życia, ręce wyciągane
i chwile z głową w dłoniach zagrzebaną
— z tego coś miało być, coś musiało!
A jest bez ciągu dalszego, bez jutra — Nic — Nic,
jest Nic!
na granicy czternastego rozdziału.

Ciężarem toni dniem, nocą trwa w uchu
tego „Nic" żądza, aby stać się życiem.
Oni na mnie czekają,
w pół krzyku żywego czekają, w pół ruchu,
brzytwą nicości w pół przecięci ciemną!
Los nie wie, co począć ma z nimi,
choć wie co ma zrobić ze mną.

A ja... gdzieś iść — robić coś — to jeszcze, to jeszcze
i to, i to, i to — soboty, czwartki
i — ich milczenie w uszach zawsze
i te na biurku czekające kartki —

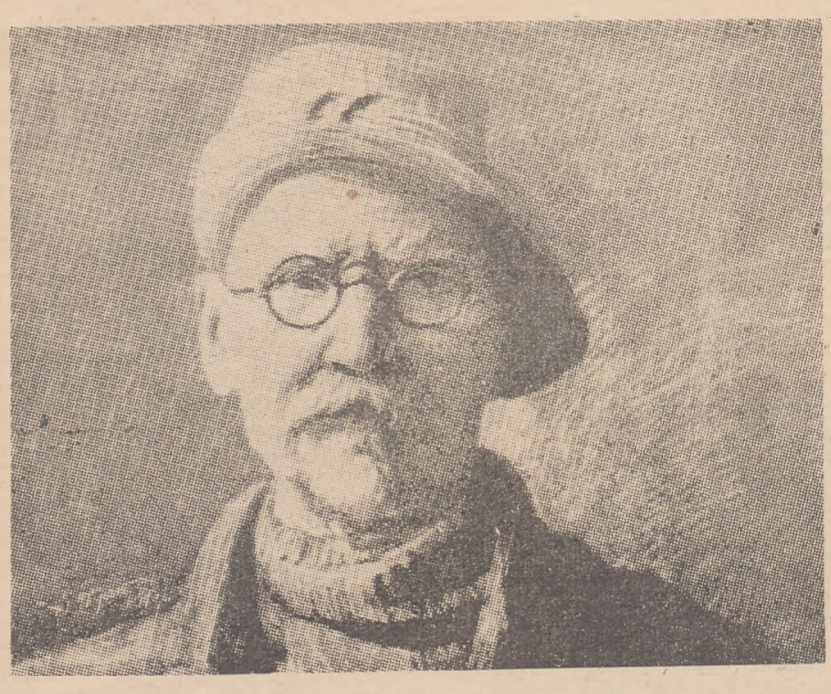

LEON WYCZÓŁKOWSKI
Autoportret

Z MUZEUM MIEJSKIEGO
w Bydgoszczy

i in. znaczy to samo, co wyzwalać nową energię potencjonalnych wartości, przytłumioną wskutek owych mistyfikacji. Oto zapładniające następstwa znaczeniowych deformacyj, które prowadzą do „metampsychicznego" wcielania się słowa w nowe organizmy znaczeniowe, całkowicie odchylone od swojego podłoża rdzennego. W procesach uintensywnienia życia słów, zaznaczył się między innymi również Karol Irzykowski. Jego nowotwór słowny „gwiazdor" (dźwiękowo przypominający wyrazy — indor, kaczor) nie przyjął się. Ten męski odpowiednik wyrazu o żeńskiej końcówce — gwiazda, odwoływał się niezbyt szczęśliwie do osobowego dualizmu płci. Zato wprowadzone przez Irzykowskiego do literatury polskiej a dokładniej mówiąc do słownika terminów intelektualnych słowo „kompromitacjonizm", jako pewnego rodzaju synonim metody tropienia czy kompromitowania wszelkich fałszowanych jakości moralnych, duchowych, kulturalnych i in. kursujące dotąd w polskiej publicystyce literackiej w sensie zamierzonym przez twórcę tego terminu, a nawet w sensie znaczeniowo rozbudowanym.

W metaforyzacji słowa, w jego znaczeniowym uprzestrzenieniu odegrał niepoślednią rolę Stanisław Ign. Witkiewicz. Ten wyjątkowo wielostronny twórca, bezspornie fenomen na przestrzeni całych dziejów polskiej kultury, przypominający wielotorowością swojego warsztatu myślowego oraz artystycznego niektórych twórców renesansu lub oświecenia, odbarwiał słowa z ich szablonów znaczeniowych, odkrywając nieraz w ich pospolitej treści — całkowicie nowy, niezwykły sens. I tak dzięki niemu, szczególnie modne i obiegowe w krytyce estetyczno-literackiej przed 2-gą wojną światową słowa „bebechowy", „bebechowość" zatraciły swoje fizjologiczne znaczenie, nabierając sensu psychicznego, tj. stając się synonimem żywiołowych wstrząsów duchowych. Rzecz inna, że twórca tych terminów w przedwojennej publicystyce polskiej nadużywanych często, bynajmniej nie zachwycał się tym rodzajem wstrząsów, które według niego, mimo wszystko, wypływały z podłoża fizjologicznego. To też postulował bardziej sublimowany rodzaj wstrząsu, któryby zerwał zupełnie z rodowodem fizjologicznym a stał się najwyłącznej czysto estetycznym. Że taki postulat jest realnym niepodobieństwem ze stanowiska prawdy życia duchowego i jego dynamiki — to sprawa uboczna. Wszelkie bowiem formy „przeżywania" są możliwe jedynie w ramach funkcjonalnego życia duchowego, a zatym przeżywanie estetyczne jest również jego funkcją i odbywać się musi za pośrednictwem tzw. organu duszy ludzkiej.

Zdumiewająca wynalazczość słowotwórcza St. Ign. Witkiewicza wyrażała się nie tylko w jego próbach odszablonizowania znaczeniowego słów, ale również w szukaniu odpowiedników słownych o rodzimych brzmieniach, dla słów tzw. „barbaryzmowych", o wieloznacznej, nieuściślonej treści i barwie uczuciowej raczej ujemnej lub bliskiej takiego charakteru. Witkiewicz proponował między innymi zastąpienie brzydkiego wyrazu — latynizmu „facet", nowotworem słownym „snardz", który brzmi daleko estetyczniej i w takim brzmieniu zatraca swoją barwę uczuciowo-ujemną — lub znajdującą się na granicy „ujemności".

Wśród polskich poszukiwaczy nowych lądów słowotwórstwa, niepodobna pominąć Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Ten urzędowy niemal epik przedwojennego życia polskiego (a dokładniej mówiąc jego oficjalnego kursu politycznego), ogarniający zresztą twórczością swoją wszystkie jego dziedziny, wprowadził do polskiego słownika literackiego wyrazy „prozator", „prozatorski" (zamiast „prozaik", „prozaiczny"); wyrazy, które się przyjęły w naszej publicystyce literackiej i są obecnie w pełnym użyciu. Posiadają one jednak raczej uproszczony zakres znaczeniowy. Uściślają bowiem jedynie dokładnie sens funkcjonalny swoich źródeł pochodnych („prozaik", „prozaiczny"), które zawierały podwójne, homonimiczne treści tj. dosłowną i przenośną, przy czym ta ostatnia określa głównie pewien typ psychologiczny.

Słowa „prozatorski", „prozator" (o przyrostku or, jak organizator, inicjator, gladiator, operator, ordynator, oznaczającym przeważnie wykonywanie czynności), odciążają wprawdzie wyrazy „prozaik", „prozaiczny" z ich dwoistej funkcji znaczeniowej, ale kurczą się równocześnie do terminów, wyłącznie jednoznacznych, które stały się tylko określnikami rodzaju literackiego, reprezentowanego przez pisarza. Są one jednak, mimo zubożenia kręgu znaczeniowego swoich poprzedników wyrazowych, słów — protoplastów („prozaik", „prozaiczny") bezsporną zdobyczą słowotwórczą, wzbogacają synonimiczne jakości słowa.

UOGÓLNIENIA

Rozważania powyższe prowadzą do pewnych uogólnień nie tylko faktograficznych, lecz również postulatowych. Jeżeli przed wojną współistniała w naukach ścisłych (np. w fizyce i w naukach przyrodniczych) obok postulatu absolutnej sprawdzalności zjawisk na drodze doświadczalnej — również problematyka typu pozadoświadczalnego, jeżeli mówiono i pisano dzieła pod znamiennymi tytułami, które, były zaprzeczeniem dotychczasowych dyscyplin badawczych, wyłącznie faktograficznych, jak „Psychologia roślin" czy „Inteligencja kwiatów", jeżeli zagadnienia ustrojów społecznych — owadów oraz ich życia zbiorowego zaczynano traktować ideterministycznie, dostrzegając w tych ustrojach znamiona głębokiej celowości i mądrości socjalnej, której rodowodu klucz przyrodniczego determinizmu nie wyjaśniał bez reszty, to z niemniej uprawnieniem można mówić o społeczeństwie słów, o ich klasach społecznych, o słowach — monadach, które tworzą znaczeniowe organizmy zdaniowe i słowach — autonomicznych światach znaczeniowych, które zazębiając się o dialektykę życia lub procesy kultury przeżywają odyseję błyszczących robinsonad słownych i tragicznych schyłków.*)

J. E. Płomieński

*) Już po napisaniu niniejszego szkicu przeczytałem ogłoszony na łamach „Twórczości" piękny rozdział z książki J. Parandowskiego, w którym autor formułuje, mimochodem zresztą wtrącone stanowisko, pokrewne mojemu — w stosunku do życia słów. W tym samym rozdziale wypowiada Parandowski sąd o istocie procesu twórczego, zbliżony do mojego stanowiska, które sprecyzowałem w obszrnej rozprawie (p. t. „Tajemnice geniuszu") drukowanej na łamach „Nauki i Sztuki" (nr 1 i 2, r. 1946). Miło mi zaznaczyć to powinowactwo stanowiska myślowego z J. Parandowskim.

ALINA CHYCZEWSKA — NA MARGINESIE ZJAZDU HISTORYKÓW SZTUKI

W KRĘGU KOPERNIKA I WYCZOŁKOWSKIEGO

Zabezpieczono już i zrekonstruowano tysiące obiektów dawnej architektury, rewindykowano na podstawie konspiracyjnie prowadzonych ewidencji imponującą ilość porabowanych przez Niemców zabytków ruchomych. Odbudowuje się zabytkowa Warszawa, Gdańsk, Poznań, Wrocław, Szczecin, powstają coraz nowe, od podstaw zorganizowane muzea, rozwija się akcja upowszechniania zagadnień sztuki. — Trud i odpowiedzialność za całą tą ogromną robotę wzięli na siebie ludzie zrzeszeni w Związku Historyków Sztuki i Kultury. Niewielu ich co prawda — historyków sztuki, prehistoryków, archeologów, etnografów, konserwatorów, muzeologów, architektów specjalizujących się w badaniach nad historią architektury, historyków kultury — oni sami zdziwili się nieco, gdy wyczytano w sprawozdaniu, że jest ich tylko 286 osób. Zdawało się, że znacznie więcej — pewnie dlatego, że każdy musiał się dwoić i troić, żeby podołać zadaniom. Bądź co bądź ta spotęgowana aktywność sprawia, że niemal wszyscy ci ludzie znają się, jeżeli nie osobiście, to przynajmniej z nazwisk i zrezultatów pracy — a praca ta wytwarza specjalną atmosferę we wzajemnych stosunkach: odpada konieczność wstępnych wyjaśnień informacyjnej gadaniny — wskakuje się od razu in medias res. Sprawdziło się to na tegorocznym zjeździe delegatów Związku, który obradował w Bydgoszczy i w Toruniu w pierwszych dniach września. Właściwie były to dwa zjazdy, bowiem muzeolodzy mając swój obszerny program obradowali osobno.

Wspólnie jednak obchodzono wielką uroczystość: otwarcie muzeum im M. Kopernika we Fromborku, gdzie genialny uczony spędził 40 najbardziej twórczych lat życia i gdzie sformułował wiekopomny system heliocentryczny. Zachowała się gotycka wieża, w której mieszkał i pracował, a także okazała katedra, gdzie służył Bogu ów kanonik fromborski. Tak oto w tym punkcie ziemi pod gwiazdami materializuje się legenda szorstkością i czerwienią cegieł, których dotykały tamte ręce. Ci, którzy konserwowali zabytki fromborskie z ramienia zarządu głównego Związku, dołożyli wszelkich starań, by uplastycznić każdy moment życia i dzieła wielkiego Polaka.

Gdy się teraz patrzy na katedralne podwórze, ocienione lipami pochylonymi nad zielenią świeżych trawników, gdy się zwiedza niewielkie lśniące nowością, artystycznie urządzone muzeum, trudno sobie uprzytomnić, ile to wszystko kosztowało wysiłków. Warto na ten temat porozmawiać z kimś spośród tych, którzy tu pracowali. W styczniu 1948 r. Prezydent Bierut rzucił projekt założenia muzeum — we wrześniu już je otwarto. A przecież trzeba było w tym czasie wywieść ogromne ilości zalegającego katedralne wzgórze gruzu, zburzyć poniemieckie szpetne zabudowania, splantować cały teren, zabezpieczyć zabytkowe budynki (rekonstrukcję odłożono do następnego etapu robót), odbudować gruntownie dwie przylegające do siebie kanonie na pomieszczenie muzeum — oczywiście sprowadzając z daleka fachowców i materiały. Trzeba było stworzyć koncepcję muzeum, zgromadzić, skopiować z oryginałów, wykonać na nowo eksponaty. Przyjęto zasadę — z konieczności po części — eksponowania kopii, nie oryginałów, które bądź poginęły, bądź są własnością innych muzeów bardziej centralnie położonych, a więc na ogół dostępniejszych. Mamy tu więc kopie dokumentów archiwalnych i portretów Kopernika, wierne rekonstrukcje jego instrumentów astronomicznych, fotografie zachowanych dzieł architektury w miejscowościach, które były etapami wędrówek Kopernika. Układ całości jasny i konsekwentny: zgromadzono w osobnych salkach eksponaty (grafika i druki) ilustrujące istotę odkrycia astronomicznego Kopernika, a także poświęcone biografii, ikonografii jego wizerunków, zobrazowaniu twórczości, dowodów pamięci i czci, jaką otaczano go na całym świecie. Całość uzupełnia zbiór dzieł astronomicznych. Wszystkie działy będzie się z biegiem czasu uzupełniać nowymi eksponatami: muzeum obecne jest zaczątkiem właściwej naukowej instytucji.

Uroczystość fromborska przyćmiła nieco inną, którą obchodziła dwa dni przedtem Bydgoszcz, kiedy to rodzina inż. K. Szulisławskiego ofiarowała miastu przeszło sto dzieł Wyczółkowskiego, powiększając i uświetniając istniejącą już tu wspaniałą, największą w Polsce kolekcję dzieł mistrza. W ten sposób Bydgoszcz jeszcze raz wzmocnia swoją kulturalną pozycję, a muzeum zdecydowanie zarysowuje swój charakter instytucji poświęconej kultowi jednego wielkiego twórcy, jak muzeum fromborskie — Kopernikowi. Ofiarowana muzeum kolekcja składa się w większości z monochromatycznych, o mistrzowskiej technice, szkiców i rysunków pochodzących z późniejszego okresu twórczości, wykonanych tuszem, kredką lub akwarelą na papierze i kartonie. Tematyka typowa — drzewa, kwiaty, zabytkowa architektura. Jest też kilka portretów. Wśród nich zwracają uwagę, nie tylko przez wyróżniającą je barwność, dwa z rozmachem kreślone — w jednym wypadku tuszem i pastelem, w drugim temperą — autoportrety, kontrasowe w barwie i wyrazie. Obywatelski czyn rodziny Szulisławskich był najpiękniejszym uczczeniem 25-ej rocznicy istnienia Muzeum bydgoskiego — na ten czas właśnie przypadającej.

Tyle o odświętnych wyjątkowych chwilach obu zjazdów. A oto ich dzień powszedni: dyskusje nad problemami konserwatorskimi Torunia (tu zwłaszcza ciekawe jest zagadnienie konserwacji odkrytych tuż przed wojną fresków gotyckich w kościele św. Jana — o czym w następnym numerze „Arkony") i oczywiście obrady. Obrady o podwójnym charakterze: wewnętrzno-organizacyjnym Związku i naukowym. Zawsze i wszędzie jako ogólna tendencja dała się zauważyć troska o wydźwięk społeczny wszelkich poczynań. Największą przecież dyskusję wywołała kwestia ustalenia formy upowszechnienia zagadnień sztuki i kultury — prelekcyj, publikacyj, wystaw ruchomych przystosowanych do odbiorców z rozmaitych środowisk. Kwestię zaprojektowania form i metod tego rodzaju działalności powierzono oddziałowi krakowskiemu Związku.

Wielkim przedsięwzięciem jest podjęcie robót archeologicznych w związku z przygotowywanymi na rok 1965 lub 1966 uroczystości tysiąclecia istnienia Państwa Polskiego. Chodziłoby tu o rozświetlenie zagadnień genezy państwa — czasu i terenu jego powstania, zachodnich granic słowiańszczyzny, kultury materialnej za pierwszych Piastów, hierarchii ustrojowej grodów itd. Ze zwięzłego i rzeczowego referatu kol. A. Gieysztora dowiedzieliśmy się, że w programie jest zbadanie około 30-tu obiektów, między innymi w Gnieźnie, Poznaniu, Ostrowie na jez. Lednicy, Kaliszu, Kruszwicy, Gdańsku, Szczecinie, Wrocławiu, Krakowie na Wawelu itd. W kilku miejscowościach prace rozpoczęto, a na podstawie dotychczasowych odkryć można już teraz sformułować wnioski niezmiernie ciekawe, jak np. ten, że miasta nie są u nas formą osadnictwa importowaną. Pomiędzy osadą wiejską i miejską nie ma luk, istnieje ciągła ewolucja przejawiająca się w formach przejściowych. Poznajemy zwolna ustrój tych pierwszych miast i ich rozległe nieraz stosunki handlowe. Stwierdzono też między innymi, że sadownictwo nie przyszło do nas od Niemców, jak usiłowali oni twierdzić — istniało już od dawna rodzime.

Na wiele jeszcze pytań oczekujemy odpowiedzi, przerywając wiekowy spokój grodów i cmentarzy słowiańskich.

Ale wróćmy do współczesnej epoki. By nasi potomkowie nie mieli z nami takich kłopotów, jak my z pradziadami, musimy się sami zatroszczyć, by utrwalić i zachować to, co już w naszych czasach zanika — drewniane budownictwo ludowe. Zjazd Muzeologów radził więc nad zasadami urządzenia tzw. „Muzów Skansenowskich", czyli muzeów pod otwartym niebem, które by ukazywały w naturalnym otoczeniu zasadnicze typy budowli wiejskich drewnianych. Dyskutowano, ale nie rozstrzygnięto na razie sprawy, czy powinien to być szereg ośrodków

LEON WYCZÓŁKOWSKI
Orka na Ukranie (litogr.)

Z MUZEUM MIEJSKIEGO
w Bydgoszczy

charakterystycznych dla poszczególnych regionów, czy też jedno wielkie muzeum, będące typowym przekrojem całości budownictwa drewnianego. Sprawa ta ma być w dalszym ciągu rozważana przez fachowców najbardziej kompetentnych.

Jeszcze jeden problem omawiany na zjeździe to sieć muzeów na terenie województwa olsztyńskiego, muzeów istniejących dawniej, niemieckich, przeważnie zniszczonych niemal doszczętnie podczas wojny i projektowanych polskich. Muzeum we Fromborku jest pierwszym, które zrealizowano. Oby następne powstały w równie pięknej i przemyślanej formie!

A. Chyczewska.

Z WIZYTĄ W MUZEUM WIELKOPOLSKIM W POZNANIU

Gdy w roku 1945 Muzeum Wielkopolskie przystąpiło do komasacji swych zbiorów i stanęło przed zadaniem bodaj, że wtedy najistotniejszym: zorganizowania galerii malarstwa polskiego, sytuacja przedstawiała się zgoła odmiennie jak w roku 1920, roku repolonizacji dawnego „Kaiser Friedrich Museum". Podczas gdy wówczas kwestią najważniejszą było przegrupowanie zbiorów, zaakcentowanie i wzmocnienie pozycji malarstwa polskiego, wobec licznie reprezentowanych szkół obcych, a szczególnie niemieckiej — obecnie kierownictwo Muzeum stanęło w obliczu trudności daleko bardziej zasadniczych.

Materiał zabytkowy z premedytacją i systematycznie niszczony, przerzucany do składnic prowincjonalnych, zmalał do 1/3 stanu przedwojennego. Pierwszym etapem pracy była więc rewindykacja zbiorów i ich zabezpieczenie; potem dopiero można było rozejrzeć się w zebranym materiale i ocenić jego wartość eskpozycyjną. Pierwsza wystawa otwarta w lipcu 1945 roku miała z tych względów jeszcze charakter prowizoryczny, jednak cel jej — szybkie udostępnienie po 6-letniej przerwie najszerszym masom dorobku naszej kultury z dziedziny malarstwa, został w pełni osiągnięty.

Sytuacja uległa zmianie w ciągu 1946 i 47 roku. Zasoby galerii zostały powiększone przez dalszą rewindykację, przez częściowe uzyskanie galerii rogalińskiej, oraz szeregu cennych depozytów Muzeum Narodowego w Warszawie, wreszcie dzięki zakupom z zakresu malarstwa współczesnego. Pozyskany w ten sposób materiał umożliwił ekspozycję bardziej konsekwentną, a przede wszystkim surowszą selekcję artystyczną posiadanego materiału. Jego wybór i rozmieszczenie nie należało do zadań łatwych. Konieczność ograniczenia się do 4 sal nie pozwoliła na wyczerpujący pokaz wszystkich kierunków malarstwa 19 i 20 wieku. Brak miejsca zmusił do pewnej syntezy i skrótów, pozwolił jedynie uwypuklić momenty najważniejsze, zaznaczyć niejako sylwetki, kierunki i dążności, przy czym punkt ciężkości przerzucony został na malarstwo między- i powojenne.

Epoce Stanisława Augusta tworzącej fundament dla rozkwitu naszego malarstwa narodowego 19 wieku została poświęcona cała pierwsza sala. Bacciarelli — nadworny malarz królewski jest dobrze reprezentowany w całej skali swych możliwości. 6 szkiców obrazów wykonanych dla zamku warszawskiego daje pojęcie o jego pracach historycznych, a jedna z licznych replik portretu króla w stroju koronacyjnym pokazuje nienaganność kompozycji, tego najpopularniejszego malarza na dworze króla Stasia.

Liczne grono kosmopolitycznych, ulubionych przez tę dworską epokę portrecistów reprezentuje Jan Chrzciciel Lampi i Józef Grassi. Portret marszałka Małachowskiego Grassiego świetny w swej dążności do indywidualizacji, śmiałości i lekkości kompozycji daje dobre pojęcie o rodzaju jego twórczości. Elekcja Stanisława Augusta malowana przez Canaletta, to niewyczerpane źródło studiów z dziedziny historii kultury, kostiumologii i obyczajów.

Z pomiędzy polskich malarzy doby stanisławowskiej pokazano bardzo dobry autoportret Wojniakowskiego i Paradę wojskową Peszki. Z czasem przy rozwinięciu galerii będzie można wydobyć z magazynów prace malarzy architektury jak Zaleskiego, czy Vogla, dobitniej również zaakcentować klasycyzm, którego jedynym przedstawicielem w tej chwili jest Hadziewicz. Szkicowego obrazu epoki dopełniają 2 rysunki sepią Norblina i ucznia jego Orłowskiego. Zagroda Wiejska, czy Jeździec to charakterystyczne tematy Orłowskiego, który w swych mistrzowskich szkicach i rysunkach przedstawia najchętniej sceny z życia codziennego podpatrzone na gorąco. Spośród kontynuatorów Orłowskiego znalazł się na wystawie Michałowski i Kossak. Zestawienie ich razem jest dość ciekawe, bo pomimo rzucających się w oczy podobieństw opartych na szukaniu pokrewnych tematów i wspólnym im romantycznym rozmachu, są i duże różnice. U Michałowskiego zaznacza się przewaga pierwiastka artystycznego, pogłębienie kompozycji i mistrzowskie operowanie barwą i światłem. Kossak natomiast, talent z „bożej łaski", nie rozwiązuje problemów. Traktuje je raczej ilustracyjnie, kolorystycznie nieraz zawodząc.

Brak materiału nie pozwolił uwypuklić twórczości Matejki, tak jak na to zasługuje. Szkic do Grunwaldu do niedawna nieznany zaskakuje rozmachem rysunku, przy „impresjonistycznie" niemal kładzionej plamie koloru. Doskonały portret Szujskiego, niestety bardzo zniszczony, pochodzi z roku 1886, epoki szczytowych osiągnięć artysty. Przeciwieństwem wybuchowego, romantycznego temperamentu Matejki jest chłodny, rzeczowy, obiektywizm Rodakowskiego, który poświęca idealizację dla portretowej prawdy. Cechy te wykazuje portret żony Teofila Gautier, malowany przez artystę w Paryżu. W portrecie marszałka szlachetne zestawienia czerwieni z szarą zielenią mówią o jego rozwiązaniach kolorystycznych.

Osobne miejsce w tym zespole zajmuje pełna symbolistyki twórczość Malczewskiego, pokazana w 2 fazach rozwojowych. Z pierwszej monachijskiej pochodzi obraz Na etapie, wstrząsający swym realizmem, jeden z wielu z cyklu poświęconego martyrologii polskiej. Słynna Melancholia to okres pełnego symbolizmu, kiedy pragnienie wydobycia głębokiej treści dominuje nad czynnikami artystycznymi.

Nie pominięto oczywiście pokaźnej grupy polskich pejzażystów. Od Szermentowskiego, czy Maleckiego, łączących sumienne studium natury z pewną nutą romantyzmu, poprzez Chełmońskiego i Fałata, aż do trzeźwego z fotograficzną niemal dokładnością oddanego widoku Rotenberga Aleksandra Gierymskiego. Skalę możliwości tego ostatniego obrazuje nam Louvre, gdzie artysta dąży do wydobycia efektów oświetlenia wielkomiejskiego, a przede wszystkim wspaniale utrzymane w złoto-zielonych tonach studium do Altany; światło jest tu czynnikiem decydującym. Obraz ten stawia Gierymskiego w rzędzie prekursów impresjonizmu. Wreszcie maleńkie pejzażyki Stanisławskiego, malowane przeważnie w ciągu jednego posiedzenia na deseczkach mieszczących się w jego pudle z farbami, odznaczające się szerokim, śmiałym pociągnięciem pędzla, subtelnym kolorytem i nastrojowością.

Główki dzieci góralskich typowe dla Kotsisa mówią o jego zamiłowaniach tematycznych, bardziej jednak charakterystyczny jest obraz „trojga dzieci w pejzażu" niedawno zakupiony przez Muzeum, który pokazuje twórczość tego tak długo niedocenianego artysty od strony istotnych wartości malarskich. Frapujące zagadnienie artystyczne dominuje tutaj wyraźnie nad tematem.

Mała przejściowa sala poświęcona została rysunkom i akwarelom. Wypełniają ją wizje architektoniczne Noakowskiego, doskonała Caritas i Portret Ireny Solskiej Wyspiańskiego, oraz Wnętrze katedry wawelskiej Wyczółkowskiego.

Wyznaczenie największej i reprezentacyjnej niejako sali malarstwu współczesnemu wskazuje na kierunek w jakim idzie polityka zakupów muzealnych. Zbiory te powiększa się stale, również dzięki wydajnej pomocy czynników oficjalnych. Z ostatniego Salonu Ogólnopolskiego z funduszu Wojewódzkiej Rady Kultury zostało zakupionych dla Muzeum 5 obrazów i to: 2 Cybisa, Rudzkiej-Cybisowej, Taranczewskiego i Wolfa i 3 obrazy Szczepańskiego z jego wystawy zbiorowej. Dzięki temu dobrze są reprezentowane najnowsze kierunki i różne środowiska artystyczne. Pokazanie ich w bezpośrednim sąsiedztwie „antenatów" duchowych Pankiewicza, Podkowińskiego, Boznańskiej, zdawać by się mogło przedsięwzięciem dość ryzykownym: jednolity jednak charakter sali jest dowodem żywotności zapoczątkowanych przez nich zagadnień. Nieco na uboczu w tym zespole stoi twórczość Wojtkiewicza i kubizm Makowskiego, podczas gdy pozostałych zdają się głównie interesować zagadnienia kolorystyczne. Wskazują na to zarówno prace przedstawicieli środowiska krakowskiego: Rzepińskiego, Pronaszki, Eibischa, jak i subtelna „gobelinowa" martwa natura Jana Cybisa, czołowego przedstawiciela szkoły warszawskiej.

Teresa Ruszczyńska.

NOTATKI POZNAŃSKIE

Państwowy Teatr Polski pod dyr. Wilama Horzycy w okresie ogólnej reorganizacji dał dwa powtórzenia premier toruńskich: „Wilków w nocy" — Rittnera w reż. Wilama Horzycy i „Seansu" — Cowarda w reż. Hanny Małkowskiej. Na uroczystą inaugurację sezonu 1948/49 przygotowuje teatr jedną ze sztuk wielkiego repertuaru.

„Teatr Nowy" — pod dyr. Zbigniewa Szczerbowskiego przygotowuje na otwarcie sezonu „Chorego z urojenia" z Fertnerem w reż. Emila Chaberskiego.

„Komedia Muzyczna" — w próbach „Jadzia wdowa" w reż. Zbigniewa Sawana z Lalą Sroczyńską-Szczerbowską w roli tytułowej.

„Opera Poznańska", której dyrekcję objęli prof. dr Chybiński, Zdzisław Gorzyński, Józef Garda i Stanisław Hebanowski, pełniący zarazem funkcję kierownika literackiego — przygotowuje na otwarcie sezonu „Goplanę" — Żeleńskiego w reżyserii Teofila Trzcińskiego w oprawie scenicznej Karola Frycza. Jako następna premiera przewidziana jest „Opowieści Hoffmana" w reż. Józefa Wyszomirskiego z dekoracjami Daszewskiego.

*

W Poznaniu powstało nowe pismo artystyczne którego pierwszy numer ukaże się w październiku. Nosi ono nazwę **„Echo teatralne i muzyczne"** i poświęcone będzie głównie zagadnieniom teatru i muzyki. Redakcję objął Roman Brandstaeter, Stanisław Hebanowski i dr. M. Szałagan.

Przy piśmie zawiązuje się biblioteka dramatyczna, w której przewidziane jest wydanie dramatów Brandstaettera, Kubackiego, Dygata i in.

ŚWIAT PATRZY NA POLSKI WROCŁAW

WYSTAWA ZIEM ODZYSKANYCH * KONGRES INTELEKTUALISTÓW

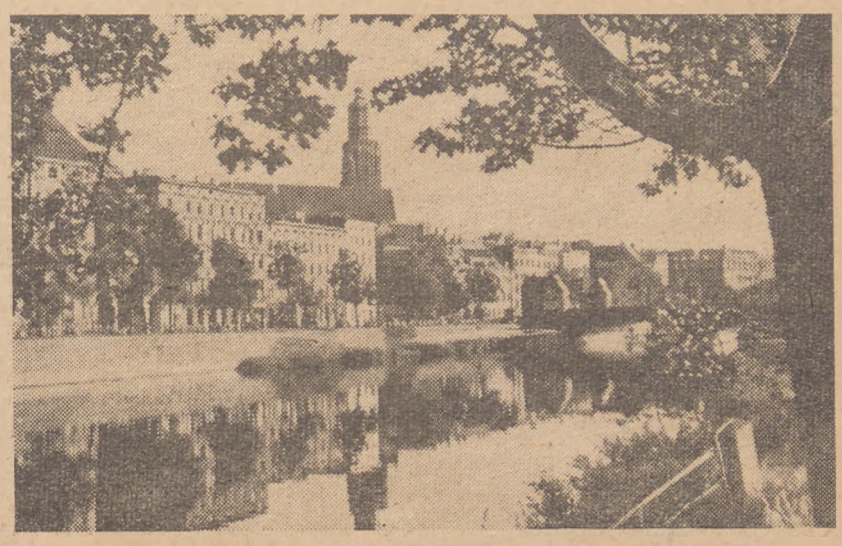

Wrocław leży nad Odrą

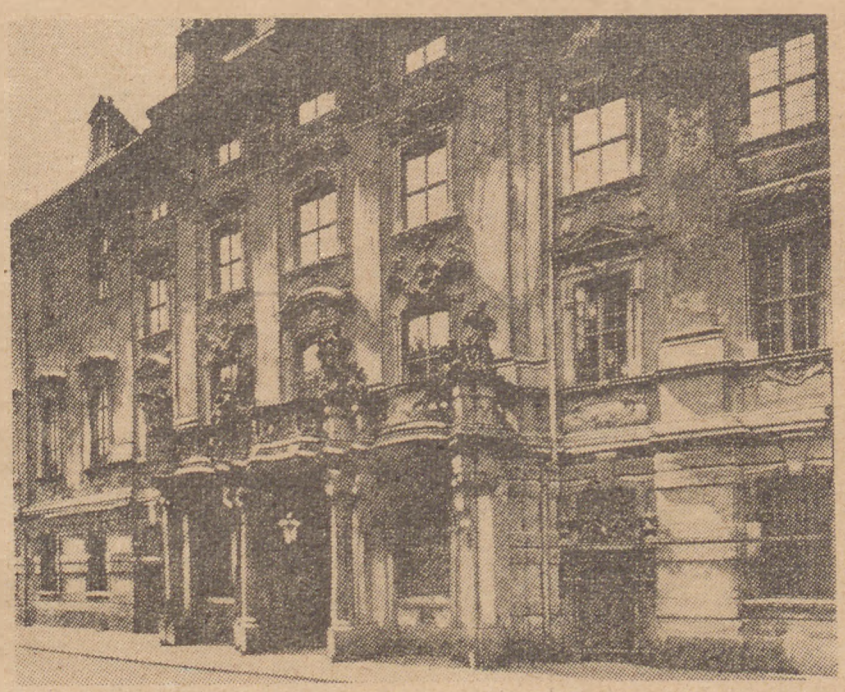

Uniwersytet wrocławski — najpoważniejszy ośrodek naukowy Ziem Odzyskanych

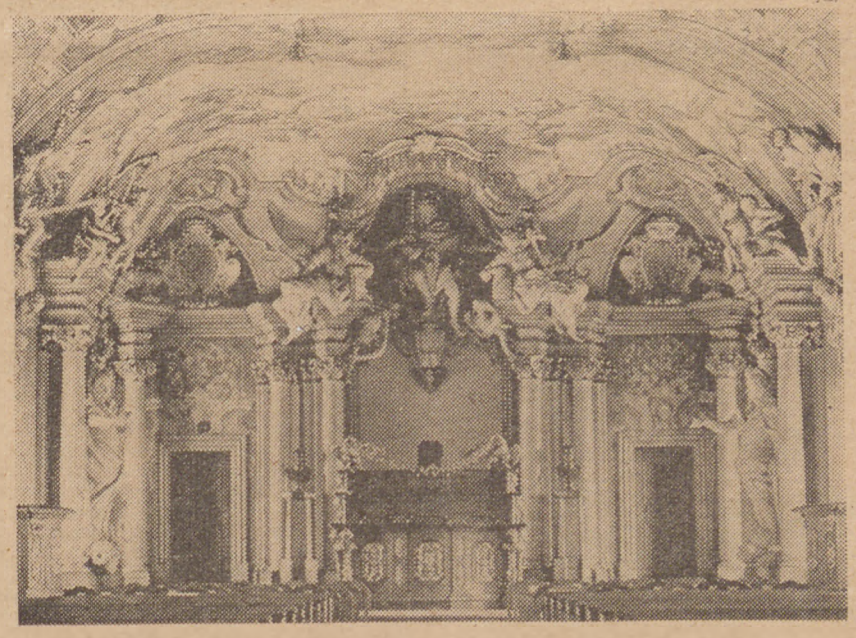

Aula uniwersytecka

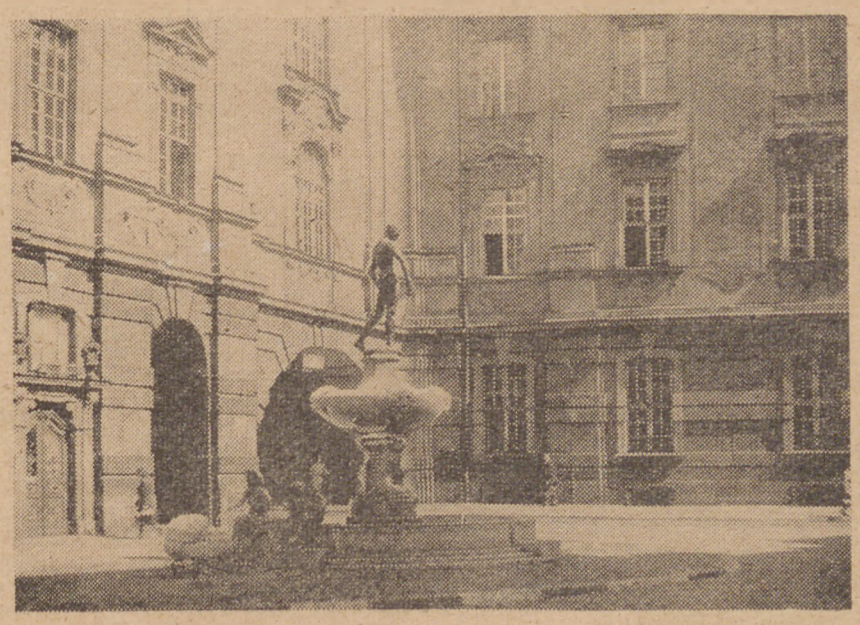

Plac uniwersytecki

MARIAN BRANDYS

NAJMŁODSZA MARYNISTYKA

(O PEWNYM KONKURSIE)

Celowość urządzania konkursów literackich o ściśle określonej tematyce, a tym samym o znacznie zwężonym zasięgu osobowym i terenowym bywa często kwestionowana. W praktyce zdarza się jednak, że właśnie takie konkursy przynieść mogą wcale ciekawe rezultaty. Jako przykład niech posłuży rozstrzygnięty niedawno konkurs literacki Gdańskiej Wojew. Rady Sztuki i Kultury Artystycznej na nowelę lub opowiadanie o tematyce marynistycznej, lub związanej z życiem Wybrzeża. Sądzę, że wyniki tego konkursu, ze względu na jego szczególny charakter, zainteresują wszystkich, którym leży na sercu przyszłość polskiej marynistyki. Dlatego też — jeszcze przed opublikowaniem w całości wyników — próbujemy przy pomocy kilku ciekawszych fragmentów zorientować czytelników w jego poziomie i rodzaju.

Jedną z dwóch równorzędnych drugich nagród w konkursie przyznano Janowi Panasewiczowi, z Bydgoszczy za nowelę z życia rybaków nadmorskich pt. „Złodziej". Fabularny wyjątek noweli skupia się dokoła osoby nieuchwytnego złodzieja łososi, który nocą opróżnia sieci, zastawiane przez mieszkańców małej miejscowości rybackiej, przy ujściu Wisły. Na kanwie sensacyjnej fabuły autor — z wyjątkową znajomością i wyczuciem środowiska — rozsnuwa sugestywny obraz codziennej rzeczywistości osady rybackiej. Obraz to surowy i pierwotny, nieskażony i niezłagodzony najlżejszym retuszem — ale też w tej surowej prawdzie niezwykle urzekający. Szczególnie cenną i oryginalną nowością, jaką wnosi nowela Panasewicza, są przepojone humorem dialogi kaszubsko — wileńskie, stanowiące dzisiaj integralny element codziennego życia pomorskich osad rybackich. Oto np. rozmowa starego autochtona Teszki z młodym repatriantem z *Wileńszczyzny* — Wincentym.

Noc była tak czarna, że ceglany budynek nad Wisłą, pod którego murem siedzieli owinięci w kożuchy Wincenty i Teszka, poznać można było tylko po zgrzytaniu rynny deszczowej i poświstach wichru dokoła ścian. Chlustanie Wisły o brzeg mieszało się z wrzaskiem na wietrze niewidzialnego boru, za którym ciężko stękało morze.

— Nie przyjdzie już... — Wincenty odłożył pałkę i wyprostował nogi, które miał podwinięte pod siebie.

— Przińdze, tera bańdze nolepszo poera na złodzijów. Tera topjelce i desze poctąpjone choedzą poe moerzu i woełają do siebie, kto mo grzech na seminiu. — Teszka przeżegnał się nabożnie — Tera je czas ćede kaminie rosną i rozkwitają poed woedą.

Ale Wincuk miał wątpliwości.

— Nie może być, coh kamieni rośli.

— Mrszczinę widzełeś?...

— Nu i widział. Rośni na kamieniu i co?...

— Nie rosce na kamieniu, nie rosce.. — pokręcił Teszka głową w głębokiem przekonaniu. To kamiń kwitnie i wypuszcza koerzenie. Dlotegoe ich woederwać nie moeżna. I na poele kaminie poed zenijną rosną, zanim ręka człowiecza ich nie dotknie, a woet stukania ich poed zemją grzemoet idzie po swjece. Za Bąsakiem żeł jeden rebok, lat temu pińćdzesiąt. Bąbiarz i cezołożnik wjeldzi. I chodzeł on do dzewke jednej, serote bez nenci. Woejca telko starego mjeła, co płakeł nad dolą swoeją neszczestną. I szedł on rebok jednego raza do niej nocą taką jak to, telko grzmoety straszliwe bjeły. A reno naleźli jego w woegredze na przeciw woekna tej dzewke. Kamiń na nem wieldzi, siarką jeszcze śmirdzeł i korzeniami woeplatał tego reboka jak sec łososa.

— Nie wierza ja w bajki takie!

— Prowda: korzenie durch bez niego przeszły

— Nie wierza!

— W co ty nie wierzysz?!

— Nie wierza, bo łżesz od początku, bo grzmot robi się od tego, że święty Eljasz na wozie po chmurach jedzi, a nie od tego, co kamieni pod ziemio jak sabaki zębomi plaskają!

— Przełoż ucho do zemje, a posłyszesz, — obraził się stary.

Milczeli. Siatki nad brzegiem wyły cienko na wietrze.

A oto inny fragment tej samej noweli. Tajemniczy złodziej łososia wypływa nocą na swój niedozwolony połów. Ten opis to już marynistyka „całą gębą".

Bór, grający cicho po obu stronach rozbełtanej Wisły, skończył się. Za latarniami, które mrugały jak wilcze oczka w kotłującej się nocy, fala zaczęła iść wyższa. Nadlatywały z ciemności grzbiety jak dachy, sprężyste jak guma i deszczem piany rozbitej na dziobie strzelały w żagiel i spluwały w zziębniętą twarz człowieka przy sterze.

Świat był niewidzialny, dwie mrugające latarnie były gwiazdami nie z tego świata. Osadzone gdzieś twardo w bezpiecznej przestrzeni, porozumiewały się uparcie ze sobą, naprzekór chaosowi, który mknął z niewiadomej dali, władczy i niepojęty. Posuwanie się naprzód było raczej sprawą wiary, gdyż wydawało się, że to łódź kiwa się i zatacza na miejscu w strumieniu wichru i między długimi grzędami nadlatujących fal.

Człowiek uparcie prowadził łódź w jakimś kierunku, jemu tylko wiadomym, w tym czarnym chaosie, w którym nie widział nawet własnych rąk, a obecność żagla poznawał po klaskaniu płótna przy zwrotach i dygotaniu szkota. Uszy tylko pilnie obracał, aż w kotłującej się nocy zaczął odróżniać szmer nowy, niby grzmot przerwany młyna. To wdzierało się morze na rufę zatopionego parowca. Sterczała gdzieś w ciemności, straszna i opuszczona, a fale wjeżdżały na nią, strzelały na załomach i długimi brodami cedziły się w noc za burty. Ludzie, którzy przyjechali aż tu na tej kupie żelastwa, dawno już rozkładali się wśród wodorostów lub butwieli w piaskach nadbrzeżnych i tylko ogon ciężkiego łańcucha tłukł w bezmyślnym uporze po zardzewiałym kadłubie. Łódź przeszła tuż za niewidzialną rufą, aż bryzgi zatrzeszczały po żaglu. Potem człowiek zmienił kurs i słuchał uważnie. Niebawem coś zabębniło pod łodzią i toczyło się najwyraźniej od dziobu do rufy. Wreszcie stanęło. Wówczas człowiek błysnął elektryczną latarką do wody. W sinym talerzu światła, tańczącym na kipieli, buzowały banki wodne i pławiły się korki od sieci, która gięła w upiornym mroku głębiny.

Gdy łódź pogrążyła się w zapadlisko, człowiek uchwycił się sieci i stęknąwszy z wysiłku, zahaczył ją o widełki sterowe. Zakotwiczywszy się w ten sposób rufą do fali, zabrał się omackiem do zwijania żagla. Płótno chlastało go po twarzy i wyrywało się jak żywe, a on uczepił się masztu i waląc się razem z nim na dnie burty omotywał grot oślizgłymi skrętami szkoły ta. Fok zaś strzelał na wietrze i wstrząsnął łodzią zanim ściągnięty i zdeptany butami nie uspokoił się na dnie. Przedostawszy się wśród chwiejby znowu na rufę, człowiek ujął w dłonie górny sznur sieci z korkami i unosząc go co chwila do góry zaczął z całą łodzią przesuwać się wzdłuż drygawicy, odgadując każdą nadlatującą falę niezawodnym zmysłem równowagi. Trwało to dość długo, aż w pewnym momencie od rąk ubabranych w sieci przebiegł po nim elektryczny dreszcz i załomotał w sercu: coś żywego ciężko targało się w sieci, coraz wyraźniej w miarę przesuwania się różańca korków w rozgorączkowanych dłoniach. Wreszcie ostatni wysiłek dłoni, ostatnie sprężenie spoconego karku i człowiek wraz z olbrzymim zwałem sieci potoczył się na dno łodzi. Nie zważając na chwiejbę, oslodłał kolanami rybę, potężną jak bierwiono i zaświecił. Przez gmatwaninę oczek, wachlując skrzelami łosoś patrzał sztywnym, wszystko widzącym okiem i chlastał leniwie pietwą, wielką jak łopata. Było coś niesamowitego w tym nieruchomym i milczącym obcowaniu ryby i człowieka.

Zupełnie inny typ „marynistyki" reprezentuje utwór młodego pisarza łódzkiego Andrzeja Brauna pt. „Krokodyl" (2-ga równorzędna nagroda). Nowela ta ma charakter batalistyczno morski. Jej akcja rozgrywa się w środowisku marynarzy radzieckich. Treścią jest heroiczna walka, jaką radziecki trałowiec T 244 stacza z bombowcami i ścigaczami niemieckimi. Sceny batalistyczne przedstawione z dużym realizmem, że trudno uwierzyć, iż autor sam nie brał nigdy udziału w bitwie morskiej, a cały materiał obserwacyjny, na którym nowela jest oparta, zebrał w czasie dwutygodniowej wędrówki przybrzeżnej, odbytej w roku 1945 z marynarzami radzieckimi, na szlaku Gdynia—Szczecin.

U PLASTYKÓW SZCZECIŃSKICH

ZENON KONONOWICZ — PRZY MOLO (Rys.)

Oto jeden z fragmentów „Krokodyla", przedstawiający chwilę alarmu bojowego na okręcie. Na horyzoncie pokazują się samoloty niemieckie.

Na pokładzie żrąca piana chlasta po gębie. Tupią podkute buty, cmokają gumowce. Tłoczą się ludzie, poślizgują, przewracają. Na końcu pchają się ranni, świecąc bandażami i usztywnionymi kikutami poszarpanych rąk. Towarzysze dopinają im pasy. Oni dobijają się o swoje miejsca. Zajcew klnie ich, ale jest zadowolony. Dowódca podaje kąt ogniowy. Zajcew z Karablinem obsadzają siodełka oerlikonów. Przy nich Pietia, Wasarow i inni. Łapią uchwyty, wpierają się ramionami, już są wmontowani na śmierć i życie w tryby enkaemów. Lawety obracają koła, strzelcy jeżdżą jak na karuzeli. W drucianym krzyżu celownika przesuwają się skłębione, bure obłoki. Działa jeżdżą także z warkotem naoliwionych trybów. Lufy opadają niby wskazówki. Celują. Grzechoczą rozciągane przez marynarzy ziarniste taśmy, lśni mosiądz. Przy działach stoi już kolejka. Pociski i łuski przygotowane przechodzą z rąk do rąk. Alosza tubalnym głosem grzmi na dziobie. Nie ma wiele czasu. Jeszcze milknie zawodzenie syreny, a już inny, stokroć groźniejszy, obcy odgłos zaczyna wwiercać się w uszy artylerzystów. Dudnią ponuro motory niemieckich stukasów. Trzy czarne ptaki suną tuż pod chmurami, kierując się na trałowiec.

Gdy przechodzą jeszcze na sporej wysokości nad pokładem, oerlikony zaczynają gdakać! Lufy drżą, łuski sypią się jak z sita. — Pok, pok, pok, pok!... — huczą sprzężone działka. Inni z przeciwlotniczymi karabinami zasadzają się za bariery, bijąc w niebo sznurkiem pocisków, a jednocześnie uważając na spłukującą wszystko półsztormową falę. Kadłub trałowca jeździ, nogi rozkraczają się, oerlikony skaczą.

Samoloty przeszły nie atakując. W pewnej odległości zawróciły i ruszyły, tym razem nisko. Automatycznie skierowały się na nie wszystkie lufy. Ogień zajazgotał w najwyższym natężeniu. Łupnęły działa Aloszy, plunęły ogniem i szmatą dymu. Otwarto zamki. Załadowano powtórnie. Alosza szalał nad swoimi ludźmi. Na mostku Jewgenij przerzucał szybko szprychy sterowe, słuchając zachrypłego głosu kapitana. Zacharow kierował ogniem. Dzwonił prawie niedosłyszalny w tym zgiełku telegraf maszynowy. W dole Małygin, Chruszczew i Banajskij tłukli się jak smoki w chybotliwym piekle. Kadłub wstrząsany falą i wystrzałami wyprawiał dzikie skoki. Siewieropakow zcięty z nóg rozharatał czoło o śruby silnika. Gęsta czarna krew rozlała się strumykami po szyi. Ocierał ranę tłustymi od oliwy pakułami.

W ciemnej kabinie radiotelegrafisty Jakowlew zupełnie zdartym głosem powtarzał, głuchy na wszystko, co się działo: AŁTAJ... ASTRACHAN... Z. Z. 10. 37... AŁTAJ ... ASTRACHAN!

Trzy bomby ze stukasów padły w morze tuż koło T244, wywalając potężne gejzery białej piany. Strugi jej ścięte wiatrem, chlusnęły na pokład, spłukując ludzkie flaki, krew i sadze. Tylko jedna trafiła w dziób, rozszarpując blachy kadłuba. Stalowe żebra i wstęgi odwinęło jak wstążki, topiąc je i pokrywając niebieskim nalotem od żaru. Trująca woń eksplozji, dym wraz z czadem, spowiły na chwilę trałowiec, gryząc ludzi w oczy i zmuszając do kaszlu. Zapaliły się kable, ale zaraz zgasły. Samoloty zatoczyły łuk. Na trawersie pojawiły się dwa okręty, które skrywała dotychczas wysoka fala. To były ścigacze niemieckie. Zbliżały się na pełnej szybkości, błyskając i bijąc z dział jak czołgi. Czarny kapitan na mostku z potrzaskanymi szybami troił się w rozkazach. Szprychy koła sterowego warczały w rękach Isakowa Jewgienija, busola tańczyła jak obłąkana na wszystkie strony. Fioletowy spirytus wyciekał spod naktuza. Telegraf maszynowy skakał i dzwonił. Tam w maszynowni wypełniano jeszcze rozkazy. Motory dygotały maksymalną szybkością 13 węzłów. T 244 robił zwroty, zygzaki, półkola, odrzucając warkocz piany i spalinowego dymu.

— Torpedy! — krzykną. Zacharow, obserwując zbliżające się z rykiem ścigacze. Szarpnął ster, obalając Jewgienija, aż zabrzęczały metalicznie wszystkie jego ordery i gwiazdy. Trałowiec wykonał nagły zwrot i pienisty szlak torpedy przeszedł obok.

Samoloty wracały.

— Wiesz, oddam ci moją Lenę — powiedział Zaks, krzywiąc się z bólu. Alosza podniósł nastroszone sadzą brwi. Radość promieniowała z jego twarzy.

— A ty co? — zapytał.

— Ze mnie wałacha zrobili — powiedział Zaks, pokazując na swą rękę. Znów piekielny huk rozerwał uszy. Działo wypaliło, mierząc w najbliższy ścigacz. Fontanna wody wystrzeliła. Niemiec okrył się chmurą dymu.

— Hurra! — ryczał Alosza, choć nikt nic w tym zgiełku nie słyszał.

— Jak myślisz, czy z tego można umrzeć? — zapytał Zaks. Alosza zdumiał się. Ściągnął brwi. To otsatnie słowo usłyszał w ciągu dzisiejszego dnia po raz pierwszy. Zadrżała mu ręka ze złości, gruba ręka o płaskich paznokciach.

— A na czorta tobie umierać, kiedy jeszcze tyle jest do roboty. — Poczęli walić w drugi ścigacz, który, świecąc pociskami, zachodził im drogę od dziobu.

Mimo, że nowele: „Złodziej" i „Krokodyl" zostały zakwalifikowane najwyżej z prac konkursowych (pierwszej nagrody nie przyznano wogóle), najbardziej sensacyjną pozycją konkursu ,a zarazem jego najcenniejszą zdobyczą okazał się inny utwór, a mianowicie nagrodzone trzecią nagrodą opowiadanie pt. „Na stoczni".

Sensacyjność nagrody polega na tym, że zdobywca jej, 26-cioletni Franciszek Wiśniarowski jest zwykłym robotnikiem — ślusarzem Stoczni Gdańskiej. Mało tego: Wiśniarowski jest robotnikiem, który w tegorocznym wyścigu pracy osiągnął najwyższą normę pracy ze wszystkich stoczniowców polskich.

W liście skierowanym do jury konkursowego autor opowiadania „Na stoczni" pisze: „Trudno jest dobrze opisywać to, co się widzi i przeżywa. Na to trzeba być nie ślusarzem, a l i t e r a t ą". Jednakże już dwa początkowe fragmenty nagrodzonego opowiadania które przytaczam poniżej, dowodzą chyba niewątpliwie, że ów skromny ślusarz „literata" jest obdarzony rzeczywistym talentem literackim.

W tanku — cysternie, gdy żelazna ściana nagrzeje się od słońca, jest duszno jak na równiku. Odór ropy parującej gwałtownie wżera się w płuca, wyciska pot na czoło i robi z człowieka bezduszną istotę łaknącą świeżego powietrza. A dołem, ściany, rury, zawory i wiązania pokryte są grubym kożuchem gęstej mazi, co cuchnie i ślizga się pod stopami, grożąc nieostrożnemu upadkiem wprost w czarne bajoro

Kto nie widział tanku na statku — cysternie, ten nie jest w stanie wyobrazić sobie pracy robotnika stoczniowego. Pomijając zaduch, brud i ślizgawicę — łomot młotów pneumatycznych, nitujących żelazne blachy statku, może doprowadzić nieprzyzwyczajonego do szału. Każdy stukot, zgrzyt czy warkot rozlegający się z pokładu nabiera stokrotnego echa w pustym ciem-

GRAFIKA LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO w Muzeum Miejskim w Bydgoszczy

PRZY SIECIACH
Autolit.

MŁODA POEZJA POZNANIA

KLEMENS OLEKSIK

SPOTKANIE Z BRATEM

Oto smak tej samej legendy:
obcy ludzie zdeptali ślad ojca i matki
dwoje, którzy złączyli się, by tobie i mnie
przekazać słońce, czas i troski.

Ślad ich spojrzeń odnaleźć można
na twojej twarzy gdy śledzisz
kroki syna, który ma rok
(chociaż czasu swego jeszcze nie liczy).

Pod błękitem będzie kiedyś jeden dom
jak jedno serce
i w muzeach zamknięte zostaną ślady zbrodni:
naucz syna swego czcić jak świętą
kobietę, która pracą o taki dom się modli.

JEŚLI MASZ PRZYJŚĆ.

Jeśli masz przyjść przyjdź o zmroku
w szeleście suchych gwiazd na niebie:
siądziemy sobie gdzieś na boku
będziemy milczeć obok siebie.

Aż się z maciejki polnej, z astrów
poniesie piosnka w zmrok ulicy
aż się od spojrzeń stanie jasno
by można było szczęście zliczyć.

WIECZÓR

Ziemia odchodzi od słońca
i las błękitnieje wsparty o chmur pierze.
Dziewczyna w zmrok kuszący
chowa włosy przed nietoperzem.

Wstają myśli ukryte w świetle dnia:
rozkumane żabami jezioro
przyciąga poetę.
Będzie modlił się, lecz nie usłyszy nikt
przez mgłę.

I jak czajka, syta komarów
i żółtych kaczeńców zapada w sen —
tak w sercu poety utaił się
cichy wiersz.

WITOLD DEGLER

SMUTEK

Swój smutek odmawiasz co dzień —
pacierz za dusze umarłych godzin.
Łzy płyną czystą srebrzystą litanią
i tak się w tobie poczyna anioł.

WITOLD DEGLER

POŁÓW

W najgłębszych tajniach bytu, wśród świateł i mroków
w oceanie pragnienia, w labiryncie snów
szukam wciąż ciebie, tropiciel twych kroków,
pragnąc cię złowić w srebrzystą sieć słów.
Daremnie: puste sieci i ramiona —
toniesz w ciemności i giniesz gdzieś w blasku
i zamiast ciebie — słyszę jak szalona
tęsknota skarży się w wiersza potrzasku.

J A N W R O N I E C K I
Port w Szczecinie *Rysunek*

KAZIMIERZ BROSZCZYK

* * *

Portret bez żadnego patosu,
po prostu mający moc podnoszenia wzroku
każdego, który wchodzi w nasz dom.

W kawałku płótna o kształcie prostokąta —
jak wyraziłby się ściśle ów matematyk, który chciał
[mię kiedyś nauczyć
geometrii bez miłości do ludzi —
powoli zastygło w głaz
kilka ruchów mistrza ledwo widocznych pod barwą.

Dalej właśnie jest to, czego nazwać nie umiałem.

I oto tak ofiaruję tobie słowo
dziecko moje nienazwane,
ty je obejmiesz szczodrze
i ożywisz mlekiem i chlebem odzyskanym
u ujścia Odry.

WITOLD DEGLER

TRWAMY NA PRZEKÓR

Trwamy na przekór, istniejemy wbrew czasom
wydani na łup zdarzeń, zdradzeni przez teorie —
rośnie w nas trud nadludzkich zapasów
i ból, co kiedyś zetrze w proch historię.

BIAŁA KARTKA

Zawsze gdy chylę się nad białą kartką
by piórem wydobyć z niej treść
boję się: biała kartka jest jak cisza —
niewyśpiewana, najpiękniejsza pieśń.

BOLESŁAW SOLIŃSKI

DZIECI

Te dzieci mają więcej ode mnie
— o kwiaty,
jak świat jest szerszy
o widnokrąg.
W zbożu rosną uśmiechy
i maki,
posiewem lata
szeroko,
że ręką ich nie obejmę.

Ten dzień ma uśmiech czerwca:
poranek,
a dziecko tuli do oczął
najśpiewniejszą zabawkę,
niezerwany owoc powietrza:
śpiew —
który dla mnie
jest tylko ptakiem.

ZETRZYJ

Zetrzyj z czoła poprzeczne bruzdy, jak smutek,
a rzucę ci bratnim pożegnaniem soczyste jabłko wraz z sercem,
byś zmierzch rozjaśnił uśmiechem.

Zetrzyj z czoła zmierzch, jak krople potu,
a podam ci dojrzewający poranek, ręką drżącą od rosy,
byś poczuł słodycz słońca i radość przedświtu.

Boś przybity do krzyża ziemi jesienią
i soplenisz przez zwiędłe liście modlitwy swych znojów,
pokutę dymów,
co spłynęły z twej twarzy,
by mgławić pogodę łanów w beznadziejność szarego ścierniska.

nym rezerwuarze i huczy długo, obijając się o żelazne blachy, niczym echo w skalistym górskim wąwozie. W pierwszych dniach pracy zatykałem uszy watą i zaciskałem zęby aż do bólu, a wychodząc na pokład dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, miałem wrażenie, że wydobyłem się z wnętrza olbrzymiego dzwonu, bijącego nieprzerwanie. Lecz po tym przyzwyczaiłem się, tym bardziej, że roboty kotlarzy i spawaczy przesunęły się na drugą połowę tankowca, a miejsca ich zajęli spokojni malarze. Pracowało nas czterech i tworzyliśmy jedną z grup operujących wyłącznie na tankach. Przewodził nam Kosiba, ślusarz — armaturzysta wykwalifikowany, rodem z Krakowa, zawsze poważny i pracowity. Drugim był Gaduła. Tak go zwaliśmy z uwagi na wspaniały dar i zapas opowieści, którymi umilał nam pracę w tak obskurnym miejscu. A opowiadał prawdę. Jako marynarz, włóczęga i żołnierz zwiedził prawie wszystkie kontynenty świata, poznał kupę języków i jak to mówią jadł chleb z niejednego pieca. Trzecim z kolei był Daniło, młody poleszuk z rozmarzonymi oczyma, a czwartym ja ..

I nieco dalej:

...Nieraz, gdy upał dokuczał nam niemiłosiernie i brudny pot spływał po twarzy, Gaduła rzucał robotę i wzdychał. — Ej koledzy! Ta duszność co zmienia człowieka na szmatę przypomina mi jak żywo tropikalne dżungle Afryki. Mrok, parno jak w łaźni i pozorna cisza białych godzin, a wokół przytępiony nieco stęchły zapach gnijącego dołem podszycia. Zapach ten zniknie pod wieczór, ustępując oszałamiającej woni wanilii, lub pstrych jak motyle storczyków. Gdy wzrok twój zdoła przebić przez zielony gąszcz, ujrzysz setki ptaków przelatujących nad wierzchołkami palm. Będą tam różne gatunki papug o tęczowym upierzeniu, jaskrawe tukany o cichym falistym locie, żółto-czarne ramizy lub stadka cudownych bengalis. Lecz nie gap się! Żarłoczne mrówki „siafu" mogą pociąć skórę do krwi, podobnie jak niezliczone chmary moskitów. A w mrokach buszu czycha groźny lampart lub krwiożercza pantera o płaskim wężowym łbie. A noce? Boże! Chyba nie masz cudowniejszych nocy jak na afrykańskim wybrzeżu, kiedy krzyż południa iskrzy się nad głową, a księżyc próżno usiłuje wypatrzyć cię w cieniu mangrowii I morze szumi sennie na piaszczystej dzikiej plaży...

— Tęsknisz? — pytałem się go w takiej chwili.

Nie wiem czy przytoczone fragmenty dają wystarczające pojęcie o charakterze i poziomie utworów z których zostały wyjęte. Nie dobierałem ich specjalnie i może nie przytoczyłem najlepszych i dość charakterystycznych.

Wydaje mi się, że — mimo wszystko — tych kilka fragmentów, zaczerpniętych z plonu przypadkowego i, bądź co bądź, prowincjonalnego konkursu literackiego — uprawnia do pewnego optymizmu w chwili, kiedy wypowiada się tyle pesymistycznych sądów na tematy literackie.

Marian Brandys

STANISŁAW MICHAŁOWSKI

WYSTAWY NA WYBRZEŻU

Niespotykaną dotychczas u nas formą organizacyjną wystaw stała się tegoroczna Wystawa Sztuki w Sopocie, łącząca 6 swych odrębnych działów w manifestacyjną imprezę Wielkiej Wystawy Sztuk Plastycznych. Pokazano jednocześnie: 1. wystawę retrospektywną malarstwa polskiego XIX i XX w. 2. Doroczny salon okręgowy Z.Z.P.A.P. 3. Sztukę ludową. 4. Sztukę dziecka. 5. Wystawę drzeworytów japońskich i 6. Ogólnopolską Wystawę Fotografii.

Koncepcja urządzania w Sopocie corocznych wystaw plastycznych tych rozmiarów, powzięta przez miejscowe czynniki i organizacje artystyczne wespół z głównym realizatorem — Dyrekcją Międzynarodowych Targów Gdańskich, jest niewątpliwie koncepcją wielką, nowatorską i szczęśliwą. Jeżeli przyjmiemy założenie, że ostatecznym celem każdej wystawy jest propaganda to, na podstawie doświadczenia wystawy sopockiej, stwierdzić możemy, że jedynie skutecznym środkiem propagandy sztuki mogą się stać duże i dobrze zorganizowane wystawy. Tegoroczna wystawa Sztuk Plastycznych w Sopocie spełniła w zasadzie swe zadanie, choć nie jest wolna od pewnych błędów organizacyjnych, o których w dalszym ciągu mówimy.

Zmontowanie czterech zasadniczych działów wystawy, a to: malarstwa polskiego XIX i XX w., dorocznego salonu plastyków, sztuki ludowej i sztuka dziecka, — nie budzi najmniejszych zastrzeżeń co do słuszności takiego doboru, bowiem ukazuje jasno związki przyczynowe, jakie pomiędzy tymi ekspozycjami zachodzą. Tak więc wychodząc od Sztuki Dziecka, tego najpierwotniejszego źródła twórczości poprzez wzruszające formy rzeźby ludowej, drzeworytów i obrazków na szkle, — zapoznajemy się stopniowo z twórczością plastyczną na wyższych szczeblach rozwoju, aż do najnowszych prądów i osiągnięć malarstwa współczesnego.

Ten zespół wystaw stał się dla poszczególnych działów pouczającą próbą wartości, co pozwala na wyciągnięcie wniosków o stopniowym zanikaniu w malarstwie naszym tradycji naturalistycznego imitatorstwa i o pojawianiu się na jej miejsce nowej tradycji: autonomiczności dzieła sztuki. Wychodząc od A. Gierymskiego poprzez Podkowińskiego, Pankiewicza, Ślewińskiego i Boznańską, — zauważamy jak obraz stopniowo oddala się od natury — świata rzeczy, by następnie u Makowskiego i Waliszewskiego oraz w najlepszych przykładach malarstwa dzisiejszego — zbliżyć się do natury — spraw człowieka. Wychodzi tutaj na jaw cała niesłuszność zarzutów „antyhumanizmu", czyniona dość często współczesnemu malarstwu, dla jego odwrócenia się od codziennego wyglądu przedmiotów. Sztuka współczesna jest pomimo wszystko (na przekór może nawet swej epoce) więcej humanistyczna, niż była nią kiedykolwiek, bowiem wyrzekłszy się kultu zdarzeń i rzeczy w ich powszednim znaczeniu użyteczności — zwróciła się do najgłębszych pokładów instynktu i wyobraźni człowieka i zażądała ich wyjaśnienia.

Czy to nie wszystko jedno do jakiego, znanego nam wyglądu w naturze przynależy dana plama barwna? Zmysły nasze są korespondentami wrażeń, pośredniczą w naszym wzruszeniu. Dźwięk muzyczny nic nie wyobraża i nie zajmuje nas bardziej ponad zmysłowe jego działanie na organa słuchu. Podobnie istnieje „optyczny dźwięk" formy, optyczny dźwięk kreski i koloru. Współczesne malarstwo buduje z tych dźwięków symfonje, przejmujące i poruszające nas głęboko. Czy może istnieć sztuka bardziej humanistyczna niż ta, która tworzy najwyższe wartości ludzkie: formę, formę wyzwalającą uczucia?.

Dlatego też przykrym i z wielu względów niezrozumiałym jest fakt pomieszczenia w pawilonie plastyków pokaźnej ilości prac lichych, o typie wyłącznie komercjalnym. Jeżeli można dyskutować kwestię: czy każdy członek Związku Zawodowego Plastyków ma prawo do brania udziału w oficjalnych wystawach związkowych — to chyba zupełnie nie nadaje się do dyskusji temat: jaki posiadać może cel dydaktyczny wystawa, na której umieszcza się jednocześnie najlepsze malarstwo nasze okresu 1874 — 1936 oraz najgorsze okresu 1948?...

Dwa dalsze działy wystawy: drzeworyty japońskie i ogólnopolska wystawa fotografii pozbawiły nieco wystawę jednolitego charakteru, jaki tworzą ściśle ze sobą zespalające się cztery działy pierwsze. Związki pomiędzy współczesnym malarstwem polskim a sztuką japońską są dość odległe i żeby stały się zrozumiałe wymagają komentarzy. Jednakże wspaniała kolekcja 40 wielobarwnych druków japońskich z drugiej połowy XVIII i pierwszej XIX w. była na wystawie pozycją niewątpliwie bardzo cenną i obok prac dziecka najbardziej atrakcyjną i doskonałą. Łączenie natomiast z jedną imprezą wystawową ekspozycji malarskich i fotografii — nie wydaje się pomysłem szczęśliwym.

Nie o to chodzi czy fotografia jest sztuką — na wielu doskonałych przykładach można by dowieść, że tak. Nie jest to jednak dziedzina sztuk plastycznych i poza pozorami (ostateczny wynik: obraz na papierze) nie posiada ani z grafiką artystyczną ani tym bardziej z malarstwem nic wspólnego. Przeciwnie jest ich zaprzeczeniem. Istota sztuki fotograficznej i jej wartości leży w mechanicznym, jak najściślejszym i dokumentarnym odzwierciadleniu natury i wszędzie tam, gdzie fotografia usiłuje imitować malarstwo, popada w nieporozumienie analogiczne do malarstwa imitującego fotografie.

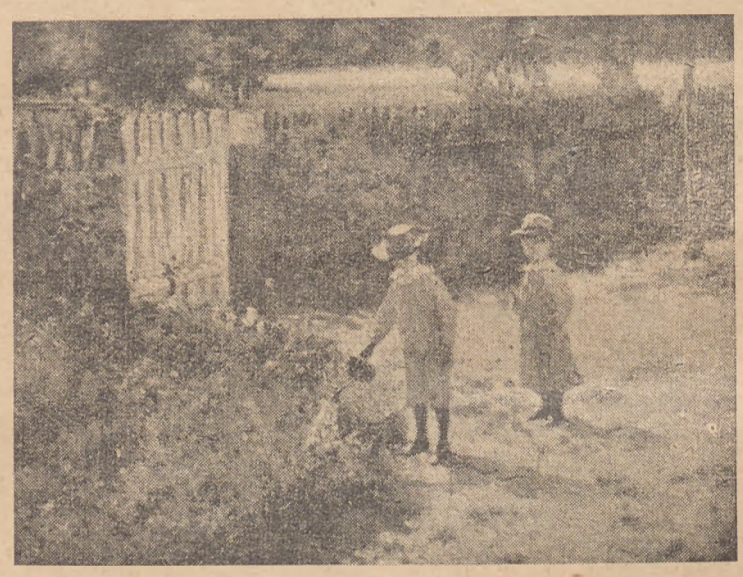

Z WYSTAWY MALARSTWA POLSKIEGO w Sopocie

WŁADYSŁAW PODKOWIŃSKI
Dzieci w ogrodzie
OLEJ

Z NOTATNIKA

Bydgoski sezon odczytowy rozpoczął się pod dobrą gwiazdą. Przy szczelnie wypełnionej sali Pomorskiego Domu Sztuki i szczerym aplauzie obecnych Jerzy Szaniawski czytał swoje trzy nieznane nowele. W ten sposób w dniu 29 września autor „Dwu teatrów" otworzył swoim wieczorem autorskim czwarty powojenny sezon „śród", dzień wcześniej, na scenie bydgoskiej oglądając prapremierowe przedstawienie swej najnowszej sztuki „Kowal, pieniądze i gwiazdy".

W czasie swego trzydniowego pobytu znakomity pisarz udzielił pięciu wywiadów przedstawicielom miejscowych „organów prasowych". Nikt jednak nie potrafi wytłumaczyć jak się to stało, że całe łamy zadrukowano wypowiedziami „Autora" z „Dwu teatrów", kiedy, podobno, w ciągu całego bydgoskiego popasu nie wypowiedział w sumie więcej niż pięć zdań...

*

I muzycy „otworzyli sezon". Z przypadku czy rozmysłu tegosezonowe gusty słuchaczy kazano wypróbować młodym. Niech uczą się łamać lody! Więc Regina Smendzianka czarowała na I koncercie symfonicznym, „ogrywając" na konkurs przyszłoroczny przygotowanego Chopina więc Kazimierz Serocki na I-ym poranku starał się już po raz drugi przekonać opornych Bydgoszczan do swego Concertina na fortepian z orkiestrą. Niezupełnie mu się to jeszcze udało; ten rodzaj muzyki „chwyta" — ale nie bardzo. Natomiast bez reszty podbił opornych melomanów Chopinem i Bachem, a może nawet więcej Milhaudem, Greczaninowem, Marescottim i własnymi drobiazgami, w parę dni później, w pierwszym recitalu sezonu.

Potem już ruszyła starsza gwardia: Bandrowska, Jahnke, Danczowski — jeden z ostatnich, wzruszających mohikanów wiolonczeli. Bandrowska, jakby przeczuwając erę zasadniczych dyskusji muzyczno-programowych — już z dawna odśpiewuje „serca w plecaku". Najgorsze zmartwienia repertuarowe gnębią dziś dyr. A. Rezlera, który i w tym roku steruje nawą orkiestry. Po raz 16-ty zagrać 6-tą Czajkowskiego, czy może jednak Szostakowicza?

*

Z nieukrywanym żalem żegnała Bydgoszcz — z niemniejszym i Toruń — porwanego przez Poznań dyr. Horzycę i jego zespół.

Teatr Horzycy nie zawsze wywoływał wspólność sądów. Raczej wręcz przeciwnie: miał tą wspaniałą właściwość, że z każdą premierą na nowo wszczynał długie rodaków rozmowy, za —i przeciw. Ale też to były premiery! — starczy przypomnieć parę nazwisk, żeby ich walor, już choćby tylko literacki, zaczął działać: Norwid (prapremiera), Szekspir (dwa razy), Molier (dwa razy), Shaw (3 razy), Chesterston, Pirandello, Gogol, Puszkin, Błok, Fredro, Rittner, Wyspiański. Szaniawski, Iwaszkiewicz (2 prapremiery), Świrszczyńska (prapremiera), Grzybowska (prapremiera). Cóż dopiero, gdy ktoś widział „Orfeusza", „Sen nocy letniej", „Za kulisami"...

Teatr Horzycy, to cały ważny rozdział w dziejach sceny pomorskiej.

*

Po tych dużych słowach jak oznajmić nowe sezony?

Teatr Miejski w Bydgoszczy objął Al. Gąssowski, — Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu — Al. Rodziewicz. Trzeba przyznać, że obie sceny zrobiły dobry pierwszy krok: tu prapremiera Szaniawskiego, tam wielka inscenizacji „Cyda". Ale co dalej? Mając jeszcze w oczach teatr Horzycy z pewną dozą lęku wysłuchujemy zapowiedzi programowych, z niepokojem oczekujemy ich realizacji.

Może niepotrzebnie? Chyba „jakoś to będzie". Byle zbyt często nie królowały na afiszach i scenie „Jadzie—wody" i „Panie Prezesowe"...

*

Bez odgłosu trąb i bębnów, bez wielkich czcionek reklamy prasowej minęły duże zwycięstwa skromnych ludzi. Robotnicy fabryk bydgoskich wysłani do Warszawy na ogólnopolski festiwal świetlicowy zespołów ZZ — wzbudzali szczery zachwyt i osiągali wysokie nagrody. Niestety — na łamach prasy próżnoby szukać oceny, krytyki, lub choćby szczegółowszej relacji z tych artystycznych i społecznych osiągnięć. A przecież wszystko to nie powstało z powietrza. Praca, wysiłek i inwencja wielu zespołów ludzi składała się na te wyniki i to nie od dziś. W świetlicach fabrycznych powstają nowe formy artystycznego wyrazu. Cóż wiemy o rozmaitości form pracy świetlicowej, o konkursach recytatorów i gazetek ściennych, o wystawach prac samorodnych talentów?.

Do sprawy doświadczeń pomorskich świetlic powróci „Arkona" w najbliższym numerze.

*

W najbliższych tygodniach na półkach księgarskich ukaże się pierwszy tom nowego wydawnictwa — „Biblioteki Arkony". Będzie nim „Notatnik liryczny", zbiór wierszy Wandy Karczewskiej, z której twórczością nie raz mieli okazję się zetknąć czytelnicy Arkony. Nowin czy Odrodzenia. Ilustrowany świetnymi szkicami Wacława Taranczewskiego, wyposażony w szczególnie estetyczną szatę graficzną — „Notatnik liryczny przedstawi się wszystkim miłośnikom literatury i bibliofilom pod postacią, w jakiej ukażą się również następne tomy Biblioteki.

Odkładając do najbliższego numeru szczegóły — wymienimy nieobce czytelnikom nazwiska autorów paru najbliższych tomów serii: St. Hebanowski (zbiór nowel). A. Kowalkowski (poezje), M. Turwid (opowiadania). Ilustracje niemniej popularnych plastyków: St. Borysowskiego, St. Brzęczkowskiego i St. Łuczaka. Równocześnie z serią literacką ukazywać się będzie plastyczna. Tutaj ucieszą czytelników monografie twórczości Leona Wyczółkowskiego oraz dwu znakomitych malarzy współczesnych Wacława Taranczewskiego i St. Szczepańskiego.

U PLASTYKÓW POMORSKICH

Po wystwach zbiorowych prac Stanisława Borysowskiego i Zenona Kononowicza o których zdawaliśmy sprawę w poprzednim zeszycie Arkony — miały w Salonie Wystawowym Pom. Domu Sztuki w Bydgoszczy miejsce nast. ekspozycje: Wystawa zbiorowa dzieł prof. Bronisława Jamontta i wystawy doroczne prac uczniów Państwowego Liceum Technik Plastycznych oraz Państwowego Ogniska Kultury Plastycznej. Działalność artystyczna prof. Br. Jamontta omawiana już była kilkakrotnie na łamach Arkony. Interesujące pokazy prac uczniów szkół artystycznych omówione zostaną osobno — w związku z szerszymi uwagami na temat rozwoju szkolnictwa artystycznego na Pomorzu. Po przerwie wakacyjnej akcja wystawowa zaczęta została pokazem „Rysunków, Akwarel i Grafiki" członków Okręgu Pomorskiego ZPAP Na całość tej ciekawej ekspozycji złożyło się ponad sto prac następujących artystów: Kazimierza Boruckiego, Stanisława Borysowskiego, Stanisława Brzęczkowskiego, Józefa Czarnockiego, Piotra Firleja, Alojzego Gossa, Antoniego Grabarza, Tadeusza Kalinowskiego, Jarosława Kirilenki, Edmunda Kuczyńskiego, Jana Kulikowskiego, Stanisława Łuczaka, Tadeusza Mokrzyckiego, Tymona Niesiołowskiego, Bronisława Nowickiego, Józefa Nyki, Wandy Pazdowej, Leona Płoszay'a, Barbary Pyszory, Zygmunta Tomkiewicza, Stefana Wojciechowskiego, Piotra Trieblera, Mariana Turwida.

*

W Salonie Sztuk Plastycznych w Poznaniu miała miejsce pierwsza „Wystawa Wymienna" Okręgu Pomorskiego. W wystawie wzięli udział: Borysowski, Brzęczkowski, Cieślak, Cholewczyński, Czaman, Czarnocki, Daszkiewiczowa, Firlej, Frydrych, Gajewski, Gęstwicki, Grabarz, Jamontt, Kirylenko, Kuczyński, Kulikowski, Kalinowski, Kossowska, Łuczak, Makowski, Mokrzycki, Niesiołowski, Nowicki, Nyka, Płoszay, Siennicki, Świtycz-Widacka, Szyszko, Tarkowski, Tomkiewicz, Triebler, Turwid. Na całość wystawy złożyło się 78 prac (malarstwo, rzeźba, grafika i rysunki).

*

II-ga Wystawa Okrężna Plastyków Pomorskich — po odwiedzeniu kolejno: Chojnic, Tucholi i Grudziądza — otwarta została obecnie w Chełmnie. Jest to pierwszy po wojnie pokaz plastyki w tym mieście.

*

Akcja ujawniania uzdolnień plastycznych w szerokich kołach społeczeństwa pomorskiego wiążąca się z akcją kształcenia świadomych konsumentów plastyki wkracza na coraz realniejsze tory. Poważne wyniki na tym polu osiągnął Wydział Świetlicowy przy Dow. Okr. Wojsk. Pomorskiego. Pod kierunkiem majora Dobrusina i kpt. Cieślaka zorganizowany pokaz prac plastycznych żołnierzy — amatorów — w salach Ligi Kobiet — był dowodem coraz poważniejszych osiągnięć na odcinku podnoszenia kultury plastycznej i zdobywania sprawności technicznej. Wspomniany pokaz był tym ciekawszy, że obok zadań ściśle plastycznych (w zakresie akwareli, tempery i papieroplastyki) miał on założenia problemowe. Podobną ekspozycję przygotowuje — w ramach działalności Wydziału Oświatowo - Kulturalnego — Okręgowa Komisja Związków Zawodowych. Wyniki tej zapowiedzianej ekspozycji, uzupełniając dane uzyskane przez żołnierzy — amatorów — pozwolą na wyciągnięcie ciekawych wniosków i na szersze omówienie zanotowanej dziś tylko akcji.

PLASTYKA NA W. Z. O.

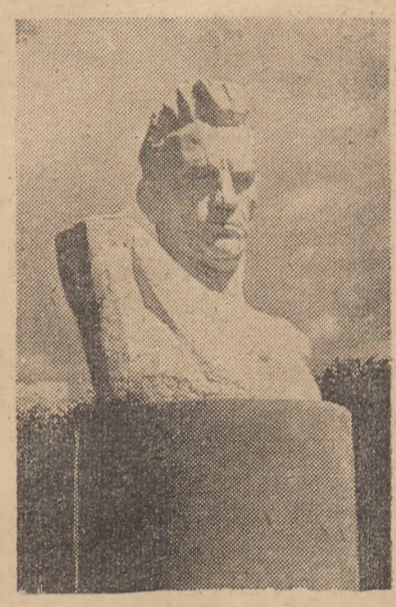

KSAWERY DUNIKOWSKI
Głowa robotnika

*

Mimo solennych przyrzeczeń powielanych na łamach każdego numery „Arkony", ten „poświęcony kulturze i sztuce miesięcznik" przebył 3/4 bieżącego roku z regularnością... kwartalnika. Nie chcąc od nowa powtarzać tłumaczeń o niezależnych od nas, materialnych powodach — wolimy od razu zaanonsować ukazanie się 4-go i ostatniego — w roku bieżącym — numeru „Arkony" dopiero w grudniu br.

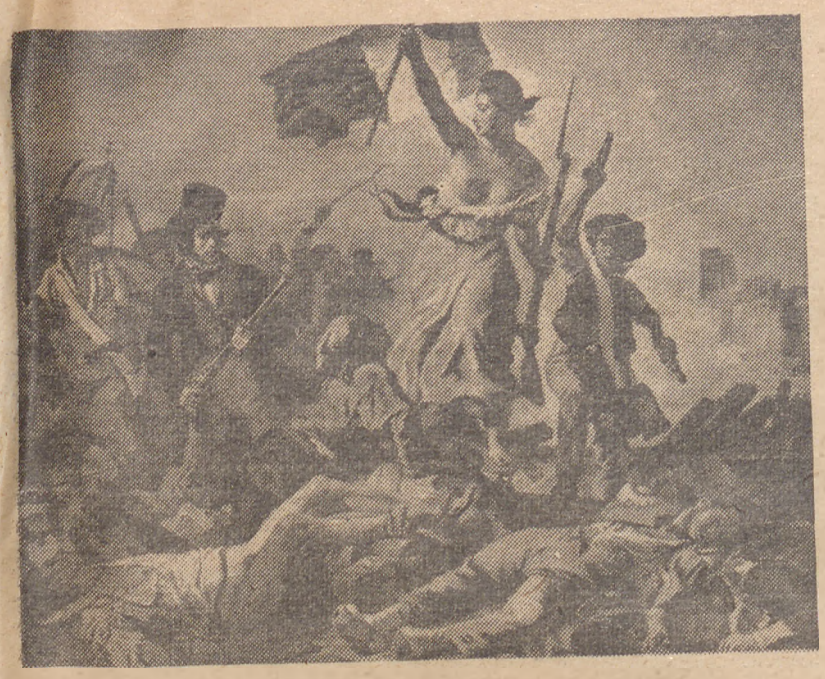

EUGENIUSZ DELACROIX
Wolność prowadzi lud na barykady.

SZTUKA i REWOLUCJA

BOGDAN ZAKRZEWSKI

POETA WIOSNY LUDÓW

Poezja Wiosny Ludów — tak jak poezja wszystkich powstań polskich — walczyła w pierwszym rzędzie o wolność narodu.

Występując przeciwko tyranii rządów, głosząc i domagając się równouprawnienia ludu, spełniała nierzadko rolę publicystyki. Nie zawsze więc można oceniać ją z punktu kryteriów artystycznych. Jej wartość to zaspokojenie potrzeb związanych z „duchem czasu", propagowanie idei wolności narodowej i równości klas.

Ruch wolnościowy obudzony na zachodzie, ogarnął swą falą i Polskę. Nadzieje związane z wypadkami we Francji, Niemczech i Włoszech, natchnęły poetów polskich do podjęcia haseł nurtujących w postępowym społeczeństwie.

Młodzi krytycy literaccy, zrywający z wartościowaniem utworu według kryteriów artystycznych, domagają się od poezji, aby poprzez problematykę głosiła i reprezentowała najistotniejsze przemiany socjalno-narodowe.

Taki program uderzał w pewnym sensie w romantyczny światopogląd poetów. Stosownie do programu oraz na skutek wypadków politycznych i nurtujących idei, poezja „Wiosny Ludów" zaczęła propagować szeroki wachlarz problemów socjalno-narodowych i moralno-religijnych, począwszy od wierszy występujących przeciwko płaczliwej poezji ruin, cierpiętnictwa, pseudoromantycznego pozerstwa. Wiara w cudowne odzyskanie wolności przez modły i nierealne marzenia, została zastąpiona wiarą w poczucie własnej siły czynu.

Zerwanie z romantycznym światopoglądem oznaczało w pewnym sensie rewizję stosunku do przeszłości szlacheckiej i państwowej. W stosunku do arystokracji i pseudoarystokracji polskiej, poezja ta występuje ze zdecydowaną i omal powszechną krytyką, nawet w utworach apoteozujących klasę szlachecką. Arystokracji przypisuje się wszystkie klęski narodowe, obciąża się ją winą za upadek państwa, oskarża za zaprzedanie wrogom ojczyzny, zdradę, bratanie z zaborcami, chciwość tytułów, odznaczeń, urzędów, kosmopolityzm itd.

Rewizjonizm w stosunku do przeszłości szlacheckiej bez względu na to do jakich stwierdzeń i postulatów na przyszłość dochodzi, jest jednak naczelną cechą wszystkich omal utworów. Charakteryzują go różne odcienie postaw: od pojednawczej propagującej harmonię klas społecznych, do stanowiska rewolucyjnego, które na drodze krwawej niekiedy zemsty pragnie załatwić stare obrachunki między dworem a wsią, między burżuazją a proletariatem. W konieczność przemian społecznych i przewartościowania społecznego wierzą i wszyscy młodzi postępowcy.

Poezja Wiosny Ludów głosi więc hasła prymatu proletariatu w budowie nowego systemu socjalnego i wolnego państwa. W utworach bardziej ugodowych, pod egidą inteligencji mieszczańskiej i średniozamożnej szlachty, — chce lud wciągnąć do współpracy w budowie nowego świata. Położenie polityczne kazało szukać nowych źródeł regeneracji narodu, źródeł bijących z klasy pracującej. Stąd więc odwoływanie się do mas, pozostających w niewoli socjalnej, w poniżeniu, nieuświadomionych narodowo, pozbawionych dobrobytu i możliwości nauki. W konsekwencji, twórczość poetycka przyjmuje charakter twórczości ludowej, lub przeznaczonej dla ludu.

Nienawiść skierowana przeciwko burżuazji pobudzać będzie do czynu zbrojnego przeciwko drugiej tyranii: despotyzmowi i absolutyzmowi rządów zaborczych. Autorytet królów rządzących z „bożej łaski" podważony na zachodzie rewolucyjnymi wydarzeniami, został zastąpiony wiarą w walkę o wolność narodów i ludów pragnących zrzucić z siebie jarzmo tyranii. Nienawiścią darzą poeci Wiosny Ludów nietylko tyranów-władców, ale i ich zgrają urzędników, ministrów, generałów, gubernatorów, szpicli i prowokatorów.

Jak wielu innych, — Władysław Ludwik Anczyc wprzągł swego młodzieńczego pegaza na usługi Wiosny Ludów.

Gdy zaczęły się chwiać trony, a wieść o rewolucji marcowej w Berlinie lotem błyskawicy obiegła zabór pruski i austriacki, runęła także krakowska cenzura. Wprawdzie sam Kraków przeżywał najkrócej, może radosne chwile, jednak zryw wolnościowy okupiony krótkim bombardowaniem miasta, znalazł swe odbicie w „walce atramentowej". Podobnie jak Poznań i Lwów, tak i Kraków został zasypany niezliczoną ilością ulotek i pism ulotnych, wydawanych fikcyjnie z księżyca lub Marsa. Pojawiały się więc „Osy", „Sikory", „Bociany" i „Swistki", wychodzące w zależności od zasobów gotówkowych jakimi dysponował anonimowy częstokroć redaktor. Główną bronią w ręku walczących była oczywiście satyra, wymierzona przeciw wszystkim wrogom haseł i ustroju demokratycznego.

Jednym z redaktorów, którzy „korzystają z wolności chodzenia bez Passierscheinów" (to znaczy z wolności cenzury) był młodziutki Władysław Ludwik Anczyc, autor znanych później i popularnych utworów dramatycznych osnutych na tematach ludowych (Chłopi arystokraci, Łobzowianie, Flisacy, Emigracja chłopska, Kościuszko pod Racławicami).

Anczyc zaczął, za przykładem Majeranowskiego, wydawać w owym czasie „Dodatek do Świstka" — dziś znany jedynie jako biały kruk z pracy Mariana Szyjkowskiego (W. L. Anczyc: Życie i pisma — opr. Maryan Szyjkowski, Kraków 1908). Ów dodatek wychodzący fikcyjnie aż z kopuły św. Piotra na księżycu, pojawił się w osiemnastu numerach. Z uwagi na doskonałą, a ciętą satyrę sklerowaną przeciwko obskurantyzmowi, reakcji szlacheckiej, absolutyzmowi, a propagującą bezwzględny demokratyzm i uwłaszczenie chłopa, Dodatek do Świstka przez swój radykalizm zyskał niezwykłą poczytność wśród wrogów krakowskiego obozu zachowawczego.

Najcharakterystyczniejszym wyrazem poglądów młodego poety jest doskonała pełna kuchennych makaronizmów protestacja umieszczona w tymże pisemku, p. t. „Okólnik do braci Szlachty":

„Nie jestem ja skrzydłoruchy jak Pegazus, abym wzniósłszy się na Parnasus, twarz w twarz Zodyakowi niebieskiemu się przypatrował, i od niego lumina mądrości nadpowietrznej czerpał. — Owóż ja Simplak ex Antiquissimis antenatis nobilitatis Radvanoviensis pochodzący, w te i owe wyrazy rzekam: Precz z nowotorami, ha! Farmazony, Demokraty!! francuskie duchy!!! — Owóż kto nie jest Szlachcic to wraz, jakby ów Olophagus, ową zarazę łyka. Ale jakem Sodalis Marianus krzyknę: Veto! Wśród inwazyi różnych gazeciarskich uzurpacyi nec unam sententiam inveni, coby splendor naszego klejnotu uestymowała; wszyscy krzyczą równość — skąd równość — poco równość? Alboż to P. Bóg ludzi równymi stworzył — dla czegoż proszę ów Gigas Goliathus z stanu rycerskiego był większym od Dawida, co barany pasał? — Dlaczegoż żaby uciekają przed bociane m, kiedy na jednej nodze stoi? Owóż patrzmy na drzewa leśne, a dlaczegóż proszę kamienie nie odłupują się równo? — hę? — Stąd widać, że i między nimi są potentaty — Sutor ne ultra crepidam: a zasię chamie — owóż pańszczyznę skasowali... horrendum! brevi tempore ta równość do tego doprowadzi, że chamy szlachtę do pługa quasi pecora pozaprzęgają. — Protestujemy więc i miłych panów braci ad hanc nostram protestationem z powinną submisyą i rewerencyą zapraszamy".

Łamy „Dodatku do Świstka" zapełniają także satyryczne wiersze Anczyca, owiane duchem szczerego republikanizmu, w których autor w licznych aluzjach i symbolach, dziś trudnych do odcyfrowania, przedstawia już to społeczeństwo krakowskie (Kraków nazwany jest Chuchurunem) rozdzielone na skutek przesądów społecznych, już to wypadki rozgrywające się na zachodzie. W zwycięstwo ludu, jako świętej sprawy Bożej — wierzy niezłomnie, wydając osobno ulotny wiersz na „Śmierć republikanów" poległych na ulicach Paryża 24 czerwca 1848 roku:

Przekleństwo Ludów dla was Rozbójnicy,
Cavagniaku! Zborze narodowy...
Niech krew przelana na bruku Stolicy,
Spadnie dziś na wasze głowy!
Wy nas straszycie komunistami,
Jak przed pięćdziesięciu laty
Straszono ojców czarownicami,
Lub nazwiskiem demokraty.

*

Cześć wam szlachetni republikanie,
Cześć męczennicy swobody,
Z waszych popiołów mściciel powstanie,
Co zbawi wszystkie narody.
I nas mordują... to związek bratni,
Wspólne nam męczeństwa trudy;
Boże daj, by to już cios ostatni,
Co w wolne uderza ludy.

W trawestacji z „Konrada Wallenroda", występując przeciw burżuazji krakowskiej, grozi z siłą młodzieńczego ducha:

O ciemni! wkrótce runą wasze gmachy
Tłumy mściciele zerwawszy okowy,
I wasze w górę wyniesione głowy
Topór o ziemię rznie razem z głowami,
Pożoga w popiół zmieni wasze dachy,
Wiatr w pył rozniesie spodlonego wroga,
Wszystko zagrzebie sąd Ludu surowy,
Wszystko zniszczeje — łącz biedni z panami
Znowu się złączą na sądzie u Boga.

Innym charakterystycznym wierszem naśladującym bajkę Krasickiego jest polityczna bajeczka „Zwierzęta", wyszydzająca zabiegi dyplomatów, którzy za wszelką cenę chcieli stłumić ruchy ludowej demokracji:

Gdy się wszystkie zwierzęta w Londynie zebrały,
Radziły, jakby ludy w jarzmie utrzymały:
Guizot matactwa chwalił, Palmerston powagę,
Książę Pruski kartacze, Peel konstablów lagę,
Król Neapolu dowcip w morderstwa obfity,
Rothan pietyzm z zręcznością chwalił Jezuity,
Ludwik Filip zalecał nad wszystko cenzurę,
Metternich biurokracyę, Modeńczyk brawurę.
Rzekli, gdy się o zdanie pytali Moskali:
Według nas ten najlepszy, co wa: wszystkich zwali.

Może największą nienawiścią darzy Anczyc króla pruskiego, ciskając nań przekleństwo za masakrę ludu niemieckiego przy zdobywaniu arsenału w Berlinie. Nazywając mordercą i tyranem, — przeklina go w imieniu wszystkich narodów:

Ty, coś chciwością mordów przewyższył tygrysy,
Obłudą jezuity — podstępami lisy —
Co swą dumą przeszedłeś piekielne książęty,
Bądź od wszystkich narodów na wieki przeklęty.

*

Obyś przed śmiercią, wśród wolnego Ludu,
Widział berło twe w prochu — tron pruski strzaskany.
A gdy padniesz na drodze z łaknienia i trudu,
Niech ci rzuci kęs chleba twój własny poddany.
Patrzaj ludu niemiecki jak krew twoja płynie,
Chrzest krwawy nowej wiary — na bruku w Berlinie.

*

Kacie! morduj więc — morduj — wciąż bez odetchnienia,
Lecz spiesz się, bo już bliska godzina zbawienia —
Spiesz się, bo wkrótce twoja godzina wybije
I krew twoja krew Ludu z rusztowania zmyje...

„Wiara w zwycięstwo wolnościowej sprawy — jak pisze M. Szyjkowski — była tak silną, że zapłodniła duszę Anczyca — poety w pierwsze bojowe rymy, ze Anczyca — publicystę skierowała na pole satyrycznego dziennikarstwa; ta sama wiara też zrodziła Anczyca — dramaturga".

KSIĄŻKI NADESŁANE

KAZIMIERZ WYKA: „Cyprian Norwid — Poeta i Sztukmistrz", Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1948.

ANTONI KAWCZYŃSKI: Dannemore, Powieść, wyd. drugie. Wydawn. Zachodnie, Poznań 1947.

J. I. KRASZEWSKI: Czarcza Mogiła. Powieść z objaśnieniami i posłowiem K. W. Zawodzińskiego. Wyd. Wł. Bąka, Łódź—Wrocław 1947.

STANISŁAW NĘDZA — KUBINIEC: Janosik, Poemat o rozbójniku, który chciał porównać świat. Bibl. Oddz. Wiejskiego Z. Z. L. P., Kraków 1947.

TADEUSZ KUBIAK: Słowo pod żaglem. Poezje. Wyd. Tow. Uniw. Robotn. Warszawa 1948.

KWARTALNIK MUZYCZNY (1948 nr 21/22), Organ Sekcji Muzykologów przy Zw. Kompozytorów Polskich. Pol. Wyd. Muzyczne, Warszawa—Kraków 1948.

WITOLD DOBROSZEWSKI: „Rozmowy o języku" Radiowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1948.

JERZY ŚLADKOWSKI: „Chimarrao" — Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1948.

MICHAŁ RUSINEK: „Igraszki nieba" — Gebethner i Wolff. Warszawa 1948.

JANINA KILIAN-STANISŁAWSKA: Exlibrisy Ludwika Tyrowicza", Wydawn. „Kolumna", Łódź.

STANISŁAW CZERNIK: „Siedem nocy" — Biblioteka Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Polsk.

„ALMANACH LITERACKI" Oddz. Wiejsk. Zw. Zawod. Lit. Polsk.

STEFAN LICHAŃSKI: „O metodzie badań literatury ludowej" — Spółdz. Wydawn. „Polonista", Łódź 1948.

JÓZEF BOJAR: „Serce Ziemi", Biblioteka Oddz. Wiejsk. Zw. Zaw. Literatów Polskich.

TORUŃ

ŻYCIE MUZYCZNE

Koniec sezonu koncertowego — maj i miesiące następne — wykazał się tradycyjnie małą u nas ilością imprez muzycznych.

13 maja wystąpiła z koncertem w Robotniczym Domu Kultury — po przeszło rocznej przerwie — Bydgoska Orkiestra Symfoniczna. Dyrygował Arnold Rezler, solistą był — w miejsce zapowiedzianego skrzypka H. Palulisa — prof. K. Czekotowski. W programie — Berlioz (Karnawał Rzymski) Dvorak (5 symfonia) oraz arie operowe Moniuszki (Verbum Nobile) Mozarta (Wesele Figara) i Borodina (Kniaź Igor) w wykonaniu Czekotowskiego. Zarówno orkiestra wraz z dyrygentem jako też solista zrobili bardzo dobre wrażenie. Orkiestra jako zespół wypadła znacznie lepiej, niż przed rokiem i wykazała poważny postęp w osiągnięciach artystycznych. Solista H. Czekotowski przyjęty został bardzo życzliwie i oklaskiwany był gorąco. — Koncert udał się w pełni. Frekwencja publiczności niestety znów słaba. Czekamy dalszych możliwie jednak częstych występów tej orkiestry w najbliższym sezonie w Toruniu.

3. 6. odbyło się po półtorarocznej kadencji zarządu Walne Zebranie Pomorskiego Towarzystwa Muzycznego, mającego swą siedzibę w Toruniu. Po upaństwowieniu Niższej i Średniej Szkoły Muzycznej w Toruniu, których restytucja i rozbudowa była głównym osiągnięciem dotychczasowym wskrzeszonego po wojnie Pom. Tow. Muz. Działalność tego towarzystwa ograniczała się ostatnio do odcinka koncertowego. Sekcja koncertowa PTM sprężyście i ofiarnie kierowana przez prof. J Stefana, urządziła w ub. sezonie — jak już o tym w okresowych sprawozdaniach donosiliśmy — serię siedmiu poważnych koncertów kameralnych, niestety zbyt mało przez publiczność frekwentowanych. Nowy Zarząd PTM (w składzie: sędzia Hermann — prezes, prof. dr H. Elzenberg — wicepr. prof P. Malinowski, prof. Wieczorek, sędzia Czaniecki i dr Prufferowa) stanął wobec poważnego zadania kontynuowania i rozszerzania zakresu dotychczasowej działalności PTM., które — szczególnie na polu organizowania prywatnego szkolnictwa muzycznego oraz muzyki amatorskiej na Pomorzu ma ogromne, choć niełatwe możliwości pracy (rozbudowa szkolnictwa muzycznego, odcinek koncertowy, popularne wykłady muzyczno-muzykologiczne, działalność publicystyczna itd.), zwłaszcza wobec nader nikłej działalności ogólnokrajowej na tym polu Związku Zawod. Muzyków R. P.

5. 6. wystąpił w Auli UMK po bardzo słabej i krótkiej reklamie i przy nader szczupłej frekwencji słuchaczy skrzypek Ksawery Stanicki. Program zawierał przeważnie lżejsze utwory, w tym szereg — mało zresztą ciekawych — kompozycyj własnych Stanickiego. Poziom artystyczny produkcyj nie wysoki. Jedynie akompaniament prof. Gawrońskiej-Łukowiczowej był — jak zwykle — bardzo dobry.

W dniach 12 i 14. 6. odbyły się w auli gimn. Kopernika doroczne popisy młodzieży Państw. Niższej i Średniej Szkoły Muz. w Toruniu. Popisy te dały znów w schematycznym z konieczności przekroju pogląd ogólny na wysiłki i osiągnięcia dyrekcji i grona profesorskiego obu szkół. Zaprezentowali się nam uczniowie wszystkich klas instrumentalnych i wokalnych oraz rytmiki i to w składzie osobowym — co specjalnie podkreślić trzeba — znacznie zmienionym w stosunku do lat poprzednich. W szczegóły tu dla braku miejsca wchodzić nie możemy. Wystarczy zaznaczyć, że wysoki poziom techniczny i muzyczno-interpretacyjny popisującej się młodzieży uzyskał niekłamane i gorące uznanie ze strony audytorium.

W połowie czerwca odbył się drugi z kolei urządzony przez Kuratorium OSP konkurs muzyczny dla utalentowanej młodzieży. Z pośród 200 zgłoszonych kandydatów stanęło do konkursu 70 osób, i to w trzech grupach, w zależności od wieku i stopnia przygotowania muzycznego. Nagrodzonych zostało 21 uczestników, którzy z kolei w auli gimn. Kopernika popisywali się publicznie. Poziom wykonawczy adeptów tego konkursu naogół nie był wysoki. — Na marginesie przypomnieć należy te same uwagi, które w swoim czasie po pierwszym tego rodzaju konkursie — jesienią 1946 r — na łamach „Arkony" umieściliśmy: Samej idei urządzania takich konkursów w pełni przyklasnąć trzeba. Będą one jednak tylko wówczas miały rację bytu, o ile do eliminacji dopuszczać się będzie wyłącznie młodzież nie uczącą się w szkołach muzycznych. Uczniowie szkół tych bowiem zawsze dystansować będą swoich współpartnerów. A przecież zasadniczym założeniem jest tu właśnie wystawianie utalentowanych muzycznie a nie kształcących się jeszcze fachowo jednostek, opiekowanie się nimi i skierowywanie ich do odpowiednich szkół muzycznych. Tej zasady na obu pierwszych konkursach w pełni nie przestrzegano. Przyszłe konkursy, które stanowczo należy corocznie urządzać, winny te momenty wziąć pod uwagę.

Przy sposobności zapytujemy, jak zaopiekowano się i dokąd skierowano laureatów poprzedniego i obecnego konkursu? opublikowanie danych co do losu tych talentów z pewnością zachęci na przyszłość do intensywniejszej pracy następnych kandydatów, skoro dowiedzą się, że nagrodą za zwycięstwo na konkursie jest nie tylko publiczne uznanie i dyplom, ale realna opieka i pomoc ze strony organizatorów.

Leon Witkowski

*

„Teatr Ziemi Pomorskiej" w Toruniu pod dyr. Al. Rodziewicza i kier. literackim Al. Kowalkowskiego otworzył sezon 1948/49 „Cydem" Corneilla w reżyserii H. Barwińskiego i oprawie dekor. L. Torwirta.

Omówienie spraw życia teatralnego i odczytowego w najbliższym n-rze Arkony.

LIST ZE SZCZECINA

STAN. HELSZTYŃSKI LAUREATEM SZCZECINA

2 lipca 1948 r. odbyło się w Szczecinie posiedzenie sądu konkursowego, który przyznał „Szczecińską, społeczną nagrodę artystyczną" w dziale literatury Stanisławowi Helsztyńskiemu za książkę pt. „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego". Powyższe wyróżnienie zasługuje na szczególną uwagę, gdyż w ostatnim czasie pojawiło się szereg dzieł poetyckich i prozaicznych związanych z tematyką ujścia Odry. W związku z tym należy poświęcić kilka słów zarówno osobie autora jak i nagrodzonej broszurze

Czytelnicy „Arkony" i innych periodyków polskich znają Stanisława Helsztyńskiego z szeregu szkiców i essayów, jakie ukazywały się od chwili zakończenia wojny. Mniejsze grono zna działalność przedwojenną laureata i dlatego przypominamy ją, obok paru szczegółów biograficznych.

Autor nagrodzonej w Szczecinie książki jest synem ludu wielkopolskiego. Urodził się 13-go kwietnia 1891 r. w Kosowie nad Odrą. Jakkolwiek losy zaprowadzą go do szeregu wielkich miast uniwersyteckich (Monastyr, Monachium, Poznań i Warszawa) przecież pozostanie w nim głębokie przywiązanie do regionu, zwłaszcza do mniejszych ośrodków, które stanie się bodźcem do obfitej twórczości w okresie późniejszym. Regionalizm zachodnio-polski obok literatury angielskiej pasjonuje Helsztyńskiego ogromem niewykorzystanych możliwości literackich i historycznych. Jemu też należy m. in. zawdzięczać zwrócenie uwagi pisarza na problemy zachodnio-pomorskie.

W okresie międzywojennym Helsztyński współpracuje z trzema czasopismami regionalnymi: „Kroniką Gostyńską", „Wiciami wielkopolskimi" i inowrocławskim „Piastem". Ogłasza drukiem studia nad Przybyszewskim i cykl poetycki: „Nad Wartą, Notecią i Odrą" (1931—37).

Ze Szczecinem styka się Helsztyński już po ostatniej wojnie trafiając tam w pierwszej fali, jako kurator okręgu szkolnego. W Szczecinie pomiędzy kwietniem a wrześniem 1945 r., powstają szkice, składające się na nagrodzoną obecnie książkę. O swym pobycie na Pomorzu Zachodnim powiada pisarz: „Piękne to były czasy, fatalnie trudne, ale owocne".

Po powrocie do Warszawy Helsztyński habilituje się z historii literatury angielskiej i amerykańskiej na tamtejszym uniwersytecie, później zostaje redaktorem „Biblioteki Ziem Odzyskanych" w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych.

Działalność pisarza postępuje — jak widzimy — stale dwoma torami. Jeśli chodzi o anglistykę, to dorobek twórczy jest nie mniej duży.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI
Rys. Marian Turwid

Warto tu wymienić takie prace naukowe i literackie jak „Liryka angielska" (1929 r.), „Anglofil Edmund Nahanowski" (1929 r.), „Od Szekspira do Joyce'a" i „Katoliccy poeci Anglii" (1939 r.), a po wojnie wydany „Wizerunek Williama Szekspira" (1948 r.).

Nagrodzona ostatnio książka „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego" stanowi dotychczasowe szczytowe osiągnięcie Helsztyńskiego w dziedzinie jego regionalistycznych zamiłowań. Przypatrzmy się bliżej walorom, które spowodowały jury szczecińskie do przyznania St. Helsztyńskiemu pierwszej nagrody tego miasta. Przede wszystkim należy stwierdzić, że stanowi ona kontynuację pewnego typu literackiego zarówno pod względem formy jak i treści.

Każdy powrót Polski na brzegi Bałtyku znajdował żywy i spontaniczny odzew w literaturze. Można tu wymienić odpowiednie fragmenty kronik Anonima i Długosza oraz literacką, pierwszą w języku polskim, kronikę opowieści nadmorskich Stefana Żeromskiego „Wiatr od morza". Wszyscy autorowie wypowiadają się entuzjastycznie o pochodzie polskiego rycerza lub żołnierza do morskich wybrzeży. Długosz cieszy się zdobyciem Tczewa i zniszczeniem portu gdańskiego w 1433 r., Żeromski daje cykl

WYSTAWA ZIEM ODZYSKANYCH

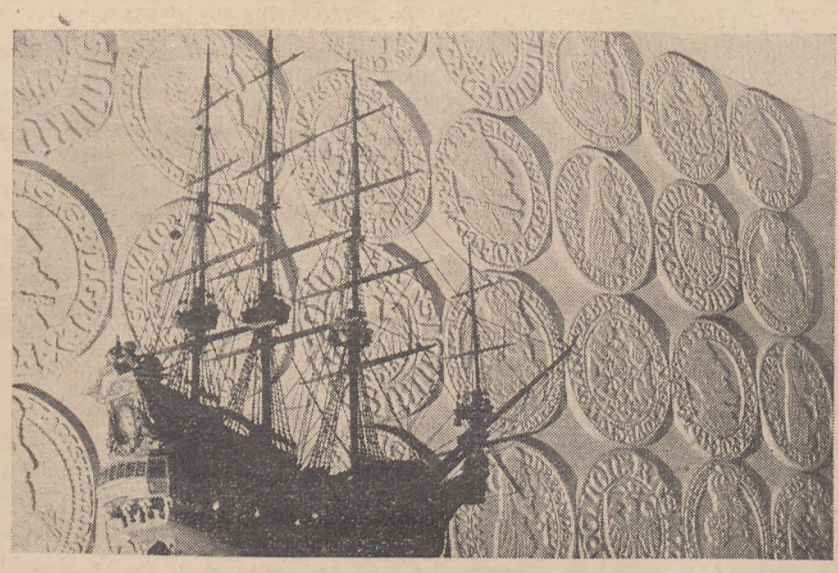

PAWILON 4 KOPUŁ: KORWETA „ŚW. JERZY" NA TLE ŚCIANY Z ODCISKAMI PIECZĘCI GDAŃSKICH. fot. „Film Polski"

obrazów ukazujących nieustanną walkę Polski o ujście Wisły. Obaj pisarze nie mogą jednak zdobyć się na pełną miarę entuzjazmu z powodu powrotu nad Bałtyk. Pierwszy z żalem wspomina, że poza obrębem państwa polskiego zostało księstwo słupskie obejmujące obszary do Odry, drugi nie wznawia już nawet nadziei na rekonstrukcję piastowskiego stanu posiadania, ograniczył się do mglistej wizji średniowiecznej żeglugi słowiańskiej koło wysp u ujścia Odry i kazał pracować z determinacją na tym skrawku, który nam przypadł w udziale.

Stanisławowi Helsztyńskiemu było danym nawiązać do tonu pieśni rycerskiej w kronice Anonima, w którym drży tężyzna i zgodny poryw narodu, zapowiedź wielkiej, dynamicznej pracy morskiej. I znów literatura odzwierciedliła pełnię entuzjazmu z powodu wkroczenia na najstarszy szlak piastowski, prowadzący najprościej do potęgi morskiej.

Helsztyński zwiedza miasta zachodnio-pomorskie, przypatruje się ich murom i zabytkom, ale przede wszystkim wywołuje wizje przeszłości. Przewodnikami są mu kronikarze Anonim i Janko z Czarnkowa, obaj piszący w Ziemi Wielkopolskiej i wpatrzeni w wypadki rozgrywające się w delcie Odry. Przewodnikami są mu także językolog Hilferding i badacz nazw słowiańskich ks. Kozierowski, wreszcie malarz Cranach i dokument „Dagome index". Helsztyński szkicuje szereg postaci Piastowiczów pomorskich, przywraca ich polskiej historii i wskazuje na stracone okazje dziejowe. Jakiż żal w czytelnikach muszą wywołać np. „Tragiczne dzieje Kaźka ze Szczecina".

Książka „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego" jest właściwie przekrojem kultury słowiańskiej w okresie średniowiecza, choć poprzez odosobnione fakty i zjawiska nawiązuje również do czasów najnowszych. Helsztyński podkreśla silnie, że właściwe panowanie niemieckie na Pomorzu Zachodnim, trwało stosunkowo krótko, bo dopiero od chwili ustąpienia Szwedów w 18-tym wieku. Natomiast mieszczaństwo niemieckie korzystające z dobrodziejstw książąt piastowskich prowadziło w słowiańskim kraju germanizacyjną robotę już od najwcześniejszych czasów. Ono spychało Słowian na drugorzędne stanowiska społeczne ono przeciwstawiało się swym dobrodziejom i walczyło z chłopem pomorskim; prowadziło tą samą politykę co Gdańsk, choć również żyło z handlu z Polską. Pisarz stwierdza, że tej polityce mieszczaństwa przeciwstawił się najsilniej, najdłużej i w sposób bohaterski chłop słowiański, który przetrwał do 20-go wieku.

W cyklu szkiców zawarł Helsztyński syntezę tego, co było już niemal zapomniane i wymagało długich studiów. Jest ona przekonywująca zarówno dzięki bogactwu szczegółów i różnorodności dziedzin, jakie obejmuje, oraz dzięki sugestywnej mocy języka jakim autor przemawia. Należy sądzić, że właśnie owa syntetyczność „Piastowskich grodów Pomorza Zachodniego", była wzięta przede wszystkim pod uwagę przez jury.

Książka Helsztyńskiego jest pierwszą polską książką, która została złożona i wydrukowana w Szczecinie; to tylko zresztą tłumaczy liczne omyłki tekstu oraz niezwykle nieprzyjemną szatę zewnętrzną książki. Może jej nagrodzenie spowoduje ukazanie się nowego wydania, któreby zrehabilitowało wydawców?

Józef Modrzejewski

RECENZJE

NOWA LITERATURA MUZYCZNA

Zdzisław Jachimecki: Muzyka polska w rozwoju historycznym od czasów najdawniejszych do doby obecnej. Tom I. Od Bogurodzicy do Chopina włącznie. Część I. Stron 227. Kraków 1948. Nakładem Księgarni Stef. Kamińskiego.

Muzykologia polska jako nauka stosunkowo młoda, bo zaledwie od kilku dziesięciu lat pracująca, ma przed sobą olbrzymie pole pracy na terenie najszerszej pojętej historii kultury muzycznej w Polsce, nie mówiąc już o jej obowiązkach czynnego zainteresowania się historią i teorią muzyki ogólnej (europejskiej i pozaeuropejskiej). Pomimo dosyć szczupłej dotychczas liczby pracowników naukowych na tym polu muzykologia polska może się poszczycić względnie poważnym już dorobkiem, zwłaszcza w ostatnim ćwierćwieczu.

Profesor U. J. dr Zdzisław Jachimecki jest najwybitniejszym syntetykiem historii muzyki polskiej. Najnowsze jego dzieło, dwutomowa „Muzyka polska w rozwoju historycznym" jest jednym z dalszych, piątym z rzędu i to znacznie rozszerzonym opracowaniem dziejów muzyki polskiej. Narazie ukazała się część pierwsza tomu pierwszego, obejmująca historię muzyki polskiej od Bogurodzicy do końca 17-go w. (do twórczości S. S. Szarzyńskiego). Autor uwzględnia w niej w możliwie szerokim zakresie źródłowe, analityczno-krytyczne osiągnięcia muzykologów polskich m. in. również własne, w wielu wypadkach prostuje dawne sądy oraz polemizuje z przeciwnymi poglądami innych muzykologów. Nie wszystkie rozdziały tej pracy, potraktowane zostały przez autora równie szczegółowo, w znacznym stopniu zresztą w zależności od wyniku przyczynkowych i specjalnych badań naukowych. Czytelnik, szczególnie nie fachowiec i nie muzykolog odczuwa brak rozdziału wstępnego, omawiającego przypuszczalny stan polskiej kultury muzycznej przed pojawieniem się pieśni Bogurodzicy oraz podającego syntetyczne uwagi ogólne na temat rozwoju muzycznej myśli twórczej w Polsce na przestrzeni dziejów. Książka wprowadza czytelnika odrazu in medias res, tj. w zagadnienia muzykologiczne związane z pieśnią Bogurodzica. Inne rozdziały, np. odcinek o kancjonałach polskich potraktowane zostały nieco zbyt zwięźle. Nie uwzględnia on np. (lecz nie z winy autora tej książki) m. in. ostatnich osiągnięć badań nad hymnologią polską, tj. prac przedwojennej poznańskiej szkoły muzykologicznej, których z powodu trudności wydawniczych niestety dotychczas opublikować się nie dało. A wypadków takich przypuszczalnie może być więcej. Poza tym pożądanym było by umieszczenie znacznie większej ilości fascimilów nutowych w książce, zwłaszcza odnośnie do okresów dawnych oraz możliwie wielkiej liczby ilustracji, które tę największą dotychczas i najlepszą historię muzyki polskiej wielce by ożywiły.

Szczegółowa analiza tej pracy, która z konieczności w wielu wypadkach zwłaszcza odnośnie do dziejów muzyki naszej do 14-go w. włącznie oraz wieku 18-go zawierać musi na razie wiele jeszcze sądów i uwag hipotetycznych — należy do pisma fachowego. Dokonać jej zresztą można będzie w pełni dopiero po ukazaniu się całości. Na razie chcielibyśmy zwrócić po krótce uwagę na ważne nie tylko dla muzykologów i muzyków, ale również dla pracowników naukowych oraz nauczycieli w zakresie literatury polskiej, historii polskiej i powszechnej, historii sztuki, historii kościoła i dyscyplin pokrewnych pojawienie się w tej pracy, świadczącej pięknie o wysiłkach i osiągnięciach muzykologii polskiej, która powoli wprawdzie, lecz konsekwentnie odrabia swe ogromne zaległości i tym samym zmniejsza dystans dzielący ją od osiągnięć ogólnoeuropejskiej muzykologii.

Guy de Pourtalès: Życie Liszta. Przekład Haliny Wierzyńskiej. Słowo wstępne Jarosława Iwaszkiewicza. Stron 281. Wydawnictwo Spółdzielni Przeworskiego. Warszawa 1948.

Zmarły przed kilku laty dyplomata i muzykograf francuski (autor m. in. biografii Chopina i Wagnera) napisał w r. 1924 biografię o Liszcie, która w bieżącym roku doczekała się przekładu na język polski. Książka napisana jest lekko i interesująco. Przedstawia dzieje życia zewnętrznego i wewnętrznego jednej z najciekawszych w europejskiej historii muzyki 19-go w. i najbardziej wartościowych osobistości artystycznych, Franciszka Liszta. Choć preponderują momenty ściśle osobiste — życie miłosne i duchowo - religijne Liszta — poznajmy w tej książce szereg wybitnych ówczesnych postaci muzycznych z R. Wagnerem na czele, względnie osób, które potężny wpływ wywarły na życie i działalność Liszta. Wśród nich na naczelnym miejscu wymienić trzeba — zbyt mało przez nas znaną Polkę — księżnę z Iwanowskich de Sayn-Wittgenstein.

Tłumaczenie polskie dobre. Książka z pewnością cieszyć się będzie dużą poczytnością, bo na to w pełni zasługuje.

Anatol Winogradow: Potępienie Paganiniego. Przekład Włodzimierza Słobodnika. Stron 462. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", Warszawa 1947.

W przeciwieństwie do obiektywnej i spokojniej napisanego życiorysu Liszta pióra Pourtalèsa, książka Winogradowa, przedstawiająca koleje życia Paganiniego, traktuje przedmiot swój w sposób bardziej pasjonujący a zarazem bardziej pasjonujący a zarazem bardziej jednostronny, przedstawiając bohatera w ujęciu sublimowanym, prawie jako idealnego człowieka-artystę, walczącego z przemożną ilością czyhających na jego powodzenie, sławę, majątek i życie wrogów, a zarazem wyczerpującego swoje siły witalne w tej właśnie walce.

Problemy ściśle muzyczne ustępują w tej powieści biograficznej stanowczo na plan dalszy, tam jednak gdzie autor je poruszył (np. w rozdziele VII powieści), uczynił to w sposób godny uznania. Ogromna erudycja autora — w zakresie spraw historyczno - politycznych, religijnych i ogólno-kulturalnych — łączy się w powieści z dużą fantazją publicystyczną. Inna sprawa, to ścisłość naukowa podanych czytelnikowi faktów czy wydarzeń. Postać bohatera książki przedstawiona jest w świetle bardzo dodatnim, ale właśnie dlatego nie zawsze zgodna jest ona z historyczną, ale na ogół nawet przez naukę mało znaną osobą fenomena romantyzmu muzycznego, Nicolo Paganiniego.

Leon Witkowski

„KOWAL, PIENIĄDZE I GWIAZDY..."

Teatr Miejski w Bydgoszczy otworzył nowy sezon prapremierą nowej sztuki Jerzego Szaniawskiego pt.: „Kowal, pieniądze i gwiazdy". W najbliższej „Arkonie" ukaże się fragment tej ciekawej sztuki, najmłodszej w dorobku twórczym autora „Dwu teatrów", krytyczne jej omówienie oraz artykuł poświęcony bydgoskiej pra premierowej realizacji (reż. Tadeusza Muskata). Na zdjęciu: Cz. Siekierzyńska (starucha), H. Żuczkowski i L. Jaroszyński (bracia Dedejko) i T. Kuźmiński (kowal).

Wydaje: ZESPÓŁ „ARKONY" w BYDGOSZCZY. Redaguje: KOLEGIUM. Adres Redakcji i Administracji: BYDGOSZCZ, Sielanka 8. Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224. PKO nr VI-271. Prenumerata i kolportaż: Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31. Adres oddziału Redakcji w Poznaniu: ul. Nosskowskiego 1. Druk: Drukarnia Polska, Spółdz. Wydawn. „Zryw", Bydgoszcz, ul. Marszałka Focha nr 18.
E-4815714